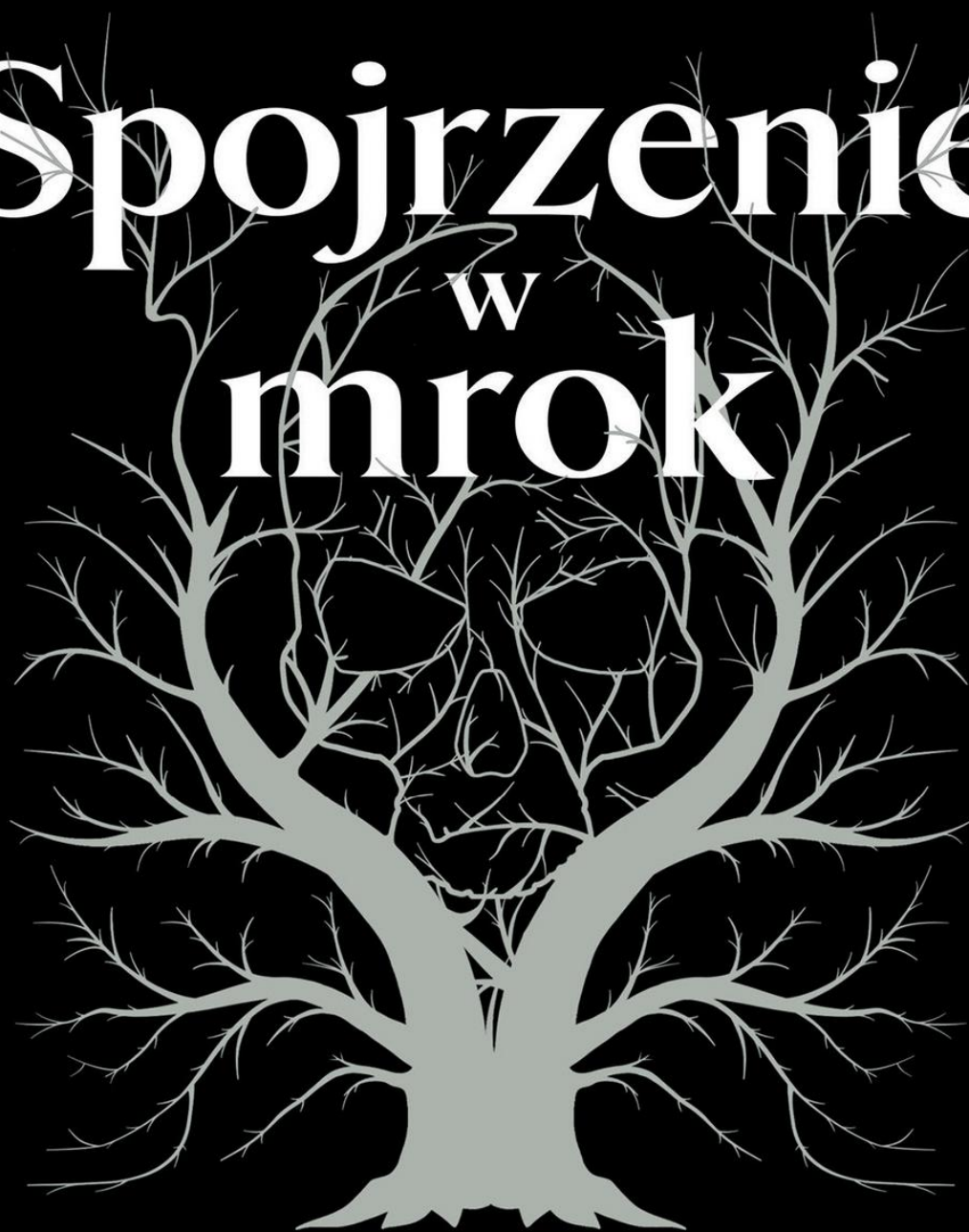


JEDENAŚCIE ODCIENI MAKABRY

# Spojrzenie w mrok



C. J. TUDOR

Autorka bestsellerowego *Kredziarza*

CZARNA OWCA



# Spojrzenie w mrok

**C. J. TUDOR**

Przełożył TOMASZ WYŻYŃSKI

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

# Spis treści

Strona tytułowa  
Spis treści  
Strona redakcyjna  
Wstęp  
Ostatni rejs  
Blok  
Zwodniczy blues  
Finalizacja  
Lew na bramie  
Gloria  
Nie jestem Tedem  
Koniec świata, jaki znamy  
Powielarnia  
Pył  
Wyspa motyli  
Podziękowania  
Przypisy końcowe

Tytuł oryginału: A SLIVER OF DARKNESS (Short Story Collection)

Copyright © 2022 Betty & Betty Ltd

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2023

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Wyżyński, 2023

Redakcja: Ida Świerkocka

Korekta: Beata Wójcik, Ewa Skibińska

Projekt okładki: © Jon Kennedy//MJ

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka

Redaktor prowadzący: Katarzyna Monika Słupska

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8252-436-9

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, [www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

*Dla ojca*

# Wstęp

W styczniu 2021 roku zmarł mój ojciec.

Przebywał od dwóch lat w domu opieki, lecz jego śmierć była mimo wszystko szokiem. Wskutek pandemii mogliśmy go odwiedzać tylko raz na dwa tygodnie, na pół godziny; rozmawialiśmy przez szybę z pleksiglasu.

W dniu jego śmierci przytuliłam go po raz pierwszy od roku.

Rok 2020 był dla nas trudny (podobnie jak dla wszystkich): pandemia, lockdown i zdalna nauka w szkole wyczerpały nasze siły. Poza tym od października do grudnia przenosiłam rodziców z Wiltshire do Sussex, by móc im pomagać.

Mama w dalszym ciągu mieszkała w domu rodzinnym; jego sprzedaż, znalezienie nowego domu opieki dla ojca i nowego mieszkania dla matki okazało się skomplikowaną operacją. To eufemizm.

Cały czas próbowałam pisać powieść.

Nie lubię się przyznawać, że nie potrafię sobie z czymś poradzić, więc chociaż pisanie było znacznie trudniejsze niż zwykle – do tego stopnia, że po przebudzeniu czułam lęk i ściskanie w żołądku – powtarzałam sobie, że muszę brnąć dalej. Trudne momenty pojawiają się w czasie pracy nad każdą książką. Wszystko można jednak poprawić w trakcie redakcji. Lecz po śmierci ojca było coraz gorzej. Nienawidziłam siedzenia przy laptopie. Napisanie każdego słowa wymagało wysiłku. Głosy postaci, zwykle tak rzeczywiste, wydawały się wymuszone, brzmiały sztucznie. Mimo to z uporem pisałam dalej, powtarzając sobie, że to tylko chwilowy kryzys, że sytuacja się poprawi.

Ale intuicyjnie wiedziałam.

Książka się nie udała.

Jakimś cudem skończyłam maszynopis i wysłałam go do wydawcy, mając nadzieję, że może się mylę.

Kiedy otrzymałam odpowiedź, zrozumiałam, że nie tylko ja mam wątpliwości. Normalnie szybko daję sobie radę z redakcją. Tym razem czułam, że nigdy w świecie nie poprawię tej książki. Nie znosiłam jej. Symbolizowała straszne i bolesne wydarzenia, które przeżyłam w ciągu poprzedniego roku. Nie mogłam do niej wrócić. Gdybym to zrobiła, mogłabym załamać się psychicznie.

Przeplakałam cały dzień i po długiej rozmowie z moją cudowną agentką, Maddy, skontaktowałam się z wydawnictwem i wyznałam całą prawdę. Poprosiłam, by zrezygnowali z książki, przesunęli termin publikacji, bym wykorzystwała czas na pracę nad innym pomysłem – powieścią, który odłożyłam, czekając na właściwy moment. Wydawało się, że właśnie nadszedł.

Źle się czułam, że sprawiam zawód czytelnikom (i wydawcom), nie publikując książki w 2022 roku. Aby wypełnić lukę, zaproponowałam wydanie zbioru opowiadań. Uwielbiam pisać opowiadania i uznałam to za świetny pomysł.

Mam cudownych wydawców, którzy okazują mi wsparcie, i na szczęście się zgodzili.

Natychmiast spadł mi kamień z serca.

Nowa powieść – *Debit* – ukazała się w styczniu 2023 roku, a teraz czytacie inny owoc moich trudów!

Książka, z której zrezygnowałam, prawdopodobnie nigdy nie ujrzy światła dziennego. To nic złego. Czasami należy zrobić kilka kroków do tyłu, by iść do przodu. Ale wierzę, że w życiu i w pisaniu nic się nigdy nie marnuje: jedna z części nieudanej książki stała się podstawą opowiadania opublikowanego w tym zbiorze (spróbujcie zgadnąć, które to opowiadanie).

Mój małomówny ojciec rzadko wygłaszał pochwały albo okazywał emocje. Ale wiem, że czuł dumę z mojego pisania. Cieszę się, że był świadkiem realizacji moich marzeń o zostaniu pisarką. Czuję smutek, że nie przeczyta już żadnej mojej powieści.

Domyślam się, że wszyscy musimy kiedyś zaznaczyć stronę i zamknąć książkę.

Ta książka jest dla Ciebie, tato. Tak naprawdę jak wszystkie.

# Ostatni rejs

## WSTĘP

**W** 2021 roku po raz pierwszy w życiu uczestniczyłam z mężem i córką w rejsie statkiem wycieczkowym.

Działo się to w czasie pandemii, więc nie mogliśmy schodzić na ląd. Statek pływał po morzu cztery dni i nigdy nie opuścił wód brytyjskich. Ale dobrze się bawiliśmy, było miło i panowała naprawdę rodzinna atmosfera. Właśnie tak miało być. Wycieczkę zorganizowała jedna z największych firm specjalizujących się w rozrywkach rodzinnych (pomyślcie o pewnej myszce).

Pewnego dnia, kiedy Betty pływała w basenie, a Neil i ja siedzieliśmy na pokładzie i popijaliśmy mrożone koktajle, zaczęliśmy rozmawiać o pandemii, lotach kosmicznych i końcu świata (w tej kolejności). Patrzyliśmy na bezkresne morze i pamiętam, że Neil powiedział: „Gdyby wirus naprawdę miał zniszczyć świat, nie trzeba by wysyłać ludzi w kosmos. Wystarczyłoby ich umieścić na gigantycznych statkach wycieczkowych”.

Uwaga zapadła mi w pamięć. Był to ciekawy pomysł.

Uwielbiam parki tematyczne między innymi dlatego, że balansują na granicy między magią a niesamowitością. Szczególnie jeśli są opuszczone albo zrujnowane. Każdy, kto widział film *Donnie Darko*, zdaje sobie sprawę, że człowiek przebrany za wielkie kosmate zwierzę ma w sobie coś złowrogiego. Przez tydzień albo dwa rejs po morzu może się wydawać przyjemny, ciekawy i czarodziejski, ale czy naprawdę chcielibyście żyć w ten sposób do końca swoich dni? Czy nie czulibyście się jak w więzieniu? Zwłaszcza na środku oceanu, bez możliwości ucieczki?

Myśląc o tym, przystąpiłam do pisania *Ostatniego rejsu*.

Mam nadzieję, że polubicie jego klimat. Wszyscy na pokład!



Często śniła, że tonie.

Leżała na wąskiej pryczy w pustych godzinach między północą a świtem i wyobrażała sobie, że pochłaniają ją fale. Czułaby zimno. Gdyby miała szczęście, lodowaty chłód zabiłby ją przed wdarciem się wody do płuc. A gdyby miała jeszcze więcej szczęścia, Bóg Morza okazałby się miłosierny.

Zastanawiała się, czy mogłaby poprosić o ceremonię zimową. Zastanawiała się, jak się czuli inni.

I kiedy przyjdzie jej kolej.

Nie dzisiaj. Tego dnia miała wypełniony harmonogram. Śniadanie, a później aerobik w basenie na głównym pokładzie. Następnie około godziny w cieniu, lektura książki. Przed lunchem może się przespacerować po statku. Po południu załoga często organizowała rozrywki, choć obecnie występy teatralne wydawały się dość nudne: żadne sprytnie oświetlenie nie mogło ukryć faktu, że farba na wyszukanych dekoracjach się łuszczy, a aksamitna tapicerka na siedzeniach jest wyblakła i zacerowana. Pasażerowie usiłowali nie zwracać na to uwagi; wielu nigdy nie widziało innego świata.

Ale Leila pamiętała. Niekiedy tęskniła za dawnymi czasami, kiedy rejs statkiem wycieczkowym był luksusem dla uprzywilejowanych, a nie powolną torturą. Zerknęła na fotografię stojące na maleńkiej komódce. Jedna przedstawiała ją i Nicka, gdy weszli na pokład wraz z jej rodzicami. Wyglądała bardzo młodo z niedawno poślubionym mężem – przypuszczała, że rzeczywiście byli młodzi. Miała dwadzieścia pięć lat; Nick był dwa lata starszy. W gruncie rzeczy dopiero rozpoczęli życie. Zgromadzili pewien zasób doświadczeń, po czym weszli na pokład statku, gdzie świat skurczył się do pokładów i korytarzy.

Na drugą fotografię patrzyła rzadziej, bo nawet krótkie spojrzenie wywoływało ból. Zastanawiała się czasami, po co w ogóle ją trzyma. Z pewnością nie podobało się to Stwórcom. Nigdy nie wspomniano o ludziach, którzy zniknęli, nie upamiętniano ich. Krzywo patrzono na przechowywanie pamiątek. Ale Leila nie mogła wyrzucić tej fotografii.

Przedstawiała jej córkę.

Było to ostatnie zdjęcie Addison. Stawała się młodą kobietą. Obchodziła osiemnaste urodziny. Ciemne włosy okalające twarz, szeroki uśmiech, psotne niebieskie oczy – i bunt. Trochę zbyt wiele buntu.

Może Leila powinna być surowsza? Może powinna ją oduczyć samodzielności? Kiedy Nick usiłował skłonić Addison do tradycyjnych kobiecych zajęć jak szycie albo gotowanie, należało go wspierać, a nie stawać po

stronie córki, która postanowiła rozpocząć studia inżynieryjne. „Wyrzuty sumienia. Błędy. Zawsze się zdarzają w długim życiu”.

Leila odeszła od fotografii. Nie mogła się spóźnić na śniadanie. Stwórcy lubili porządek i każde odstępstwo od normy mogło oznaczać pytania. Spojrzała na siebie w lustrze. W przeciwieństwie do wielu starszych pasażerów, których skórę wygarbowały wichury i bezlitosne słońce, jej skóra pozostała blada i miękka, pokryta siateczką drobnych zmarszczek. Zawsze osłaniała się przed żywiołami. Miała czyste błękitne oczy – nie dostała jeszcze zaćmy, choć używała okularów do czytania. Długie, gęste włosy, związane w praktyczny kok, były białe jak mleko.

Uśmiechnęła się do siebie w lustrze. Ma za sobą najlepsze lata, lecz ciągle dobrze się trzyma. Podobnie jak statek.

Za dwa dni będzie obchodzić siedemdziesiąte piąte urodziny. Pięćdziesiąt lat na pokładzie.

Dziś śniadanie podawano w Wielkim Salonie.

Na statku znajdowały się trzy jadalnie; pasażerowie na zmianę jedli w nich śniadania, lunchy i kolacje. Grupowano ich według numerów kajut. Leila ustawiła się w kolejce, by zaprowadzono ją do zwolnionego stolika. Jak zwykle stali w niej starsi ludzie podobni do niej i młodsze rodziny. Po sali biegały dzieci, bawiąc się w berka; miały szczęśliwe twarze i roześmiane oczy. Nigdy nie widziały niczego oprócz statku. Czternaście pokładów, dwa tysiące metrów kwadratowych stanowiły cały ich świat. Oczywiście wokół rozciągał się bezkresny ocean stwarzający iluzję wolności. Niebo, woda aż po horyzont. Ale Leila czasami myślała, że jedynie podkreśla to małość statku.

Kolejka posuwała się do przodu. Leila kiwała głową i uśmiechała się do znajomych. W końcu dotarła do stanowiska kierownika sali.

– Jak się pani dziś czuje, pani Simmonds?

Kierownik sali był niskim, opalonym mężczyzną z bystrymi czarnymi oczami i kunsztowną fryzurą. Miał na imię Julian. Pełnił tę funkcję od dziesięciu lat, gdy jego ojciec przeszedł na emeryturę. Leila nie przepadała za Julianem: miał opinię kapusia. Pasażerowie wiedzieli, że należy się go wystrzegać.

Odwzajemniła uśmiech.

– Bardzo dobrze, dziękuję, Julianie. A ty?

– Och, ja zawsze czuję się dobrze, pani Simmonds. Cieszę się, że panią widzę. – Uśmiechnął się nieszczercze. – Pani towarzyszka siedzi już przy stole. Zaprowadzę panią.

Leila zmarszczyła brwi.

– Spóźniłam się?

– Nie, nie. Pani towarzyszka przyszła dziś rano trochę wcześniej. – Uśmiechnął się szerzej, ale z pewnym wysiłkiem. Coś było nie tak. – Proszę za mną.

Leila poszła za nim między rzędami nieskazitelnie nakrytych stołów. Wielki Salon udawał herbaciarnię z epoki wiktoriańskiej. Imitacje zabytkowych kandelabrow, ściany pokryte tapetami w kwiaty. Wisały na nich portrety sławnych postaci z komiksów Stwórców w wiktoriańskich strojach. Obsługa również była ubrana w dziewiętnastowieczne kostiumy: kelnerki nosiły bluzki zapięte pod szyją i obszerne spódnice, a kelnerzy smokingi z długimi połami. Taka maskarada mogłaby się wydawać niemądra, lecz stanowiła część polityki Stwórców. Granica między widzami a aktorami nigdy nie może zniknąć. Pasażerowie muszą żyć w świecie iluzji. Za każdą cenę.

Salę wypełniał zapach jedzenia – bekonu i tostów. Oczywiście syntetyczny. Aromat pompowano przez otwory wentylacyjne. Nikt od dawna nie jadł prawdziwego mięsa; na śniadanie podawano przede wszystkim płatki owsiane i owoce wyhodowane na ogromnych pływających farmach, Polach Żniwnych.

W sali rozlegał się gwar głosów. Jadalnia była duża i siedziało w niej już około stu osób. Zwykle nie było tu tak głośno. Ludzie często spożywali śniadanie w absolutnym milczeniu; jedynym dźwiękiem był brzęk sztućców na porcelanie. O czym w końcu można było rozmawiać? Nie o nowościach ani polityce. Żadnych skandali, plotek o celebrytach. Ta sama błogosławiona rutyna dzień po dniu, rok po roku. Jednak tego ranka Leila czuła, że sala kipi energią.

– Proszę, madam.

Towarzyszka Leili jak zwykle siedziała przy stoliku obok bulaja. Julian usłużnie wysunął krzesło i Leila zajęła miejsce.

– Dziękuję – powiedziała.

Julian skinął głową, wspinając się na palce. Przypominał wielkiego, dziwnego ptaka.

– Przyniosę kawę, madam.

Leila spojrzała na towarzyszkę posiłku. W przeciwieństwie do Leili, wysokiej i kanciastej (i przewrażliwionej na punkcie swojego wzrostu), Mirabelle była chudą, drobną kobietą mającą nieco ponad sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, z żyłastymi rękami i nogami opalonymi na ciemny brąz oraz ogromną grzywą siwych włosów. Odkąd Leila poznała Mirabelle, nigdy nie widziała jej bez dużych okularów przeciwsłonecznych zasłaniających połowę twarzy. Mirabelle nosiła je nawet w pomieszczeniach.

Zanim Leila miała szansę wziąć menu – raczej z przyzwyczajenia niż z ciekawości, ponieważ od pięćdziesięciu lat jadała na śniadanie codziennie to

samo – Mirabelle pochyliła się do przodu i spytała ściszym głosem:

– Słyszałaś?

Mirabelle była snobką. Aż do przesady. Leila zawsze uważała się za kulturalną i miała zamożnych rodziców, na tyle zamożnych, by spełnić kryteria wyznaczone przez Stwórców do przyjęcia na pokład, lecz Mirabelle pochodziła ze starej rodziny o majątku odziedziczonym po przodkach. Jeden z jej poprzednich mężów (obecnie zmarły) był pierwszym oficerem statku na początku jego istnienia, a najstarszy syn pełnił funkcję oficera pokładowego. Nie wspominając o córce, szefowej wydziału rozrywek. Nawet tutaj, gdzie wszyscy powinni być równi, niektórzy okazywali się równiejsi.

Kiedy, zgodnie z zasadami Stwórców, Nick zakończył życie, Leila musiała opuścić dwuosobową kajutę i przenieść się do mniejszej. Mirabelle zachowała obszerny apartament jako wdowa; mogła mieć z tym coś też coś wspólnego jej skłonność do częstych, krótkich małżeństw. Gdyby miano przenieść Mirabelle do nowej kajuty, prawdopodobnie wcześniej znalazłaby nowego męża.

Leila założyła okulary i wzięła menu.

– Co słyszałam? – spytała tak nonszalancko, jak to możliwe, wiedząc, że Stwórcy nie pochwalają plotek.

Mirabelle uniosła brew nad eleganckimi okularami przeciwsłonecznymi.

– Jeden z członków załogi... – Przyłożyła do szyi palec z pomalowanym na czerwono paznokciem, po czym wykonała dramatyczny gest podrzynania gardła.

Leila spojrzała na nią znad menu.

– Nie żyje?

Mirabelle uśmiechnęła się z podejrzanym zadowoleniem.

– Znalaziono go dziś rano w brodziku dla dzieci.

Leila nie spuszczała wzroku z przyjaciółki.

– Brodzik Mikeya?

Było to coś nowego. Zdarzało się już, że ludzie wyskakiwali za burtę, zarówno członkowie załogi, jak i pasażerowie. Ale utopienie się w brodziku wydawało się dziwne na niezmiernym oceanie.

– Samobójstwo? – spytała.

– Przynajmniej oficjalnie – szepnęła Mirabelle. – Ale krążą plotki, że to morderstwo.

Leila otworzyła szeroko oczy.

– Morderstwo?

Mirabelle entuzjastycznie pokiwała głową.

– Został zasztyletowany!

Zasztyletowany. Nic dziwnego, że w sali jadalnej panował gwar. Morderstwo na pokładzie. W ciągu pięćdziesięciu lat doszło tylko do jednego morderstwa,

gdy pasażer udusił swoją żonę w czasie kłótni. Było to jedyne morderstwo, o którym oficjalnie poinformowano. Krążyły plotki, że zdarzyło się ich więcej. Na statku nietrudno pozbyć się ciała. Z tego względu pozostawienie go w brodziku wydawało się dziwne.

Po raz pierwszy od długiego czasu Leila poczuła przyływ ciekawości.

– Wiedzą, kto jest sprawcą?

Mirabelle pokręciła głową.

– Nie. Usiłują utrzymać to w tajemnicy.

Naturalnie. Nic nie może zaburzyć pozorów. Wszyscy udają, bo w przeciwnym wypadku spotkałyby ich nieprzyjemne konsekwencje. Jednak sądząc po gwarze w jadalni, załoga nie starała się szczególnie gorliwie ukrywać tych plotek.

– Spodziewam się, że to oczywiście jeden z członków załogi – powiedziała Mirabelle i wypila łyk herbaty. – Jakaś ohydna sprzeczka o dziewczynę albo narkotyki.

Pociągnęła z pogardą nosem. Mirabelle przez większość życia była najbliższą przyjaciółką Leili, jednak w dalszym ciągu jej snobizm czasem budził niesmak.

– A jeśli to pasażer? – spytała Leila mimo woli.

Mirabelle prychnęła.

– Dlaczego pasażer miałby zabijać członka załogi?! Kochanie, nie bądź taka niemądra!

Leila poczuła, że się najeża. Ale oszczędziło im kłótni przybycie kelnerki, Latynoski o szeroko rozstawionych oczach i imieniu Luciana.

– Dzień dobry paniom. Są panie gotowe złożyć zamówienie?

– Tak – odpowiedziała szybko Leila. – Poproszę jogurt owsiany, granolę, tost i dżem.

– Bardzo dobrze. A pani, madam? – Odwróciła się w stronę Mirabelle.

Mirabelle uśmiechnęła się figlarnie.

– Mogłabym zamordować trochę jajek po benedyktyńsku, Luciano.

Statek miał dwa pokłady spacerowe, trzy baseny z dwiema zjeżdżalniami i sześć barów na wolnym powietrzu. W środku znajdowały się trzy ogromne restauracje, dwie mniejsze kawiarnie, kilka barów i dwa teatry, a ponadto sala gimnastyczna, centrum wellness i parę sklepów z pamiątkami, których nikt nigdy nie kupował, bo komu są potrzebne pamiątki ze statku, którego nigdy się nie opuści?

Wszystko służyło podtrzymywaniu pozorów. W przeciwnym wypadku pasażerowie musieliby stawić czoła rzeczywistości – a nikt nie miał na to ochoty.

Wszyscy wiedzieli, co się stało z tymi, którzy próbowali się buntować.

Leila dwa razy okrążyła górny pokład. Niektórzy pasażerowie siedzieli już na leżakach. Były dwadzieścia trzy stopnie Celsjusza, piękna pogoda i wiał leciutki wiatr. Niebo miało szafirową barwę; wisiało na nim kilka obłoków przypominających welony. Cudowny dzień. Kolejny. Kapitan robił, co mógł, by pływali w strefach ładnej pogody. Mimo to Leila czasami tęskniła za sztormami i deszczem. Szelestem jesiennych liści pod stopami, miękko uginającą się trawą, a nawet chlupotem błota pod podeszwami. Były to zapomniane przyjemności. Na statku słychać było tylko znajomy skrzyp pokładów i ciche kroki pasażerów na wytartych, niegdyś luksusowych dywanach w salonach i restauracjach. Od pięćdziesięciu lat nie postawiła stopy na lądzie. Teraz, gdy zbliżały się jej siedemdziesiąte piąte urodziny, prawdopodobnie nigdy więcej tego nie zrobi.

Przyśpieszyła i powiedziała sobie, że nie warto popadać w ponury nastrój. Introspekcja jej nie służy. Pozdrowiła kilka par siedzących na leżakach. Zgrabnych, opalonych młodych ludzi. Miała nadzieję, że lubią leniwe dni. W dwudziestym pierwszym roku życia większość z nich zostanie członkami załogi co najmniej na dwa lata. Była to jedna z zasad obowiązujących na statku. Co dziwne, niektórzy pozostawali członkami załogi po upływie dwóch lat. Może nie jest to wcale zaskakujące? Wolny czas jest cudowny, jeśli stanowi dar losu. Ale dni, tygodnie i lata bezczynności to piekielna tortura. Wielu członków załogi było początkowo pasażerami. Praca dawała im poczucie sensu życia. To zabawne, że tęsknimy za rzeczami, których kiedyś nienawidziliśmy, i nienawidzimy rzeczy, za którymi niegdyś tęskniliśmy. Życie na pokładzie wydawało się pod wieloma względami absurdalne. Ale przynajmniej było to życie. Los tych, którzy pozostali na lądzie, był znacznie gorszy.

Wróciła na dolny pokład. Dzieci i dorośli pluskali się w basenie i szaleli na zjeżdżalni, ale brodzik był zamknięty i osłonięty. Wisiał na nim napis: „Brodzik jest brudny. Mikey próbuje go oczyścić. Ciężko pracuje”. „Może usuwa ślady krwi?” – zastanawiała się Leila. Martwy, zasztyletowany człowiek w dziecięcym brodziku... Dlaczego morderca nie wyrzucił ciała za burtę? Może go spłoszono albo nie miał czasu?

Makabryczne szczegóły ją zaintrygowały; jej mózg znowu intensywnie pracował. Rozejrzała się po pokładzie. Wokół basenów stały leżaki, a także stoły i foteliki; pasażerowie mogli na nich usiąść, coś zjeść i odpocząć. Próbowwała ocenić, czy rozmawiają częściej niż zwykle, czy raczej milczą. Wokół kręciło się wielu członków załogi, a nikt nie chciał zostać przyłapany na wygłaszaniu uwag, że nie wszystko jest idealne. Malkontenctwo, jak to nazywano, było poważnym naruszeniem norm. Istniały sposoby, by radzić sobie z malkontentami. Notoryczni przestępcy trafiali do Centrum Reedukacyjnego, dużej sali pod dawnym klubem nocnym statku. Do Śmiesznego Laboratorium Mikeya. Nigdy

nie mówiono o tym, na czym dokładnie polega reedukacja, lecz Leila widziała ludzi, którzy stamtąd wrócili. Mieli szklisty wzrok i wydawali się... martwi.

Pamiętała jednego z nich – wesołego młodego stewarda, który lubił robić nieprawomyślne żarty na temat „reżimu”. Miał na imię Bobby. Pewnego dnia zniknął i został poddany reedukacji. Kiedy Leila znowu go zobaczyła, opuściła go wesołość. Uśmiechał się niepewnie i miał pusty wzrok. Gdy słynne postacie Stwórców wychodziły dwa razy dziennie na scenę, by śpiewać i tańczyć, stał sztywno wyprostowany i klaskał tak mocno, jakby zależało od tego jego życie.

Pewnego dnia szła pokładem i zobaczyła Bobby’ego. Uniósł rękę na powitanie, ale się potknął i upadł na deski. Coś wypadło mu z ust. Leila pochyliła się, by podnieść przedmiot, lecz chwycił go pierwszy. Była to sztuczna szczeka.

Patrzyła z przerażeniem, jak wkłada ją szybko do ust.

– Co ci zrobili? – spytała.

Jego oczy wypełniły się łzami.

– Zabrali mi uśmiech... – szepnął.

Widziała wtedy Bobby’ego po raz ostatni. Następnego dnia usłyszała, że miał tragiczny wypadek i wypadł za burtę. Na statku przywiązywano dużą wagę do zasad bezpieczeństwa i panował na nim idealny porządek; to, że wielu ludzi ginęło w tragicznych wypadkach, mogło się wydawać dziwne.

Wzdrygnęła się, gdy dotknęła jej ramienia czyjaś ręka.

– Nic pani nie jest, madam?

Leila się odwróciła. Młoda członkini załogi. Jasnowłosa, ładna w mdły sposób – na plakietce na piersi widniało imię Chrystelle. Spoglądała na nią z troską. Leila próbowała wziąć się w garść. Nie powinni myśleć, że coś jej dolega.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Po prostu podziwiałam piękno dzisiejszego dnia.

Chrystelle uśmiechnęła się szerzej.

„Zabrali mi uśmiech”.

– Tak, rzeczywiście jest piękny.

– I tak miło widzieć dzieci bawiące się w basenie.

– Szczęśliwe dzieci to rozkosz dla oczu.

– Szkoda, że brodzik Mikeya jest zamknięty.

Chrystelle dalej się uśmiechała.

– No cóż, trzeba go oczyścić. Nie możemy pozwolić dzieciom bawić się w brudnym brodziku, prawda?

– Naturalnie, że nie. – Leila uśmiechnęła się jeszcze szerzej, aż zaboląły ją policzki. – Bardzo ciężko pracujecie, opiekując się nami.

- Cóż, po prostu wykonujemy swoją pracę.
- Wszyscy jesteśmy wam za to bardzo wdzięczni.

Młoda kobieta skinęła głową i odeszła, wyraźnie zadowolona. Leila przestała się uśmiechać. Stała się mistrzynią w udawaniu prostodusznej starszej pani. Czasem nawet wierzyła, że naprawdę nią jest. Ułatwiało to odgrywanie wyznaczonej roli. Podtrzymywanie pozorów. Po co mącić, wprowadzać zamieszanie?

Usiadła przy tym samym stoliku co zwykle i otworzyła książkę, podniszczony kryminał, ale była wytrącona z równowagi. Patrzyła na otwartą powieść, lecz nie rozumiała słów. Mimo woli zastanawiała się nad ostatnimi wydarzeniami. Morderstwo. Stwórcy na pewno są niezadowoleni. Na statku wszystko jest zaplanowane, nawet śmierć. Mogą próbować zatuszować sprawę, ale plotki i tak się rozejdą. Źle to wpłynie na morale, zwłaszcza że zbliża się kolejne uroczyste przejście na emeryturę.

Uroczyste przejście na emeryturę było na statku wielkim wydarzeniem, nawet ważniejszym niż Boże Narodzenie. Już teraz rozwieszano plakaty i ozdoby. Pod koniec tygodnia cały wycieczkowiec będzie udekorowany serpentynami i balonami; członkowie trupy aktorskiej zaczną próby specjalnego przedstawienia na cześć emerytów. Kucharze przygotowują menu wielkiego bankietu, a Stwórcy zdecydują, które dziecko wybierze osoby do uhonorowania.

Normalnie wyznaczano jednego z najmłodszych pasażerów statku; uważano to za ogromny zaszczyt. Rodzice wściekle ze sobą współzawodniczyli, by wybrano ich dzieci. Leila widywała już ambitne matki z małymi dziewczynkami przebranymi za księżniczki, gdy czekały w kolejce przed teatrem. Uśmiechała się do nich, kiedy je mijała. Dzieci odwzajemniały uśmiechy, lecz kilka kobiet spuściło wzrok, może ze wstydu. Leila była stara. Któregoś dnia może zostać wybrana przez ich córki.

„Czeka to również wasze dzieci – miała ochotę powiedzieć. – Każdy pasażer przejdzie na emeryturę, chyba że najpierw spotka go tragiczny wypadek”.

Zamknęła książkę i popatrzyła na pokład. Z głośników stojących wokół basenu dobiegły trzaski i młodsze dzieci zaczęły radośnie pisać.

– A teraz pora powitać kapitana Mikeya i jego załogę! – rozległ się głośny, wesoły głos.

Z głośników popłynęła piosenka kapitana Mikeya, ta sama co zawsze. Brzmiała tandetnie, metalicznie. Młodsze dzieci machały rękami i wiwatowały. Starsze nie zwracały uwagi i kontynuowały zabawy. Milion razy widziały występy przebierańców, podobnie jak Leila.

Patrzyła na postacie śpiewające piosenki i tańczące na scenie. Z dala zachowały resztkę uroku. Z bliska było widać, że sztuczne futra są wytarte,



kostiumy spłowiałe i wielokrotnie cerowane. Nawet piosenki brzmiały nieciekawie. Mimo to nigdy się nie zmieniały. Nic się nigdy nie zmieniało. Z wyjątkiem... popatrzyła znad okularów. Kapitan Mikey, Rachel Królica, Susie Wiewiórka, Chrissy Kocica. Coś się jednak zmieniło. Jednej postaci brakowało. Psa Donniego, ulubieńca Addison. Nosił wesołą czerwoną obrożę i miał długi ogon. Był psotny i złośliwy. Robił kawały Mikeyowi i reszcie gangu.

Nic się nigdy nie zmienia, więc gdzie jest Donnie?

– Pani woda, madam – odezwał się cichy głos.

Uniosła wzrok. Zamierzała powiedzieć kelnerowi, że nie zamawiała wody... i nagle serce podeszło jej do gardła.

Przy stole stał Donnie. Postawił przed nią szklanę kosmatą łapą. Pochylił w stronę Leili wielki, szeroko otwarty pysk, z którego wystawał różowy jęzor z gumy. Wydawało się, że się uśmiecha.

To nie może być prawda. Aktorzy nie podają do stołu. Kudłaty Donnie powinien tańczyć na scenie wraz z pozostałymi uczestnikami występu. Odszedł, nim Leila zdołała zebrać myśli. Odprowadziła go wzrokiem. Co się właściwie dzieje?

Nagle poczuła straszliwe mdłości, jak wtedy, gdy statek kołysał się w czasie sztormu. Ale dziś było spokojnie, jasno świeciło słońce, niepokój tkwił w psychice Leili.

Czy wreszcie nadeszła ta chwila? Czy jej umysł w końcu zaczyna się rozpadać? W czasie ostatniego badania kontrolnego lekarz powiedział, że Leila jest w dobrej formie, ale może chciał być miły, nie straszyć pacjentki? Wszyscy wiedzieli, że kiedy ktoś ma kłopoty z umysłem, najlepszym rozwiązaniem jest szybka emerytura.

Mogła powiedzieć lekarzowi, że nie boi się śmierci. Czy mogłaby się bać? Jedyne dwie osoby, które naprawdę kochała – córka i mąż – nie żyły. Nie wierzyła w życie pozagrobowe, ale po śmierci nie musiałyby codziennie znosić bólu i tęsknoty, tak dojmujących, że najczęściej prawie ich nie zauważała, z wyjątkiem chwili po przebudzeniu. Cierpienie po stracie było wtedy gwałtowne i bolesne jak na początku.

Sięgnęła po wodę i znieruchomiała. Pod szkłem leżała karteczka. Rozejrzała się. Nikt jej nie obserwował. Wszyscy patrzyli na postacie tańczące na scenie. Ostrożnie wysunęła papiera i włożyła między stronicę książki. Zerknęła na niego.

„O północy. Przy szalupach ratunkowych”.

Drżały jej palce, znowu poczuła zawroty głowy. Aktorzy na górnym pokładzie śpiewali końcową piosenkę, maszerując tam i z powrotem po scenie.

„Ponieważ kochamy życie i kochamy was wszystkich...”

Finał przedstawienia.

„Przy szalupach ratunkowych”.

Ostatnie miejsce, gdzie widziała żywą córkę.

Addison zawsze była uparta. Wcześniej zaczęła chodzić i mówić. Nawet wtedy często uciekała albo manifestowała sprzeciw, wściekle mówiąc: „Nie!”. Matka Leili, babka Addison, uważała jedyną wnuczkę za radosną dziewczynkę, choć jednocześnie doprowadzała ją ona do szału.

– Musicie traktować ją bardziej surowo – powtarzała często Leili i Nickowi. – Wchodzi wam na głowę. Trzeba ją nauczyć dyscypliny.

Addison nie reagowała dobrze na dyscyplinę. Albo raczej ją kwestionowała. Buntowała się przeciwko niesprawiedliwym karom już jako mała dziewczynka. „Bo ja tak każe” nie było dla niej żadną odpowiedzią. „Ale właściwie dlaczego?” – pytała, marszcząc brwi. – Wyjaśnij przyczynę”.

Leila powinna rozumieć, że dociekliwość Addison w końcu ją zniszczy. Kiedy córka miała dziesięć lat, straciła rachubę, ile razy wzywano ją do gabinetu tutorki z powodu zbyt dociekliwych pytań córki. W czasie ostatniej rozmowy tutorka spojrzała na nią znacząco i rzekła cicho:

– To cudowne, że Addison jest taką inteligentną dziewczynką. Pewnego dnia przyniesie nam wszystkim chlubę. Ale jeśli w dalszym ciągu będzie kwestionować decyzję Stwórców, może potrzebować bardziej intensywnego programu edukacyjnego.

Tego dnia Leila posadziła Addison w kajucie i cierpliwie wyjaśniła, że chociaż może mieć pytania, musi się nauczyć zachowywać je dla siebie. Inaczej Stwórcy mogą się zdenerwować i ukarać całą rodzinę.

Addison zrobiła wielkie oczy.

– Dlaczego Stwórcy nie lubią pytań?

Kolejne trafne pytanie. Leila westchnęła.

– Chyba się obawiają, że ludziom nie spodoba się odpowiedzi. – Wzięła córkę za rękę. – Trudno to zrozumieć, Addison, ale proszę, obiecaj. Żadnych nowych pytań. Akceptuj to, co mówi tutorka, i milcz, dobrze?

Addison skinęła głową.

– Okej, przyrzekam.

Leila uśmiechnęła się smutno.

– Pewnego dnia zrozumiesz, jakie mamy szczęście, że jesteśmy na statku. Nic nam nie grozi, opiekują się nami Stwórcy. Nie możemy tego zniszczyć.

Addison skinęła głową, a potem – bo zawsze pojawia się ostatnie pytanie – spytała:

– Skoro statek jest taki cudowny, a my mamy tyle szczęścia, dlaczego wszyscy tak bardzo się boją?

Lunch spożywano w Sali Artystycznej, eleganckim czarno-białym pomieszczeniu ze ścianami ozdobionymi oryginalnymi rysunkami Mikeya i jego gangu, a także wielu innych ulubionych postaci wymyślonych przez Stwórców. Spoglądali dobrotliwie na uczestników posiłku, pamiątka po bardziej niewinnych czasach.

Dzieci – a także dorośli – mogli oglądać tylko powtórki starych filmów animowanych i fabularnych, choć nie wszystkich. Przed laty zakazano tych, które przedstawiały świat takim, jaki naprawdę był – wielu pasażerów nigdy go nie widziało. Oferowały fałszywą nadzieję i utopijną wizję życia. Baśnie o księżniczkach i smokach nie stwarzały żadnego zagrożenia.

Leila często myślała, że żyją w bardzo dziwnym świecie. Dzieci wiedziały więcej o bajkowych królestwach niż o kraju, w którym Leila się urodziła.

Pozwoliła się zaprowadzić do stolika, tego samego co zwykle. Mirabelle już przy nim siedziała. Była drobną kobietą, nigdy nie opuszczała posiłków, lecz normalnie nie pojawiała się tak wcześnie. Muszą być nowe plotki.

Jak Leila podejrzewała, ledwo usiadła na krześle, Mirabelle pochyliła się ku niej nad stołem.

– Słyszałaś ostatnie nowiny?

Leila z całych sił udawała, że wpatruje się w menu.

– O czym? – spytała.

– Oczywiście o morderstwie! – zacwierkała jak ptak Mirabelle.

Leila wstrzymała oddech i rozejrzała się po sali. Wydawało się, że nikt nie patrzy na nie, lecz zawsze należało zachować czujność. Kelnerzy poruszali się cicho jak ninja.

– Czy naprawdę powinniśmy o tym rozmawiać? – szepnęła.

– Cóż, skoro wolisz mówić o pogodzie... – Mirabelle udała, że ziewa.

Leila westchnęła.

– Opowiadaj dalej.

– Zidentyfikowali ofiarę.

Leila patrzyła na przyjaciółkę. Mirabelle zawsze wiedziała, co w trawie piszczy. Dysponowała doskonałymi źródłami informacji i kontaktami: miała liczną rodzinę. Udawało jej się uniknąć kar za plotkowanie. Należała do uprzywilejowanej sfery. Leila również odnosiła z tego korzyści.

Miała jednak plamę na życiorysie. Z powodu Addison. Nie mogła być tak nierozważna jak Mirabelle. Stwórcy nie traktowaliby jej równie pobłażliwie.

Mirabelle była dobrą przyjaciółką, ale nie zawsze rozumiała, że nie wszyscy są pod ochroną.

– Kto to był? – spytała cicho.

Mirabelle uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– To bardzo interesujące.

Umilkła i uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Obróciła głowę w stronę zbliżającej się kelnerki.

– Lucy, kochanie, zastanawiałam się, kiedy przyjdiesz przyjąć zamówienie. Umieram z głodu!

Szybko zamówiły sałatkę i zupę, jak zwykle. Kiedy Lucy odeszła, Mirabelle wzięła kieliszek białego wina i wypła łyk. Leila usiłowała powstrzymać ciekawość, ale nie mogła.

– A zatem? – odezwała się.

– Ach, tak... – Mirabelle szeroko się uśmiechnęła. – Okazuje się, że to ktoś, kogo znasz. Członek personelu kuchni, Sam Weatherall.

Leila z brzękiem upuściła na podłogę nóż do masła. Dźwięk odbił się echem w sali. W ich stronę obróciło się kilka głów. Cholera!

Podniosła nóż, ale natychmiast pojawił się kelner z nowym.

– Proszę, madam. Przyniosłem czysty nóż. Czy wszystko w porządku?

– Tak, tak – odpowiedziała Leila. – Jestem po prostu trochę niezdarna.

– Chyba statek nagle się zakołysał – rzekła gładko Mirabelle. – Nie zauważył pan tego, młody człowieku?

– Eee... tak. Bardzo mi przykro.

Odszedł bezszelestnie. Leila odetchnęła i usiłowała się uspokoić. Wzięła wino i wypła łyk.

– Przepraszam – powiedziała Mirabelle, okazując rzadką skruchę. – Myślałam, że sprawi ci to przyjemność.

Leila odzyskała spokój.

– Dlaczego miałyby mnie to obchodzić?

Mirabelle patrzyła na nią uważnie.

– No cóż, kochanie, gdybym się dowiedziała, że człowieka, który zdradził moją córkę, w końcu spotkało to, na co zasługiwał, sprawiłoby mi to piekielną przyjemność.

Leila poczuła ściskanie w piersi i serce podeszło jej do gardła.

– Nie jestem tobą – odpowiedziała i odsunęła krzesło. – Idę do ubikacji.

Zdołała wyjść z sali jadalnej równym krokiem, panując nad wyrazem twarzy. Kiedy dotarła do toalety, dygotały jej nogi i miała napięte mięśnie na policzkach. Zbyt usilnie próbowała zachować neutralny wyraz.

Kiedy weszła do środka, okazało się, że na szczęście nikogo tam nie ma, a wszystkie kabiny są wolne. Pochyliła się nad umywalką i spryskała twarz zimną wodą. Kilka razy głęboko odetchnęła. Po chwili zamknęła się w kabinie. Toalety były jednym z nielicznych miejsc na pokładzie, gdzie pasażerowie mogli spędzać czas w samotności. Obowiązywał oficjalny zakaz przebywania we własnej kajucie dłużej niż dziesięć godzin dziennie.

Usiadła na kłapie sedesu, oparła głowę na kolanach i usiłowała uspokoić rozszalałe myśli.

„Zidentyfikowali zwłoki. Członek personelu kuchni. Sam”.

Był jednym z przyjaciół Addison. Od wczesnego dzieciństwa. Należał do grupy młodych ludzi, z którymi Addison dorastała, bawiła się, przeżyła trudny okres dojrzewania, rozpoczęła pracę na pokładzie.

I w końcu zaplanowała ucieczkę.

Czasem pojawiały się plotki. O ludziach, którzy próbowali „wyjść za rufę”, jak to nazywano. Wyskoczyć ze statku. Nigdy ich nie potwierdzano. Oczywiście. Załoga nie przyznałaby, że ktoś mógłby zrezygnować z najwspanialszej podróży życia.

Jednak ludzie znikali. Nigdy o nich nie wspomiano. Uznawano ich za ofiary kolejnego „tragicznego wypadku”. Było to kłamstwo, lecz Leila zastanawiała się, ilu ludzi przeżyło próbę ucieczki. Pływali w niezmiernym oceanie, na łasce i niełasce Bogów Morza, bestii żyjących w głębinach.

Statek wycieczkowy najczęściej pływał z dala od brzegu z obawy przed zakażeniem przez zdradliwe wiatry. Jedzenia dostarczały pływające Pola Żniwne. A ponieważ kapitan zwykle pływał w kółko w miejscach, gdzie panowała ładna pogoda, nikt nie wiedział, w której części oceanu się znajdują. Po jakimś czasie nawet gwiazdy i księżyc zdawały się kłamać.

Bardzo rzadko, zwykle w nocy, statek zbliżał się do lądu, zwłaszcza jeśli na pełnym morzu pogoda się pogarszała. Znajdował się na tyle blisko, że w dali można było dostrzec niepokojący zarys brzegu. *Terra firma*. Świat, który porzucili. W czasie wszystkich lat spędzonych na pokładzie Leila nigdy nie słyszała o kimkolwiek, kto tam dotarł.

Od statku odbiła tylko jedna szalupa ratunkowa.

Ta, którą popłynęła jej córka.

Było ich pięcioro. Przyjaciele od dzieciństwa, pełni młodzieńczego buntu i frustracji. Typowe zjawisko w przypadku nastolatków, ale zwykle mija jak trądzik, nawał hormonów. Jednak Addison miała wyjątkowy charakter. Leila powinna była przewidzieć, że ciekawska mała dziewczynka wyrośnie na

awanturniczą młodą kobietę. Większość pasażerów w końcu przyzwyczajała się do życia na statku, lecz Addison czuła się jak zwierzę w klatce. Pragnęła czegoś więcej.

Dobrze to ukrywała, uzyskiwała znakomite oceny i pilnie odgrywała przewidzianą rolę. Zawsze szeroko się uśmiechała i bezbłędnie powtarzała slogany Stwórców.

Ale Leila wiedziała, że córka nieustannie wpatruje się w horyzont.

Mimo to nie zdawała sobie sprawy, co planują Addison i jej przyjaciele. Czasami ją to bolało. Niekiedy powtarzała sobie, że córka nie chciała jej narażać. Gdyby zadawano pytania, ignorancja Leili zapewniłaby jej bezpieczeństwo – i tak też się stało. Jednak bywały dni, gdy żałowała, że nie znała córki lepiej, częściej z nią nie rozmawiała, nie stała się jej powiernicą. Wiedziała, że to tylko egoizm. Podobnie jak w chwilach, gdy miała cichą nadzieję, że uciekinierzy mimo wszystko dopłynęli do lądu.

Kiedy Sam podniósł alarm, załoga usiłowała zatrzymać łódź. Doszło do szamotaniny. Jeden uciekinier i dwóch członków załogi wypadło za burtę (wszystkich uratowano). Jednak szalupa odpłynęła, a w niej troje młodych ludzi, w tym Addison.

Oczywiście szanse, że udało im się bezpiecznie dotrzeć do brzegu, były minimalne. Ziemia zmieniła się w piekło. Wszyscy wiedzieli, że będzie skażona przez setki lat. Osoby, które pozostały na lądzie i miały nieszczęście przeżyć, prawdopodobnie nie przypominały już istot ludzkich. Społeczeństwo rozpadło się w gruzy i bezpiecznym miejscem były tylko statki wycieczkowe, pływające arki Noego pełne ocalonych.

„Więc dlaczego wszyscy tak się boją?”

Leila westchnęła. Nie mogła winić Sama. Ale nie było jej przykro, że ktoś go zabił.

W latach po zniknięciu Addison przelotnie go widywała. Za udział w ucieczce (choć zmienił zdanie) wysłano go na reedukację, a później zatrudniono „pod pokładem”. Nigdy z nim nie rozmawiała. O co mogłaby go spytać? Dlaczego zdradził jej córkę? Gdzie zamierzali popłynąć? Minęło dwadzieścia lat. Prawdopodobnie nie miało to już żadnego znaczenia.

Nigdy nie znaleziono łodzi ratunkowej. Trudno się dziwić. Mogła się przewrócić do góry dnem i zatonać. Rozbić na przybrzeżnych skałach. Osiąść na mieliźnie. Morze jest brutalne, bezlitosne. Leila chciała wierzyć, że Addison żyje, ale uporczywe trzymanie się nadziei wydawało się gorsze niż otwarte pograżenie się w żałobie.

Zesztywniała, słysząc, jak otwierają się drzwi toalety. Nie powinna zostać przyłapana na płaczu ani udawaniu, grze. Wstała i szybko spuściła wodę.

Poprawiła ubranie, przybrała spokojny wyraz twarzy, otworzyła drzwi i wyszła z kabiny.

Pomieszczenie było puste. Rozejrzała się. Nikt nie stał przy umywalkach. Żadna z kabin nie była zajęta. Zmarszczyła brwi. Dziwne. Słyszała, jak ktoś wchodził, choć szum spuszczonej wody mógł zagłuszyć kroki wychodzącej osoby.

Podeszła do umywalek, by umyć ręce, i popatrzyła w lustro. Nie powinna wracać do sali jadalnej wytrącona z równowagi. Mirabelle i kelnerzy natychmiast by to zauważyli.

W jaskrawym świetle wydawała się starsza. Pod delikatnymi zmarszczkami i miękką, obwisłą skórą trudno było dostrzec kobietę, którą kiedyś była. Cóż, czas to wandal, niszczy nas wszystkich. Może lepiej, że w młodości nigdy nie była piękną? Miała o wiele mniej do stracenia. Może nie miałyby nic przeciwko utracie młodości, gdyby zmarszczki świadczyły o doświadczeniach? O ciekawym życiu, pracy, podróżach.

Nie świadczyły. Trwała w bezruchu, powoli gniła jak roślina w doniczce. Nie mogła się rozrastać, bo ograniczał ją statek. Oczywiście była podlewana i miała właściwą opiekę, lecz teraz więdła. Nigdy, naprawdę nigdy nie urosła.

Odkręciła kurek i spojrzała w dół. W umywalce coś leżało. Wyciągnęła rękę i wzięła niewielki kawałek skały. Obróciła go w dłoni. Po jednej stronie widać było spirale. Ślad dawno nieżyjącego zwierzęcia. Skamieniałość. Nie widziała skamieniałości od dzieciństwa. Na statku nie było skał, kamieni, piasku, trawy ani ziemi. Skała musiała pochodzić z lądu.

Poczuła zawrót głowy. Nie, niemożliwe. Wsunęła skamieniałość do kieszeni spódnicy i pośpiesznie wyszła z toalety. Rozejrzała się w prawo i w lewo w korytarzu. Koło bulajów na końcu mignęła postać w brązowym futrze, która zaraz zniknęła. Pobiegła za nią najszybciej, na ile pozwalały stare nogi. Skręciła za róg i zauważyła niemożliwą do pomylenia postać Donniego znikającą za podwójnymi drzwiami prowadzącymi do sali jadalnej.

Usiłowała za nim pobiec, lecz poczuła ściskanie w piersi; nie mogła złapać tchu. Zatrzymała się i oparła się o ścianę, próbując zachować równowagę. Statek się zakołysał – a może to ona się zakołysała? Machnęła rękami, straciła równowagę i upadła, uderzając głową w krawędź bulaja. Jęknęła i ogarnęła ją ciemność.

Mrok nie był zły. Unosiła się w ciemnej wodzie. Nie oddychała, ale nie miała nic przeciwko temu. Ogarnęła ją dziwna euforia. Widziała w dali światelka. Fluorescencję. Maleńkie rybki lśniące jak klejnoty. I większe istoty. Wypukłe

oczy, piękne, pomarańczowo-turkusowe macki. Bogowie Morza. Widywane tylko po Wielkim Wydarzeniu. Pozwoliła wodzie nieść się ku nim... gdy nagle rozległ się szept...

– Nic ci nie jest, kochanie? Przeżyłaś kryzys.

Otworzyła oczy. Przez chwilę była zdezorientowana. Obróciła głowę. Leżała w koi w swojej kajucie. Pochylała się nad nią Mirabelle. Miała zmartwioną minę.

– Ja...

– Zemdlałaś w korytarzu. – Przyjaciółka wzięła ją za rękę. – Powiedziałaś, że nie zjadłaś lunchu, że nie ma się czym przejmować. Nie ma się czym martwić, prawda?

Leila z wysiłkiem usiadła. Bolała ją głowa i potłuczone kości.

– Nie, oczywiście, że nie. – Zawahała się, myśląc o Donniem i skamieniałości w kieszeni. Mirabelle była jej najdawniejszą przyjaciółką. – Belle, mogę ci coś zdradzić?

Na twarzy Mirabelle pojawił się nerwowy tik.

– Możesz powiedzieć mi wszystko, ale może najpierw odetchnij świeżym powietrzem, dobrze?

– Ja...

Mirabelle wzięła Leilę za rękę, wstała i wyciągnęła ją z łóżka.

– Zgódź się... wiem. Morskie powietrze to lekarstwo na wszystkie choroby.

– Trochę mi zimno.

– Nonsens. – Mirabelle chwyciła koc i narzuciła na ramiona przyjaciółki. – Pamiętaj, jakie to szczęście, że otacza nas życiodajny ocean.

Leila patrzyła na przyjaciółkę, zastanawiając się, czy dobrze się czuje. Mirabelle zwykle nie powtarzała sloganów Stwórców. Mimo to pozwoliła zaprowadzić się do drzwi. Mirabelle je otworzyła i wyprowadziła Leilę na niewielki balkon, po czym zamknęła drzwi kabiny.

Tego ranka wiał zaskakująco silny wiatr. Smagał je po twarzach i rozwiewał włosy. Wokół statku widać było wzburzone fale. Sztormowa pogoda nie zdarzała się często. Leila odwróciła się w stronę Mirabelle. Miała załzawione oczy.

– Dlaczego mnie tutaj przyprowadziłaś? Chcesz mnie zepchnąć do morza?

Mirabelle się roześmiała.

– Nie, moja droga. Ale tu rozmowa jest bezpieczniejsza.

Zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Jej szare oczy były pokryte mlecznobiałym bielmem. Leila nie mogła ukryć zaskoczenia.

Mirabelle kiwnęła głową.

– Okulary to nie tylko pretensjonalny rekwizyt. Ukrywają chorobę.

– Zaćma niekoniecznie jest...



– Tak, jest – przerwała szybko Mirabelle. – Gdyby ktoś się dowiedział, groziłaby mi wcześniejsza emerytura. Nie zamierzam na to pozwolić. – Popatrzyła z sympatią na Leilę. – Jak długo się znamy?

– Cóż, odkąd jesteśmy na pokładzie. Pięćdziesiąt lat.

– Ile razy miałam urodziny?

Leila zmarszczyła brwi.

– Pięćdziesiąt razy?

– Nie.

– Nie?

– Gdybym miała pięćdziesiąt urodzin, byłabym starsza od ciebie – odparła Mirabelle. – A mam zaledwie siedemdziesiąt dwa lata.

Leila popatrzyła na przyjaciółkę.

– Naprawdę?

Mirabelle uśmiechnęła się blado.

– Siedemdziesiąt dwa lata od ostatnich pięciu lat, Leilo.

Leila przez chwilę zastanawiała się nad słowami przyjaciółki.

– Kłamałaś.

Mirabelle wzruszyła ramionami.

– Trochę. Sprytnie pociągałam za sznurki. Zyskałam trochę czasu. Jeśli ktoś nie obchodzi urodzin po pięćdziesiątce, nikt nie zwraca na to uwagi. Może uda mi się jeszcze kilka ominąć, zanim wyczytają moje nazwisko.

– Ale przecież...

– Wiem, to wbrew zasadom. Karane reedukacją. To prawda. Ale tak naprawdę nie mogą nic zrobić kobiecie takiej jak ja. Oczywiście wolę, żeby się nie zorientowali. Właśnie dlatego rozmawiamy tutaj, gdzie nikt nie może nas usłyszeć.

Kolejny wstrząs. Nagle Leila zrozumiała. Nie chodziło o zdrowe morskie powietrze, tylko o podsłuchy. Zerknęła naabinę. Słyszała plotki, że załoga montuje urządzenia podsłuchowe w przypadkowo wybranych kabinach, choć zawsze uważała, że to głupie wymysły.

Kiedy Mirabelle potwierdziła jej podejrzenia, Leilę przeszył lodowaty dreszcz, który nie miał nic wspólnego z zimnym popołudniowym wiatrem. Przez cały czas, przez te wszystkie lata... Czy podsłuchiwali też w starej kajucie? Czy słyszeli intymne rozmowy z Nickiem? Sprzeczki, okazjonalne wątpliwości na temat tego, co się dzieje na pokładzie? Żołądek podszedł jej do gardła.

– Dlaczego mówisz mi to wszystko? – spytała.

Mirabelle z powrotem założyła okulary.

– Bo twoje nazwisko zostanie wyczytane w czasie ceremonii emerytalnej.

Leila skinęła głową. Nie była zaskoczona, że jest to z góry ustalone.

– Chyba już pora.

Mirabelle ujęła jej rękę.

– Jesteś moją najdawniejszą, najbliższą przyjaciółką. Nie chcę cię stracić, ale nawet ja nie mogę tego powstrzymać.

Leila znowu kiwnęła głową, czując łzy napływające do oczu. Nie wiedziała, dlaczego płacze. Była przygotowana na tę chwilę, odkąd weszła na pokład. Każdy pasażer był przygotowany. Pobyt na statku dawał ogromne przywileje, ale rejs nie mógł trwać wiecznie. Musiał się skończyć. W siedemdziesiątym piątym roku życia przechodziło się na emeryturę. Zawsze tak było. Liczbę pasażerów należało utrzymywać na rozsądnym poziomie. Starzy ludzie zużywali zbyt wiele zasobów. Musiał również przejść na emeryturę każdy, kto cierpiał na poważną chorobę albo stał się niepełnosprawny.

Takie były zasady. Było to konieczne dla wspólnego dobra. Nieustannie to powtarzano.

Więc dlaczego Leila czuła, że nie jest gotowa? Mimo wszystko, mimo frustracji związanej z życiem na statku, mimo utraty męża i córki w dalszym ciągu chciała zobaczyć następny świt, patrzeć na stado delfinów wdzięcznie wyskakujących nad powierzchnię morza albo majestatycznych Bogów Morza machających długimi mackami w promieniach zachodzącego słońca. Życie ciągle istniało, choć Leila była tylko widzem. Będzie jej brakować wielu rzeczy, szczęśliwych uśmiechów dzieci i Mirabelle.

Przyjaciółka uśmiechnęła się smutno, jakby czytała jej w myślach.

– Kiedy odejdziesz, kochanie, nie będę miała nikogo. Dlatego chcę ci dać coś jeszcze.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła małą fiolkę wypełnioną płynem.

– Co to takiego? – spytała Leila.

– Morfina.

– Morfina? Po co mi morfina?

Mirabelle wsunęła jej flakonik do ręki.

– Wlej ją do szampana w trakcie ceremonii. Zaśniesz, nim wpadniesz do wody.

Leila zmarszczyła brwi, zdezorientowana.

– Po co? W wodzie Bogowie Morza i tak mnie uspią. Szybko zapadnę w spokojny sen.

Mirabelle pokręciła głową.

– Ciągłe wierzysz w to, co mówią, Leilo? Pamiętasz, że wpadłam do morza, kiedy byłam młoda? Wyłowili mnie, ale ledwo przeżyłam.

Leila pamiętała wypadek jak przez mgłę, czas zniekształcał wspomnienia, zamazywał je, tworzył fikcyjną rzeczywistość. Czasami miała wrażenie, że to

fale kradną jej myśli, że porywają je przyływy i odpływy oceanu.

– Zaufaj mi, Leilo – ciągnęła Mirabelle. – Śmierć nie jest szybka ani spokojna. Wstrzymujesz oddech, nie możesz dłużej wytrzymać i do płuc wpada lodowata woda. To tortura, przerażająca męka. – Ujęła mocno dłonie Leili. – Weź morfinę. Dzięki temu umrzesz we śnie. To najlepsze rozwiązanie.

Czy to prawda? Leila znowu pomyślała o skamieniałości w swojej kieszeni. Donnie. „O północy. Przy szalupach ratunkowych”. Co się dzieje? Czy powinna powiedzieć Mirabelle? I nagle podjęto za nią decyzję, ponieważ ktoś głośno zapukał w drzwi na balkon.

Mirabelle i Leila wzdrygnęły się i obróciły głowy. Za szybą stał młody człowiek z włosami zaczesanymi do tyłu, ubrany w standardowy mundur stewarda. Wszedł do kajuty Leili.

– Kontrola kajut, madam! – krzyknął przez drzwi.

Leila zerknęła nerwowo na Mirabelle. Kontrola przypadkowo wybranych kajut. Od przeszło dziesięciu lat nigdy to jej nie spotkało. Mirabelle uniosła brew.

– Już wracamy, kochany! – zawołała w odpowiedzi.

Spojrzała ostrzegawczo na Leilę i otworzyła drzwi na balkon. Leila schowała morfinę do kieszeni i przeszła za przyjaciółką do kajuty. Młody człowiek uśmiechnął się szeroko, ukazując pożółkłe, nierówne zęby, znacznie częstszy widok niż olśniewający uśmiech Bobby’ego. Na statkach brakowało dentystów i pasty do zębów. Większość młodych ludzi nawet nie słyszała o aparatach ortodontycznych ani wybielaniu.

– Przyszedłem przeprowadzić krótką kontrolę – powiedział. – Sprawdzić, czy nie potrzebuje pani pomocy medycznej.

– Nie, czuję się znacznie lepiej – wybąkała Leila.

– Wyszliśmy na balkon, żeby odetchnąć morskim powietrzem – dodała gładko Mirabelle.

Młody człowiek – na jego plakietce widniało imię „James” – kiwnął głową.

– Doskonały pomysł. Świeże powietrze i odpoczynek. Na pewno jest pani zmęczona?

Spojrzał w oczy Leili, którą przebiegł dreszcz. Zmęczona. Gotowa do przejścia na emeryturę. Właśnie tego chcą ci młodzi ludzie. Kiedy na nią patrzą, widzą kogoś, kogo dni są policzone. Którego czas prawie się skończył. Kto zabiera innym miejsce. Czy ktoś już poprosił o jej kajutę, ubrania, rzeczy osobiste?

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Masz rację, jestem trochę zmęczona.

Mirabelle znowu obrzuciła ją ostrym spojrzeniem.

– Właśnie dlatego nie mogę się doczekać ceremonii przejścia na emeryturę – ciągnęła Leila. – Mam nadzieję, że wyczytają moje nazwisko. Przeżyłam na statku wiele lat i jestem za to bardzo wdzięczna.

Twarz Jamesa złagodniała.

– Miło mi to słyszeć, madam. Nie będę pani dłużej przeszkadzał. Proszę wrócić na pokład, gdy będzie pani gotowa.

– Dziękuję, młody człowieku.

– Cała przyjemność po mojej stronie, madam.

– Ja też powinnam iść – wtrąciła szybko Mirabelle. – Chciałam tylko się upewnić, że nic ci nie jest, Leilo.

– Jesteś dobrą przyjaciółką – odparła Leila, starannie ważąc słowa. Mirabelle skinęła głową i wyszła za Jamesem z kajuty. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Leila padła na wąską koję.

Zawsze uważała, że jest gotowa do przejścia na emeryturę. Po co właściwie miałyby dalej żyć? Ale teraz wszystko się zmieniło. Coś się zmieniło. Morderstwo, skamieniałość, wiadomość. Czowała emocje, których nie doznawała od długiego czasu. Ciekawość, podniecenie, strach, oczekiwanie.

Czy naprawdę pójdzie na sekretne spotkanie? Mogłaby stanąć oko w oko z mordercą. A jeśli człowiek przebrany w kostium Donniego zamordował Sama? Z drugiej strony – co to za różnica? I tak za dwa dni ma przejść na emeryturę. „Cokolwiek zrobisz, zginiesz”. Poczwała, że histerycznie chichocze. Zakasłała, przypominając sobie, że może być podsłuchiwana. Nie powinna wzbudzać podejrzeń.

Wszystko powinno wyglądać normalnie. Musi się zachowywać jak co dzień. Wczesna kolacja z Mirabelle, później dwa drinki w barze, w którym grał pianista. Zwykle wracała do kajuty najpóźniej o dziesiątej trzydzięci. Obecnie wstawała w nocy co najmniej raz, by skorzystać z toalety. „Czy tego też słuchają?” – pomyślała nagle i poczuła, jak twarz oblewa jej rumieniec. Cóż, wpadną we własne sidła, ponieważ dzięki temu wymknie się niepostrzeżenie z kajuty. Spuszczanie wody jest hałaśliwe i powinno ukryć szcęk zamykanych drzwi.

A potem? Co dalej?

Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat nie знаła odpowiedzi. Kolację podawano w Sali Książęcej. Znajdowały się w niej złote kolumny sięgające do sufitu, na którym wisiały wielkie błyszczące kandelabry. Część żarówek była przepalona; gdzieniegdzie dawało się dostrzec welony pajęczyn. Spłowiałe tapety pokrywał wzór złożony z małych koron; na ścianach płonęły lampy imitujące pochodnie.

Wokół krążyli kelnerzy odziani w stroje z aksamitu i tiulu – dziewczęta w wyszukanych sukniach z gorsetami ozdobionymi koronkami, młodzi mężczyźni w lakierkach i smokingach. Kostiumy, które łątano, cerowano i przerabiano dziesiątki, jeśli nie setki razy.

Był to tylko pozór, jak wszystko na pokładzie. Wystarczyło dokładniej się przyjrzeć i nic nie wydawało się prawdziwe. Oczywiście większości pasażerów w ogóle to nie obchodziło. Akceptowali status quo. Nie spotykały ich niespodzianki. Wszystkim zajmowała się załoga. Nikt nie musiał się martwić ani myśleć. To im wystarczało. I Leili również, przez długi czas.

Ale teraz?

– Lepiej się czujesz, kochanie? – spytała Mirabelle, smarując chleb masłem.

– Tak. – Leila się uśmiechnęła i sięgnęła po łyżkę do zupy. – Znacznie lepiej, dziękuję.

– To dobrze. Bo mam wiadomości. – Mirabelle pochyliła się do przodu i szepnęła teatralnie: – O morderstwie.

Leila próbowała zapanować nad emocjami.

– Naprawdę?

Mirabelle skinęła głową.

– Oficjalnie Weatherall miał tragiczny wypadek. Wiesz, zdarza się to wielu osobom.

– A nieoficjalnie?

– Nie zabił go żaden z pasażerów ani członków załogi.

– Nie rozumiem.

– Podejrzewają, że ktoś dostał się na pokład.

Leila poczuła lodowaty dreszcz przebiegający po plecach.

– To przecież niemożliwe, prawda?

Mirabelle uniosła brew.

– Przeszukują statek. Oczywiście dyskretnie. Jak dotąd nie znaleźli intruza.

– Może uciekł?

– Może. Albo się ukrywa.

Leila przełknęła ślinę.

– Wykluczone. Załoga zna wszystkich pasażerów. Naprawdę myślisz, że mogłaby nie zwrócić uwagi na obcego?

Widziała, że oczy przyjaciółki rozbliły się za ciemnymi okularami.

– Trafna uwaga – rzekła Mirabelle, sięgając po kieliszek z winem. – Chyba że...

– Chyba że co?

– Wrócił dawny pasażer, który uciekł ze statku. Znałby rozkład pomieszczeń, zwyczaje. Wiedziałyby, gdzie się ukryć.

Ukryć się. Oczywiście. Donnie. Zabawna czerwona obroza. Pomarańczowy jęczor wystający z pyska.

Tym razem Leila usiłowała zachować spokój. Spokojnie poprawiła serwetkę i uśmiechnęła się.

– Cóż, myślę, że to trochę naciągana teoria. Moim zdaniem okaże się, że to po prostu jeden z członków załogi.

Mirabelle stężała. Nie lubiła, gdy Leila się z nią nie zgadzała. Leila nigdy tego nie robiła. Na tym opierała się ich relacja. Mirabelle dominowała, a Leila potulnie to akceptowała.

– Cóż, wkrótce się przekonamy. – Mirabelle pociągnęła nosem i wypiła łyk wina. – Nikt nie chce, żeby po statku biegał oszalały morderca. Mam nadzieję, że szybko go złapią.

Leila się uśmiechnęła.

– Jestem pewna, że badają każdy trop.

Leila bardzo chciała odejść, ale zmusiła się, by iść z Mirabelle i dwiema innymi starszymi paniami – Maureen i Barbarą – do Piano Bar, gdzie zamówiły koktajle.

Zaczynała ją boleć głowa i czuła ściskanie w żołądku wywołane nerwowym oczekiwaniem. Rozmowa o morderstwie nie pomogła. Stwórcy zwykle próbowali ukrywać takie wypadki, lecz zdawali sobie sprawę, że na statku istnieje poczta pantoflowa (Mirabelle była jej filarem). Pozwalali plotkom się rozchodzić, gdy im to odpowiadało. W takiej sytuacji do Leili mogły dotrzeć użyteczne informacje.

Była pewna, że wszechobecni stewardzi wiedzą więcej, niż zdradzają. Mirabelle uważała, że jest dyskretna, ale jej szept stawał się coraz głośniejszy w miarę opróżniania kolejnych kieliszków. Leila popijała Bloody Mary, dość konserwatywny wybór. Nie śpieszyła się, chciała zachować jasność umysłu (albo to, co z niego zostało). „O północy. Przy szalupach ratunkowych”.

Pianista grał miłe dla ucha wersje słynnych melodii Stwórców. Leila zacisnęła zęby i próbowała nie krzyczeć. W końcu zegar wskazał kwadrans po dziesiątej. Wstała, przeprosiła przyjaciółki, życzyła personelowi dobrej nocy i powoli ruszyła w stronę wind. Miała ochotę przyśpieszyć, jednak starała się iść wolno. Czekwała cierpliwie na windę. Powinna wyglądać zupełnie normalnie. Zwłaszcza tego wieczoru.

Morderstwo. Zwłoki. Intruz na pokładzie. „O północy. Przy szalupach ratunkowych”.

Wyszła z windy na swoim piętrze i zauważyła zbliżającą się Arianne, pokojówkę kabinową. Tak jak każdej nocy. Dobrze. Świadek. To ważne, by ktoś

widział, że Leila wchodzi do kajuty. Żadnych odstępstw od normy.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Dobranoc, Arianne.

Dziewczyna odwzajemniła uśmiech.

– Dobranoc, pani Simmonds.

Po rytualnej wymianie uprzejmości Leila poszła korytarzem do kajuty numer pięć tysięcy siedemset trzydzieści cztery. Przyłożyła kartę do drzwi. Zabrzęczał otwierany zamek. Weszła do środka, pozwoliła, by drzwi automatycznie się zamknęły, i stała przez chwilę w bezruchu, głęboko oddychając. Półtorej godziny do spotkania.

Rozejrzała się. Kajuta wydawała się mniejsza, dusząca. Pamiętając o podsłuchach, weszła do niewielkiej łazienki, umyła zęby i twarz, po czym zaczęła się krzątać. Kilka razy otworzyła i zamknęła drzwi garderoby, mając nadzieję, że to wystarczy, by uznano, że przebrała się w koszulę nocną. Prawdopodobnie cierpi na paranoję. Nie mogą podsłuchiwać przez cały czas, prawda? Ale warto zachować ostrożność.

W końcu położyła się na koi i zgasiła światło. Widziała w ciemności blask cyfrowego budzika: wskazywał dziesiątą czterdzieści pięć. Musiała czekać, by wykonać następny ruch.

Czas płynął bardzo powoli. Leila usiłowała nie patrzeć na budzik. Mimo zdenerwowania i ściskania w brzuchu powieki wydawały się jak zrobione z ołowiu. Nie, nie możesz zasnąć. Bądź czujna, nie zapadaj w sen. Ale wiek i wino zrobiły swoje. Znowu przymknęła powieki...

Otworzyła oczy. Zamknęła je tylko na kilka minut, na pewno nie dłużej. Zerknęła na zegarek: była jedenasta pięćdziesiąt cztery. „Nie!” Usiadła tak gwałtownie, że zakręciło jej się w głowie. Nie było czasu, by próbować się uspokoić. Wygramoliła się z koi i poszła do łazienki. Uderzyła się w mroku w palec u nogi i zdławiła okrzyk bólu. Szybko włączyła światło, zamknęła drzwi, odczekała dziesięć dręczących sekund i spuściła wodę.

Jak najciszej wyślizgnęła się z łazienki. Nie miała czasu narzucić płaszcza. Włożyła praktyczne mokasyny i opuściła kajutę. Dopiero w połowie korytarza zdała sobie sprawę, że zostawiła w środku kartę do drzwi. Zawahała się, po czym powiedziała sobie, że nie powinna być taka głupia. Tak czy inaczej, nie ma już odwrotu.

Leila szybko ruszyła korytarzem; jej buty szeleściły na grubej wykładzinie. Czy się spóźniła? Jej kajuta znajdowała się na piątej kondygnacji. Musiała przebyć cztery piętra w dół, by dotrzeć do szalup ratunkowych. Nie ośmieliła się

pojechać windą. Niegdyś, jako żwawa dwudziestolatka, zbiegłaby po schodach w niespełna minutę. Teraz schodziła znacznie wolniej. Nie mogła się potknąć ani skrócić kostki. Schody, oświetlone jedynie miękkim pomarańczowym światłem nocnych lamp, były pogrążone w półmroku.

Statek spał, choć tak naprawdę nigdy nie spał. Załoga zawsze pracowała i obserwowwała, czyściła i konserwowała maszyny. Kiedy dotarła do sali na pierwszym piętrze, usłyszała szum odkurzacza i zza rogu wyszła sprzątaczką w stroju roboczym: można się było tego spodziewać. Leila szybko się ukryła w niewielkiej niszy za schodami. Sprzątaczką, młoda kobieta z krótkimi ciemnymi włosami i bladą skórą, rytmicznie przesuwiała rurę odkurzacza tam i z powrotem. Coraz bardziej się zbliżała. Jeśli się obróci albo uniesie wzrok, na pewno zobaczy Leilę skuloną w cieniu.

Jednak jej nie zauważyła. Przeszła obok, tak blisko, że prawie mogłaby jej dotknąć, ale nie zwracała uwagi na otoczenie. Leila zrozumiała dlaczego. Dziewczyna miała na głowie słuchawki i niewielki odtwarzacz MP3 wsunięty do tylnej kieszeni spodni. Personelowi nie pozwalano nosić słuchawek ani słuchać muzyki w trakcie pracy. Za bardzo go to rozpraszało. Przypuszczała, że młoda kobieta nie spodziewała się, by ktokolwiek mógł ją przyłapać ze słuchawkami w trakcie pracy na nocnej zmianie. I, na szczęście dla Leili, była zatopiona we własnych myślach.

Przeszła obok, nucąc pod nosem, a później skrzyła w następny korytarz. Leila odetchnęła i spojrzała na zegarek. Punkt dwunasta. Cholera... Spóźni się. Pobiegła przez salę do drzwi prowadzących na pokład. Otworzyła je i wyszła.

Wiatr ucichł. Noc była spokojna, ale zimna. Leila zadygotała. Miała na sobie tylko cienki sweter i spódnicę. Nie wzięła bluzy ani karty do drzwi. Żadnej broni. Znowu przyszło jej do głowy, że to szaleństwo, coś niebezpiecznego. Lecz tylko na chwilę.

Mocno biło jej serce, nie ze strachu, tylko podniecenia. Stała na pokładzie. Nad głową lśniły gwiazdy, jej zmysły wydawały się wyostrome. Słyszała niski warkot silników statku, niekończący się plusk fal. Czuła zapach soli i wilgotnego drewna. Zaswędziały ją ramiona. Po raz pierwszy od lat czuła... że naprawdę żyje.

Bała się, że może się spóźnić. Widziała przed sobą tablicę wiszącą na ścianie. „Szalupy ratunkowe”. Ale pokład był pusty. Czyżby minęła się z tajemniczą osobą, która ją zaprosiła? Czy to żart? Wyjęła z kieszeni kartkę.

Później usłyszała dźwięk. Skrzywienie. Z mroku wyszła postać. Brązowe futro, zabawna czerwona obroża, różowy jęzor sterczący z pyska. Pies Donnie.

Podszedł do niej i zatrzymał się w odległości ramienia. Bezczelny Donnie, którego tak lubiła Addison. Ale kto ukrywa się pod futrem nadgryzionym przez



mole?!

– Prosiłeś... żebym się z tobą spotkała – wybąkała Leila.

Donnie kiwnął wielkim łbem.

– Zostawiłeś mi skamieniałość?

Kolejne skinienie.

– Dlaczego? Kim jesteś?

Przysunął się bliżej. Leila czuła stęchły zapach kostiumu i czegoś mającego źródło pod spodem. Potu, odoru ciała. Instynktownie zrobiła krok do tyłu. Oparła się plecami o reling.

– Kim jesteś? – znowu spytała drżącym głosem. – Pokaż twarz.

Donnie uniósł ręce do kosmatej głowy. Później znieruchomiał. Wielkie łapy wystrzeliły do przodu i wypchnęły Leilę za burtę.

Runęła w dół, machając ramionami. Jej krzyki ucichły w nocnym powietrzu. Słyszała świst wiatru, widziała rozmazane światła kajut, a później uderzyła w lodowatą toń i straciła oddech. Pochłonęło ją morze. Wierzgąła nogami, walcząc z wodą. Wynurzyła się na moment i ujrzała drugie ciało wpadające do wody, po czym znowu pochłonęło ją ciemne morze.

Walczyła, wierzgając tak mocno, jak pozwalały stare nogi. Zawsze była dobrą pływaczką, ale było to coś zupełnie innego niż pływanie w podgrzewanym basenie na statku. Przemoczone ubranie wciągało ją pod powierzchnię. Zakrztusiła się i zaczęła kasłać. Niedobrze. Nie wolno walczyć z morzem. Morze zawsze zwycięża.

Nagle coś usłyszała. Warkot niewielkiej motorówki. Oślepiło ją jaskrawe światło. Reflektor przeszukujący morze. Czy ze statku opuszczono szalupę ratunkową, by ją wyłowić?

Warkot się zbliżał. Leila próbowała unieść rękę i pomachać, lecz miała ramiona jak z ołowiu. Paraliżowało ją zimno. Nie czuła rąk ani nóg. Może łatwiej po prostu...

– Nie, nie rób tego.

Głos mężczyzny. Chwyciły ją za ramiona silne dłonie i wyciągnęły z wody na pokład holownika. Niejasno zdawała sobie sprawę, że ktoś podąży za nią. Zobaczyła brodatą twarz i poczuła, że czyjeś ręce owijają ją ręcznikami. Oddychała chrapliwie, serce tłukło jej się w piersi. Za późno. Była taka słaba... Wzywała ją ciemność.

Ostatni głos, który usłyszała, należał do kobiety:

– Wszystko w porządku. Wszystko będzie w porządku. – Później, ostrzejszym tonem: – Wrócisz do domu. Nic ci nie grozi.

\* \* \*

Dźwięki. Nieznajome. Piskliwy świergot i niższe brzęczenie. Leila powoli otworzyła oczy. Pokój. Gołe białe ściany. Łuszcząca się farba. Co to za miejsce? Reedukacja. Może trzymają ją w sekretnym pomieszczeniu na niższych poziomach statku?

Nie, to nie to, coś innego. Czegoś jej brakowało. Koi, kajuty? Zdała sobie sprawę, że chodzi o ruch. Na pokładzie statku, nawet w czasie najlepszej pogody, zawsze istniało poczucie ruchu. Leciutkie kołysanie. Wibracja wielkich maszyn. Po tak długim czasie prawie się ich nie zauważało, ale teraz Leila czuła ich nieobecność. Wszystko było zupełnie nieruchome. A dźwięki? Skąd pochodzą?

Usiłowała usiąść i znowu opadła na poduszki. Miała zeszytywniałe stawy; głowa wydawała się wypełniona watą. Odetchnęła głęboko i o mało nie dostała torsji. Zapachy. Również dziwne. Nie codzienna woń statku pachnącego odświeżaczem powietrza ani zapach słonej wody. Kurz, coś kojarzącego się z ziemią i inny, nieprzyjemny odór, jak z kanału ściekowego. Obcy, dziwny, niepokojący.

Znowu spróbowała usiąść i tym razem jej się udało. Miała przez chwilę zawroty głowy, ale ustały. Rozejrzała się po otoczeniu.

Nie cela, z pewnością nie kajuta. Pokój był ogromny. Znajdowały się w nim dwa łóżka nieporządnie zasłane kocami i pościelą, która wyglądała, jakby nigdy nie była prasowana. Niewielka toaleta i koślawa szafa. Naprzeciwko Leila miała drewniane drzwi, lekko uchylone, a po lewej stronie okno, nie bulaj. Duże okno wpuszczające smugi światła przez żaluzje.

Poczuła mdłości. „O mój Boże...” Przebywała w budynku. Na lądzie. Ogarnęła ją panika i usiłowała z nią walczyć, oddychać, zachować spokój. Czy naprawdę nic jej nie grozi? Stały ląd. Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat. A dźwięki, które słyszała? Oczywiście. Ćwierkanie ptaków i brzęczenie pszczół. Na statku nigdy nie słyszało się ptaków ani owadów. Mewy, owszem, ale nie ćwierkanie ptaków. Skąd mogły się wziąć ptaki śpiewające na zniszczonym lądzie? Czy nie jest zatruty, zrujnowany, nie nadaje się do życia?

Spuściła nogi z łóżka. Ubrano ją w workowate spodnie i bezkształtną bawełnianą koszulę. Tkanina była twarda, szorstka. Przypuszczała, że jej normalne ubranie się suszy. Obok łóżka stały klapki. Wsunęła je na nogi, po czym z wahaniem podeszła do okna. Wyciągnęła rękę w stronę żaluzji, rozpaczliwie pragnąc zobaczyć świat na zewnątrz. Później usłyszała za sobą dźwięk. Skrzypienie otwieranych drzwi. Obróciła się.

Do pokoju weszła kobieta. Wysoka i szczupła, z krótko ostrzyżonymi ciemnobrązowymi włosami okalającymi kanciastą twarz. Nie można by jej nazwać klasyczną piękną – lecz miała w sobie coś uderzającego. Mocny podbródek, przenikliwe spojrzenie. Była ubrana w parę szarych bojówek, T-shirt

i buty sportowe. Z rękawów koszulki wystawały muskularne ramiona. Nie spędzała dni na popijaniu koktajli nad basenem. Leila z biegiem lat stawała się coraz słabsza, jej ciało przypominało ciasto, a ta kobieta wyglądała na twardą. Mogła nawet budzić strach.

Nagle się uśmiechnęła. Jej twarz się rozpuściła.

– Mamo? To ja, Addison.

Leila kiwnęła głową. Wiedziała. Matka zawsze wie. Nawet po dwudziestu latach. Jej córka żyje.

– Addison... – powiedziała i nagle zalała się łzami. Addison przeszła przez pokój i przytuliła ją. „Odwrócone role” – pomyślała Leila. Teraz to ona jest słaba i potrzebuje wsparcia. Trwały w bezruchu przez kilka minut, po czym Addison zrobiła krok do tyłu.

– Myślałam, że nie żyjesz – rzekła Leila. – Powiedzieli nam...

– Kłamią – odparła twardo Addison. – Uciekliśmy, mamo. Dopłynęliśmy do brzegu.

– Przez cały czas...

– Przykro mi. Chciałam po ciebie wrócić, ale... cóż, mieliśmy mnóstwo roboty. Stworzyliśmy coś w rodzaju społeczności, znaleźliśmy ludzi mogących pomóc, pracowaliśmy przy odbudowie. A statek rzadko podpływa do lądu. Śledziłam jego kurs przed naszą ucieczką. Zbliżyła się do lądu na tyle blisko, że można tam dopłynąć, zaledwie raz na sześć lat. Musiałam czekać. A później wiedziałam, że jeśli nie wyciągnę cię przed ceremonią przejścia na emeryturę...

– Umilkła. – Cóż, w końcu popłynęłam z Calem, moim partnerem. Zdołałam zahaczyć bosak o burtę i wspiąć się na pokład.

– To przez cały czas byłaś ty, w kostiumie Donniego?

Addison skinęła głową. Leila patrzyła na córkę. Musiała zadać jeszcze jedno pytanie.

– A Sam?

Addison westchnęła.

– Był na pokładzie, ukradkiem palił papierosa. Zauważył, jak wchodzę na statek. Musiałam go zabić, mamo.

Leila ścisnęło się serce. Jej córeczka, morderczyni... Przypomniała sobie jednak, że Addison po nią wróciła.

– Dlaczego zostawiłaś go w brodziku?

Twarz Addison stwardniała.

– Nie zasługiwał na to, by oddać go Bogom Morza.

Leila powoli skinęła głową.

– Rozumiem.

Kolejne westchnienie, nieco bardziej niecierpliwe.

– Musiałam się nauczyć być twarda, mamó. Żeby przeżyć. Ale robiłam wszystko dla innych, dla wspólnego dobra.

„Wspólne dobro”. Czy Stwórcy ciągle nie powtarzają tego określenia? Leila patrzyła na córkę i usiłowała powstrzymać dreszcz.

– Właśnie dlatego wypchnęłaś mnie za burzę?

– Przepraszam. To był najszybszy sposób. Mogłaś się bać, że musisz skoczyć albo zamoczysz sobie nogi. Chciałam ci tego oszczędzić.

– Mogłaś mnie zabić.

– Wiedziałam, że dobrze pływasz. – Lekkie wzruszenie ramion. – Z kilka dni i tak miałaś przejść na emeryturę. Warto było zaryzykować.

„Znowu to samo” – pomyślała Leila. Twardy głos córki. Była pewna, że dawniej była inna. Addison się uśmiechnęła.

– Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Jesteś tutaj. Ze mną, z nami wszystkimi.

– Tak – odpowiedziała Leila, choć nagle poczuła się niepewnie.

Gdzie jest i z kim?

– Co się stało, mamó?

– Jesteśmy tu bezpieczni? Mówiono nam, że powietrze nie nadaje się do oddychania, że ziemia jest skażona, a ludzie, którzy pozostali... zmienili się w potwory.

Addison pokręciła głową. W jej oczach rozbłysł gniew.

– To kłamstwa, mamó. Żeby zatrzymać was na pokładzie. Żeby nad wami panować. Żeby zachować władzę. – Wyciągnęła rękę. – Pokażę ci coś.

Leila się zawahała, po czym ujęła dłoń córki. Addison wprowadziła ją do długiego jasnego korytarza.

– Ten budynek był kiedyś hotelem, ale teraz należy do nas – powiedziała.

– Kto tu właściwie mieszka?

– Nasza grupa. Jest nas około trzydziestu. Pracujemy i żyjemy razem.

– Jak w komunie? – spytała Leila.

Addison się roześmiała.

– Jeśli chcesz to tak nazywać...

Leila pomyślała, że musi się oswoić z nowymi informacjami. Na statku nigdy nie czuła się niepewna ani głupia. Znała zasady, wszystkich pasażerów. Czuła się bezpieczna. Tutaj nie miała o niczym pojęcia.

Posłusznie podążyła za Addison szerokimi kręconymi schodami, aż dotarły do pomieszczenia, które – jak przypuszczała – było kiedyś recepcją hotelu. Wydawało się, że przekształcono ją w coś w rodzaju sali wypoczynkowej. Wokół prowizorycznego paleniska stały podniszczone fotele. Na podłodze leżały koce i pufy. Na zarwanej kanapie siedziało dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta

w podartych dzinsach i brudnych dresach. Palili papierosy, trzymając w rękach kubki. Mieli ogolone głowy.

Kiwnęli w stronę Addison i Leili, gdy przechodziły.

– To Fred i Evie – wyjaśniła Addison. – Ich rodzice zmarli wkrótce po Wydarzeniu. Nauczyli się dawać sobie radę. Wymyślili nawet własny język. Większość z nas nawet się nie domyśla, o czym rozmawiają. – Znowu się zaśmiała, lecz Leila nie uznała słów córki za zabawne, tylko smutne.

Minęły recepcję i dotarły do dwuskrzydłowych drzwi wejściowych. Addison je otworzyła i Leila zmrużyła oczy w jasnym słońcu.

– Witaj w naszym Edenie! – rzekła Addison.

Wyszły na zewnątrz. Leila poczuła wiele nieznanym zapachów. Uniosła rękę do oczu i rozejrzała się. Ogromna murawa, ale nikt jej nie kosił ani nie pielęgnował. Trawa była wysoka, rosły wśród niej chwasty. Po lewej stronie kilka osób pracowało na błotnistym poletku, prawdopodobnie w ogrodzie warzywnym. Wokół swobodnie krążyły chude kury, świnie i owce. Leila czuła zapach ziemi i roślin, a także odór nawozu, który zupełnie nie pasował do nazwy Eden.

– Przekształciliśmy część terenu w ogrody warzywne – powiedziała Addison. – Mamy trochę zwierząt i zamierzamy wyhodować następne. Jesteśmy prawie samowystarczalni.

Leila zamrugała. Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat mogła stanąć na trawie, o czym zawsze marzyła, ale miała wrażenie, że jej stopy są przykute do asfaltowej ścieżki. Trawa wyglądała... prymitywnie.

– Wszystko jest śliczne – wyjąkała.

– Dzięki. Ciężko pracowaliśmy, by stworzyć tę farmę.

Leila spojrzała w stronę wysokich kamiennych murów otaczających zielone pole.

– A co jest na zewnątrz?

Kolejny śmiech.

– Nie martw się, mam. Po ulicach nie krążą krwiożercze potwory, zombie. Chodź.

Odwróciła się i ruszyła ścieżką w stronę wysokiej dwuskrzydłowej bramy z metalu. Leila poszła za nią. Może zobaczy coś nowego? Addison jest szczęśliwa w komunie hipisów, ale za murem może istnieć normalna cywilizacja, prawda?

– Gotowa? – spytała córka. Otworzyła bramę.

Leila się rozejrzała. Zamarło w niej serce.

Hotel stał na szczycie wzgórza i było z niego widać panoramę miasta w dole. Albo tego, co z niego zostało. Ruiny, stosy gruzu. Zawalone budynki, wybite

okna. Parkany i tablice reklamowe porośnięte chwastami. Wraki samochodów na poboczach ulic. Śmieci, chaos. Leila zauważyła lisa, a może bezpańskiego kota, który wspinał się na stos zardzewiałych puszek, ciągnąc martwego szczura.

– To... to jest...

– Piękne, wiem. – Addison głęboko odetchnęła. – Wyobrażaliśmy sobie, jak może wyglądać świat, ale okazał się znacznie wspanialszy.

Leila zastanawiała się przez chwilę, czy córka nie żartuje. Nagle wszystko zrozumiała. Addison nigdy nie widziała świata takiego, jaki był wcześniej. Większość żyjących tu ludzi była zbyt młoda, by go pamiętać. Dla Addison, która spędziła całe życie uwięziona na statku wycieczkowym, ta dekonstrukcja, chaos i zniszczenie naprawdę były piękne.

Leila popatrzyła na zrujnowany hotel. Nie było w nim ogrzewania ani elektryczności. Domyślała się, że również bieżącej wody. Zastanawiała się, jak szybko zacznie tęsknić za gorącym prysznicem, wizytą u manikiurzystki albo koktajlami popijanymi wieczorem w Piano Bar.

– Nic ci nie jest, mamó? – spytała Addison.

Leila przełknęła ślinę.

– Nie. To po prostu... ogromne przeżycie.

Addison wzięła ją za rękę. Leila zauważyła, że dłoń córki jest szorstka i pokryta odciskami.

– Wiem, że to dla ciebie szok, mamó – powiedziała dziewczyna. – Ale będziesz miała mnóstwo zajęć.

– Zajęć?

– Tak. – Addison z entuzjazmem skinęła głową. – Zawsze jest praca do wykonania. Nie ma pasażerów. I nikt nie przechodzi na emeryturę.

Leila uśmiechnęła się słabo.

– Nigdy?

– Nigdy.

Popatrzyły na zrujnowane miasto. Leila wsunęła dłoń do kieszeni. Miała na sobie cudze ubranie. Butelec zniknęła.

„Nigdy – pomyślała. – Przenigdy”.

I nagle poczuła się bardzo zmęczona.

# Blok

## WSTĘP

**K**ocham Nottingham. To moje rodzinne miasto. Spędziłam w nim młodość. Wynajęłam pierwszy dom, podjęłam pierwszą pracę, zakochałam się, przeżyłam zawód miłosny i poznałam obecnego męża.

To wspaniałe miasto. Odwiedźcie je, jeśli będziecie mieli okazję. W Nottingham są piękne parki, fantastyczne sklepy i puby. Ludzie też nie są źli!

Oczywiście, jak w większości wielkich miast, niektóre dzielnice nie są zbyt malownicze.

W 2012 roku zajmowałam się zawodowo wyprowadzaniem psów i chodziłam na spacerzy z dwoma bardzo sympatycznymi psami ze schroniska w jednej z mniej zamożnych dzielnic Nottingham. W pobliżu wzgórza porośniętego krzakami, gdzie rzucałam im piłeczki, stał opuszczony wieżowiec. Wyglądał dość ponuro. Od dawna opustoszały, z wybitymi oknami, czasem zabezpieczonymi arkuszami sklejki. Parter pokrywało graffiti.

Rada miejska wyremontowała wiele wieżowców w Nottingham, ale ten pozostał ciemny i pusty, otoczony rzędami szeregowców pogrążonych w wiecznym cieniu.

W owym czasie wieżowiec mnie fascynował. Nie miałam wątpliwości, że przyciąga przestępców, squattersów i dilerów narkotyków. Ale przychodziło mi również do głowy, że byłby znakomitą scenerią horroru. Może o grupie młodych ludzi, którzy dla zabawy postanowili się włamać do budynku i spotkali coś, czego się nie spodziewali?

Pierwotnie zamierzałam napisać o wieżowcu całą powieść – dla dzieci w wieku od ośmiu do dwunastu lat albo starszych nastolatków. Od lat bez powodzenia szukałam wydawcy dla stworzonych przez siebie powieści dla dorosłych; jeden z agentów powiedział, że to połączenie horroru i zagadki kryminalnej nie nadaje się do publikacji. W tej sytuacji zaczęłam się zastanawiać, czy nie napisać czegoś dla dzieci – dzieci lubią przerażające historie!

Naszkiecowałam pierwsze trzy rozdziały, a później, z różnych powodów, między innymi dlatego, że odkryłam, iż jestem w ciąży, projekt trafił do szuflady. Zawsze zamierzałam do niego wrócić, ale później urodziłam córkę i podpisałam pierwszą poważną umowę wydawniczą na powieść dla dorosłych – *Kredziarza*, którym udowodniłam, że agent się mylił. Moje życie się zmieniło.

Mimo to *Blok* pozostał w moim laptopie; przypominał widmowy wieżowiec, który go zainspirował. Kiedy zauważałam tytuł, zawsze zastanawiałam się, dlaczego czegoś nie zrobiłam z tym materiałem. Ale nie miałam czasu pisać powieści dla dzieci w trakcie tworzenia innych książek. Aż wreszcie pewnego dnia zdałam sobie sprawę, że wcale nie musi to być powieść. *Blok* mógł równie dobrze funkcjonować jako opowiadanie – może nawet lepiej. Osiem lat po pierwszym szkicu wreszcie zakończyłam pracę.

Później ogarnęła mnie ciekawość. Postanowiłam obejrzeć dawny wieżowiec i zobaczyć, co się z nim stało. Odkryłam, że został odremontowany i przebudowany, czemu trudno się dziwić.

Przy okazji dowiedziałam się czegoś mroźnego krew w żyłach. Wkrótce po tym, jak zrezygnowałam z wyprowadzania psów i urodziłam córkę, w budynku doszło do makabrycznego morderstwa. W płytkim grobie w pobliżu odnaleziono zwłoki ofiary bez głowy i rąk.

Po siedmiu latach głowę i ramiona odkryto na polu, gdzie niegdyś spacerowałam.

Rzeczywistość bywa czasem bardziej niepokojąca od fikcji.



Nikt nie pamiętał, jak go budowano.

Ludzie pamiętali czasy wcześniejsze i późniejsze, ale w środku była luka. Jakby pewnej nocy spadł z nieba, stanął na ziemi i zapuścił korzenie. Wielka góra szarego betonu wznosząca się na przedmieściach Nottingham.

Tyler miał pewną hipotezę. W owym czasie w mieście budowano tyle wieżowców, że po jakimś czasie ludzie nawet ich nie zauważali. Tak jak przestaje się zauważać spalone samochody wokół parku. Kolejny nie robi różnicy.

Ale później, na przestrzeni lat, pozostałe budynki wyburzono i pozostał tylko Blok. Ludzie zawsze nazywali go Blokiem, nigdy wieżowcem ani domem komunalnym. Blok. Solidny, mocny, niedostępny, otoczony rzędami szeregowców.

Babka Tylera mówiła, że pamięta, jak mieszkali w nim ludzie. Pamiętała również, jak porwali ją kosmici i spotkała Abrahama Lincolna (kimkolwiek dla niej był), więc nie można było przywiązywać wagi do jej słów. Cierpiała na demencję i prawdziwe wydarzenia często myliły jej się z tym, co widziała w telewizji.

Po wszystkim, co się wydarzyło, zacząłem trochę rozumieć, co czuła.

Był to pomysł Tylera. Przychodziło mu do głowy mnóstwo pomysłów i prawie wszystkie sprowadzały się do tego, że mieliśmy zrobić coś, czego nie powinniśmy robić.

– Musimy tam wejść – powiedział. Leżeliśmy na porośniętym krzakami pustkowiu za Blokiem, patrząc na szare niebo. Paliliśmy trawkę, którą zwędził matce. – Wejść i się rozejrzeć.

– Po co? – spytał Abid.

– Bo to fajne.

Nie uważałem, że będzie to fajne. Kiedy patrzyłem na ogromny ciemny monolit z rzędami wybitych okien przypominających dziury po kulach w skórze gigantycznego zwierzęcia, pomyślałem, że budynek nie ma w sobie nic zabawnego.

Mimo to milczałem. Byłem nowym członkiem grupy, ciągle nie czułem się pewnie. Nie zamierzałem się sprzeczać z Tylerem. I używać przy nim słowa monolit.

Był wysokim, chudym chłopakiem z ogromną fryzurą w stylu afro i prawdziwym złotym zębem. Mieszkał na sąsiedniej ulicy z matką i babką cierpiącą na demencję. Jego ojciec siedział w więzieniu, a starszy brat został

zastrelony, gdy Tyler był niemowlęciem. Nigdy wcześniej nie znałem człowieka, którego brata zastrzelono. Na dodatek mającego złoty ząb w wieku trzynastu lat.

Do naszej paczki należeli również Abid i Shannon. Matka Abida pracowała w szkole jako kucharka, a ojciec był właścicielem dużego magazynu przy obwodnicy. Shannon była dość ładną blondynką. Miała grubą, brzydką kuzynkę o imieniu Courtney.

Tyler mówił, że Courtney zrobi każdemu loda za puszkę carlsberga i paczkę chipsów. Powiedziałem mu, że wystarczy puszka piwa. Roześmiał się, błyskając złotym zębem. Domyślałem się, że właśnie wtedy zostaliśmy kumplami.

Matka i ja przeprowadziliśmy się do Nottingham zaledwie przed dwoma miesiącami. Często zmienialiśmy miejsce pobytu. Z powodu ojca. Już z nami nie mieszkał, ale zawsze potrafił nas wytropić.

– Jak ci się podoba nasz nowy dom, Danny? – spytała, otwierając drzwi frontowe budynku przy Manvers Street 8.

Moim zdaniem wyglądał dokładnie tak samo jak nasz dawny. Kolejny nędzny szeregowiec na kolejnej nędznej ulicy. Pojedyncze szyby w oknach, elektryczne ogrzewanie, poplamione wykładziny i łuszczące się tapety.

– Fajny.

– Cóż, to wszystko, na co w tej chwili nas stać.

– Jest naprawdę fajny, mamó.

– Kiedy znowu znajdę pracę i...

– Jest fajny, mamó. Dla mnie to pałac, okej?

– Danny, nie posługuj się przy mnie takim...

Zignorowałem ją i wdrapałem się po zapadniętych schodach. Zajrzałem do łazienki, zmarszczyłem nos na widok zielonkawych ścian, wróciłem do sypialni na parterze i usiadłem na podłodze. Wyjąłem niewielki scyzoryk, podwinąłem rękaw i wyciąłem na przedramieniu cienką linię. Na stare blizny pociekła świeża krew.

Wieczorem kupiliśmy rybę z frytkami. Zjedliśmy je, siedząc na plastikowych fotelach ogrodowych znalezionych na podwórku na tyłach. Zostawiliśmy stare meble w poprzednim domu. Mama nie mogła kupić nowych bez zaciągnięcia kredytu.

Adres się zmienił. Poza tym nic.

– Więc w to wchodzisz? – Tyler spoglądał na mnie.

Miałem wrażenie, że coś przeoczyłem. Czasem to się zdarzało. W jakiś sposób się wyłączałem albo odlatywałem, jak nazywała to matka. „Aha! Ziemia

do Danny'ego! Ziemia do Danny'ego!” W wieku pięciu lat uważałem to za zabawne.

– Daj spokój, człowieku – powiedział Abid. – To musisz być ty. Jesteś najmniejszy.

Kiedyś mnie wkurzało, że zawsze jestem najmniejszy. Ale z czasem niski wzrost i chudość okazały się przydatne. Mogłem szybko zniknąć w tłumie. Mogłem się ukryć w ciasnym miejscu. Udało mi się nawet przecisnąć przez otwór w drzwiach do wypuszczania kota, gdy musiałem szybko uciec przed ojcem.

– Boisz się, prawda? – Shannon odrzuciła włosy na plecy i zaciągnęła się resztką trawki.

– Jasne, że nie. – Nawet nie wiedziałem, że powinienem się nie bać.

– Więc to zrobisz? – spytał Tyler.

Zawahałem się. Chciałem się zgodzić. Nie powinni mnie uważać za tchórza. Z drugiej strony wolałem nie obiecywać czegoś, czego później bym żałował.

– Ja... eee... nie jestem pewny, stary.

– Okej. Przynajmniej jesteś szczerzy. – Tyler wstał. – Najpierw się rozejrzyj, a potem zdecyduj.

Otwór był niewielki. Ciasna dziura, z której wypadł pustak. Może ktoś go wyrwał. Wszystkie okna na parterze i pierwszym piętrze zamurowano ceglami, aby do środka nie wchodziłi squattersi i narkomani. Od drugiego piętra wzwyż okna były wybite i zasłonięte płytami sklejk.

Nie wiedziałem, czego chce Tyler, ale czułem, że ma to coś wspólnego z Blokiem.

– Wejdiesz tam, zaniesiesz linę na drugie piętro, spuścisz ją z okna, a my się wdrapiemy.

Patrzyłem na pionową elewację z betonu. Trzy kondygnacje to przeszło dziewięć metrów.

– To długa wspinaczka – powiedziałem.

– Drobnostka, stary. Przyciągniemy kilka kontenerów na śmieci na kółkach i wejdziemy na nie.

– A jeśli nie będę miał do czego przywiązać liny? Albo nie będę mógł wyjść?

Tyler popatrzył na mnie i splunął na podłogę.

– Jeśli nie chcesz tam wchodzić, po prostu powiedz.

Spojrzałem na Abida. Wbił wzrok w swoje nowe adidas. Widziałem, że teraz, gdy stoimy w chłodnym cieniu Bloku, pomysł coraz mniej mu się podoba. Wokół narożników budynku wiał przeszywający wiatr. Na ziemi i pod ścianami

leżały stopy śmieci. W rogu opuszczonego parkingu stało kilkanaście kontenerów na śmieci na kółkach.

– Ja to zrobię – odezwała się nagle Shannon.

Popatrzyłem na nią.

– Wykluczone.

Zadziornie wysunęła do przodu podbródek.

– Dlaczego? Bo jestem dziewczyną?

– Nie. Jesteś za szeroka w ramionach. Utkniesz. – Zrobiłem kilka kroków do przodu, przykucnąłem i spojrzałem w głąb małego ciemnego otworu. Okno znajdowało się tuż nad ziemią. Prowadziło do piwnicy. Wnętrze śmierdziało szczynami, rzygowinami i czymś jeszcze. Poczulem słodki, mdlący, odrażający zapach.

– Widzisz coś? – spytał Abid.

– Nic. Ciemno jak w grobie.

Nie było to zupełnie zgodne z prawdą. Coś tam było. Niczego nie widziałem, ale wyczuwałem ruch, tuż poza polem widzenia. Prawdopodobnie szczury.

– A zatem? – W głosie Tylera brzmiało zniecierpliwienie. – Jak brzmi twoja decyzja?

Popatrzyłem na niego. Czy coś obiecałem? Nie mogłem tam wejść. Musiałbym zwariować. Może Tyler znajdzie innego idiotę, który to zrobi? Czulem, że to koszmarnie głupi pomysł.

– Potrzebuję dobrej latarki – powiedziałem.

Uzgodniliśmy, że spotkamy się o siódmej wieczór.

Nie miałem większych kłopotów z wyrwaniem się z domu. W sobotnie wieczory nasza czwórka często przesiadywała w parku. Matka nie była zadowolona, że wychodzę, gdy następnego dnia miałem iść do szkoły, lecz nie narzekała. I nie powinna, bo to przecież ona zniszczyła moją edukację ciągłymi przeprowadzkami.

Pierwszy dotarł na miejsce Abid. Zawsze był punktualny. Ładnie się ubierał. Nosił najmodniejsze dresy i nieskazitelne białe adidasy. Jego rodzice mieli kupę forsy. Nie rozumiałem, dlaczego ciągle mieszkają w tej dzielnicy. Na pewno mogliby się przeprowadzić w ładniejsze miejsce.

Nigdy nie wspominał o swojej rodzinie. Ani o tym, dlaczego trzyma z nami, a nie z jednym z azjatyckich gangów. Czasami widziałem, jak jego matka zmywa z drzwi graffiti. Hinduskie graffiti, więc na pewno nie rasistowskie. Domyślałem się, że każda rodzina ma swoje sekrety.

– Przyniosłeś latarkę? – spytałem.

Kiwnął głową i wyjął z plecaka dużą ciężką latarkę. Włączył ją i parking zaczął przypominać oświetlone boisko piłkarskie.

– Odłóż to, człowieku, do cholery! Chcesz, żeby nas aresztowali, nim wejdziemy do Bloku?!

Wyłączył latarkę. Natychmiast otoczył nas mrok. Skraj parkingu był oświetlony dalekim blaskiem lamp ulicznych, ale tutaj, za Blokiem, panowała kompletna ciemność. Gęstniała w zakamarkach, ukrywała kształty przedmiotów. Ledwo widziałem blask białych adidasów Abida.

– Niesamowite miejsce – mruknął.

Otworzyłem usta, zamierzałem się zgodzić. Nagle ktoś klepnął mnie w ramię i o mało nie zesrałem się w spodnie.

– O kurwa!

Stała za mną Shannon. Obok niej majaczyła postać w różowym ortalionowym dresie marki Nike. Courtney.

– Co ona tu robi?! – spytał Abid.

– Będzie stała na czatach. Na wypadek gdyby pojawiła się policja – wyjaśniła Shannon.

Uznałem to za niezły pomysł. W okolicy rzeczywiście przejeżdżały czasem wozy patrolowe. Dawniej bywały tu znacznie częściej. Kiedy postawiono ogrodzenia, by nikt nie mógł wchodzić, gliniarze stracili zainteresowanie. Wszyscy zapomnieli o Bloku. Uważałem to za dziwne. Nie mogłem pojąć, jak można zapomnieć o betonowym wieżowcu o wysokości dziewięćdziesięciu metrów.

Zobaczyłem w mroku błysk złotego zęba i z cienia wyszedł Tyler. Niósł na ramieniu gruby zwój liny.

– Gotowi na przygody? – Nagle zauważył Courtney i natychmiast przestał się uśmiechać. – Skąd się tu wzięłaś?

– Przyprowadziłam ją – odpowiedziała buntowniczo Shannon. – Będzie stała na czatach.

– Na czatach? Po co? Odbierze pizzę od dostawcy i sama ją zeżre?

Courtney wypluła gumę, z powrotem włożyła do ust i zaczęła żuć. Nie odpowiedziała. Chyba powinienem jej współczuć, ale tak naprawdę trochę jej się bałem. Miała pusty wzrok, przetłuszczone włosy i bezbarwny głos. Prawdopodobnie nie rozumiała, że ktoś usiłuje ją obrazić. Albo po prostu w ogóle jej to nie obchodziło.

Wydawało się, że Shannon zamierza odpowiedzieć, ale Tyler uniósł rękę.

– Dobra, niech stoi na czatach. Zaczynajmy. – Popatrzył na mnie. – Jesteś gotowy?

Czułem się zupełnie niegotowy. Bałem się. Przez całą drogę miałem nadzieję, że wydarzy się coś, co pokrzyżuje nasze plany. Zastanawiałem się nawet, czy nie dryndnąć na policję. Ale nie byłem kapusiem. Ojciec nauczył mnie przynajmniej tej jednej rzeczy.

– Zaczynamy – powiedziałem.

Tyler mocno klepnął mnie w plecy.

– W porządku!

– Stój i obserwuj okolicę – zwróciła się Shannon do Courtney, jakby wydawała polecenie psu.

Courtney skinęła głową i głośno mlasnęła.

– Okej.

Podszedłem do dziury w zamurowanym oknie. Wyglądała jak otwarta rana. Zjeżyły mi się włosy na karku. Ukucnąłem i wsunąłem nogi do środka, usiadłem na krawędzi otworu.

– Kiedy wejść, podajcie mi latarkę, a potem linę.

Abid kiwnął głową. Wydawał się jeszcze bardziej przerażony niż ja. Nawet Tyler miał niepewną minę.

– Powodzenia – powiedziała Shannon i uśmiechnęła się.

Nie mogłem się wycofać. Obróciłem się, wcisnąłem tors do otworu i poleciałem w mrok.

Podłoga znajdowała się niżej, niż się spodziewałem. W chwili lądowania straciłem równowagę i przewróciłem się na bok.

– O kurwa...

Pobrudziłem się jakąś wilgotną, mazistą substancją. Czymś w rodzaju wilgotnej, spleśniałej tektury.

– Wszystko w porządku? – zawołał z góry Tyler.

– Tak. – Wstałem i wytarłem ręce o dzinsy. – Strasznie tu śmierdzi.

– Chcesz latarkę? – spytał Abid.

– Nie. Wolę ciemność.

Milczenie. Abid nie zrozumiał ironii. Po chwili rozległ się głos Tylera:

– Rzuć mu tę pieprzoną latarkę, człowieku!

– Zrobię to inaczej – odezwał się Abid. – Przywiążę ją do liny i spuszczę na dół.

Pomysł był dobry. Abid nie miał poczucia humoru, ale zawsze myślał praktycznie.

– Już ją spuszczam. Kiedy ją złapiesz, odwiąż linę, a później ci ją rzucę.

– Okej.

Czekałem, niepewnie mrugając w ciemności. Usiłowałem nie oddychać przez nos. W niczym to nie pomogło. Smród był nie do wytrzymania.

Usłyszałem szuranie i grzechot. Spojrzałem do góry. Abid włączył latarkę, która obracała się, zjeżdżając w dół. Oświetlała mur z odpadającym cementem, sufit pokryty plamami wilgoci i... Nagle wstrzymałam oddech... zobaczyłem coś na posadzce. Coś, co się poruszało, coś czarnego i błyszczącego. Istota mająca nogi. Mnóstwo nóg!

Cofnąłem się gwałtownie w kierunku ściany. Uderzyła mnie w głowę latarka. Krzyknąłem.

– Nic ci nie jest, Danny? Co się stało?

Tym razem był to głos Shannon. Serce waliło mi w piersi. Latarka dalej wirowała. Chwyciłem ją, przyciągnąłem i skierowałem w ciemność jak łufę miotacza antymaterii. Podłoga rzeczywiście wyglądała koszmarnie. Pokrywały ją śmieci i kawałki zbutwiałej tektury. Stare reklamówki, opakowania po jedzeniu, zardzewiałe puszki i zgniecione plastikowe butelki.

Nic więcej. Cokolwiek zobaczyłem albo co mi się przywidziało, zniknęło. Powtarzałem sobie, że to prawdopodobnie po prostu karaluch. Chociaż wydawał się za duży na karalucha. Przypominał wielkiego szczura. Ale szczury nie są przecież czarne i błyszczące. I mają tylko cztery nogi.

Przełknąłem ślinę.

– Danny?

– Wszystko w porządku! – krzyknąłem. – Wydawało mi się, że widziałem... szczura albo coś w tym rodzaju.

„Coś w tym rodzaju”.

– Chrzań to. – Znowu głos Tylera. – Bierz linę i ruszaj. Nie będziemy tu siedzieć całą noc.

Szybko odwiązałem latarkę. Lina zsunęła się po ścianie jak długi wąż. Zadygotałem i natychmiast pożałowałem, że przyszło mi do głowy to porównanie. Żałowałem, że się tu znalazłem. Z całego serca żałowałem, że nie siedzę z matką w naszym nędznym salonie i nie oglądam bzdurnych programów w pożyczonym telewizorze.

Matka mawiała: „Nie wolno robić sobie wyrzutów. Jeśli czegoś pragniesz, musisz to zdobyć”. A co ona zdobyła? Nie miała pieniędzy, przyzwoitego domu. Może powinna mieć więcej pragnień? A może je miała i ojciec wybił je jej z głowy?

Zarzuciłem zwój liny na ramię – musiałem najpierw odłożyć na chwilę latarkę – i poczułem dreszcz paniki.

„Czarne, błyszczące, z nogami. To nie karaluch. Dobrze o tym wiesz, Danny”.

Uciszyłem głos rozlegający się w mojej głowie, chwyciłem latarkę i oświetliłem piwnicę, szukając wyjścia. Snop światła padł na odrapane szare drzwi pokryte graffiti. Nagle zrozumiałem, że gdyby drzwi okazały się

zamknięte, znalazłbym się w pułapce. Nie mógłbym się wspiąć do okna, wyjść. Tyler sprytnie zapomniał wspomnieć o tej wadzie swojego planu.

Było już za późno. Zakląłem i podszedłem do drzwi. Pod moimi butami chrzęściły śmieci. Coś zaszeleściło za moimi plecami. Obróciłem się szybko i poświeciłem latarką. Znowu śmieci i wilgotne, zagrzybione ściany. Czekałem, nasłuchując. Słyszałem tylko własny chrapliwy oddech i szum krwi w uszach. Obróciłem się z powrotem w stronę drzwi.

Kolejny dźwięk. Bliżej. Po lewej stronie. Coś w rodzaju parskania. Coś pośredniego między grzechotem a sykiem. Tym razem obróciłem się tak szybko, że o mało nie upuściłem latarki... i zobaczyłem coś znikającego pod stosem torebek po chipsach.

Przestało mnie obchodzić, co to takiego. Chciałem po prostu się wydostać. Obróciłem się i chwyciłem klamkę drzwi. Nic to nie dało. Przez chwilę myślałem, że jestem uwięziony. Pociągnąłem znowu, mocniej. Tym razem drzwi się otworzyły. Wszedłem do kolejnego ciemnego, smrodliwego pomieszczenia, ale były to normalne zapachy. Siki i stara trawka.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi i poświeciłem latarką. Dolna część klatki schodowej. Widziałem po lewej inne drzwi (musiały prowadzić do holu), a z przodu – skierowałem latarkę w górę – popękane betonowe schody niknące w ciemności.

Naprawdę nie miałem ochoty tam iść. Ale odwróciłem się i pomyślałem o błyszczącym czarnym cieple i okropnym, parskającym dźwięku. Za żadne skarby nie mogłem wrócić do piwnicy. Postawiłem but na pierwszym stopniu. Za moimi plecami coś uderzyło w zamknięte drzwi.

Szybko wspinałem się w górę, pokonując po dwa stopnie naraz.

Drugie piętro. Ktoś napisał sprejem na drzwiach: „Drugie piętro to PIEKŁO”. Pod spodem ktoś dodał innym kolorem słowo: „UCIEKAJ!”.

Cudownie. Otworzyłem drzwi prowadzące na klatkę schodową. Zobaczyłem za nimi długi, wąski korytarz z rzędem drzwi – zamkniętych, otwartych, czasem krzywo wiszących na zawiasach. Jezu... Na ścianach było jeszcze więcej graffiti. Pokrywały je prawie w całości. Znowu poczułem smród. Wrócił, był taki sam jak w piwnicy.

Usiłowałem go ignorować i skupić się na tym, co powinienem zrobić: wciągnąć Tylera i resztę paczki. Znowu pomyślałem, że to głupi pomysł. Kurewsko głupi, idiotyczny. Chciałem się stąd wydostać. Ale nie mogłem wypaść na tchórza.



Oświetliłem drzwi latarką, próbując zdecydować, do którego mieszkania wejść. Wybrałem trzecie po lewej. Kiedy znalazłem się w środku, przestałem wyczuwać rozkład budynku, lecz miałem wrażenie, że to mieszkanie jest najbliżej piwnicy, przez którą dostałem się do Bloku.

Drzwi były uchylone. Ruszyłem naprzód, czując, że moje serce znowu przyśpiesza. Otworzyłem je i oświetliłem mieszkanie latarką.

Nie jestem pewien, czy poczułem ulgę, czy rozczarowanie. Pokój. Przygnębiająco znajomy. Stara, zarwana kanapa. Łuszczące się tapety. Poplamiona wykładzina. Nie było tu graffiti, ale pokój miał w sobie coś dziwnego. Omiotłem go snopem światła i zrozumiałem, o co chodzi: bibeloty, oprawione obrazki, nawet brudne kubki na stoliku do kawy. Ktokolwiek tu mieszkał, wyprowadził się w wielkim pośpiechu. Przygnębiająco znajoma sytuacja, znowu.

Podszedłem do okna. Na szczęście nie było zasłonięte sklejką, tylko wybite. Usunąłem latarką kilka odłamków szkła, po czym usłyszałem okrzyk dobiegający z dołu:

– Hej, stary, tutaj!

Popatrzyłem w dół. Pod oknem stał Tyler, tuż za nim Shannon i Abid. Tyler uśmiechnął się szeroko i zobaczyłem błysk złotego zęba.

– Udało ci się.

Uniosłem linę.

– Muszę jeszcze znaleźć coś, do czego można ją przywiązać.

– Jak tam jest? – zawołał Abid.

Zawahałem się.

– Sami się przekonacie – odpowiedziałem po chwili.

Jedynym ciężkim przedmiotem w salonie była kanapa. Zawiązałem mocny węzeł wokół jednej nogi, przesunąłem ją pod okno i szarpnąłem. Uznałem, że wytrzyma. Zrzuciłem linę na dół.

Tyler wspiął się pierwszy, szybko i gładko. Wydawało się to łatwe. Wgramolił się do pokoju i poklepał mnie po plecach. Następna wspięła się Shannon, prawie tak samo szybko i zręcznie. W końcu Abid. Powoli, niezgrabnie. W pewnej chwili się zakołysał i myślałem, że spadnie. Mimo to zdołał dotrzeć do parapetu i upadł na podłogę, zdyszany.

Tyler pokręcił głową.

– Cholera, stary, wspinasz się jak dziewczucha. – Zerknął na Shannon. – Bez obrazu.

Pokazała mu środkowy palec. Abid wstał i otrzepał dżinsy.

– Cały się usmarowałem tym gównem.

– Nieważne – powiedziała Shannon.

Tyler wyjął komórkę, włączył latarkę i obszedł pomieszczenie. Skrzywił się.

– Ale główniana dziura...

„A czego się właściwie spodziewałeś?” – pomyślałem, lecz się nie odezwałem.

Podniósł jeden z zapleśniałych kubków.

– Zostawili wszystkie swoje rzeczy. Dziwna sprawa, stary.

Tak. Przypomniała mi się istota w piwnicy, graffiti na ścianach. „Dziwne” to za mało powiedziane.

– Powinieneś zobaczyć resztę – powiedziałem.

Tyler znowu się uśmiechnął.

– Więc na co czekamy?

Pozwoliłem mu iść przodem. Mimo że to dzięki mnie tu weszli. Ruszyłem za nim, później Shannon, Abid z tyłu. Zawsze chodziliśmy w tej kolejności.

Sprawdziliśmy kilka następnych mieszkań. Wszystkie wyglądały podobnie jak pierwsze. Talerze pozostawione w zlewach. Kosze z ubraniami do prasowania, kubki na stołach. Tyler wyciągał szuflady i otwierał szafy. Shannon oglądała ubrania. Abid stał niezgrabnie i niczego nie dotykał.

Wszedłem do kuchni jednego z mieszkań, oświetlając drogę latarką. Otworzyłem kilka szafek. Zjrzałem do lodówki. Zmarszczyłem brwi.

Tyler wsunął głowę przez drzwi.

– Znalazłeś coś?

– Nie ma nic do żarcia – odpowiedziałem.

– Co takiego?

– Nic. Ani w szafkach, ani w lodówce.

– I co z tego?

– Dlaczego ktoś miałby zabrać żarcie, a zostawić ubrania?

– Może był głodny? Kogo to obchodzi? – Zatrzasnął kopniakiem drzwi lodówki. – Nie ma tu nic ciekawego. Chodźmy.

Westchnąłem. Mnie jednak obchodziło to, co zobaczyłem. Nie podobało mi się to. Ale wstałem i wyszedłem za Tylerem z mieszkania.

Szliśmy powoli korytarzem. Tyler oświetlał komórką ściany pokryte graffiti. Minęliśmy windy. Metalowe drzwi były powgniatane i zwichrowane, jakby ktoś mocno je kopał. Od wewnątrz. Na drzwiach wisiała kartka z napisem:

WINDA ZEPSUTA.

To też mi się nie podobało. Tyler nagle się zatrzymał i o mało na niego nie wpadłem.

– Co się dzieje?

Gwizdnął między zębami.

– Cholernie dziwna sprawa, stary.

– Co takiego?

– To graffiti.

Popatrzyłem na ścianę. Po prostu zmieszane kolorowe litery napisane sprejem, tak gęste, że nie mogłem niczego odczytać.

– Widzisz? – spytał.

Starąłem się coś zobaczyć, ale bez powodzenia.

– Nie za bardzo.

– To jakaś bzdura – powiedziała Shannon.

– Nie, wcale nie bzdura, tylko jedno słowo napisane wiele razy – odparł niecierpliwie Tyler. Wyciągnął rękę. – Najpierw litera „jot”, o tu, potem „e-ś-ć”.

Zrozumiałem, co pokazuje. Po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz.

– Jeść... – szepnąłem. „Puste szafki. Pusta lodówka”.

Shannon wyciągnęła szyję i rozejrzała się.

– Dlaczego ktoś to napisał?

– Ktoś musiał się nieźle przegłodzić. – Tyler się roześmiał.

– To nie jest zabawne – rzekł cicho Abid.

– O, masz pietra, Abid?

– Nie podoba mi się to – odpowiedział. – Sam mówiłeś, że nie ma tu nic wartego zabrania. Powinniśmy się zmywać.

– Po tym, jak Dan się nameczył, żebyśmy mogli wejść?

– Nic się nie stało – wtrąciłem.

– Zaczekaj! – rzucił ostro Tyler. – Jeszcze nie skończyliśmy się rozglądać, prawda?

Abid zacisnął usta. Shannon wzruszyła ramionami. Tyler popatrzył na mnie.

– Prawda?

Zawahałem się. W tej samej chwili zatrzęsała się podłoga i z głębi budynku dobiegł głośny, mechaniczny skowyt.

– O kurwa! – Shannon odskoczyła, aż opadły jej na twarz włosy.

Tyler obrócił się gwałtownie. Światło jego komórki zatańczyło na ścianach.

– Co się dzieje?!

Dźwięk rozległ się znowu. Jakby budziła się do życia wielka metalowa bestia. Po chwili rozległ się inny dźwięk: powolny, wysiłony chrzęst dochodzący z niższych pięter.

– Zbliża się – powiedziała Shannon.

– Ale co to takiego? – spytał Tyler. Wydawał się zdenerwowany.

Nagle zrozumiałem i ogarnęły mnie mdłości. „Nie, to niemożliwe”.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Abid zaśmiał się dziwnie.

– To winda – rzekł.

Powoli się odwróciliśmy.

Metaliczny chrzęst się zbliżał. Później ucichł. Rozległ się dziwny, nieharmonijny ping. Pomyślałem o błyszczącym czarnym cielem biegnącym w piwnicy.

– Musimy się stąd wydostać – powiedziałem.

Tyler ciągle patrzył na drzwi windy.

– Zaczekaj, stary.

Drzwi zaczęły się otwierać, a później znieruchomiały. Wszyscy patrzyliśmy na ciemną szczelinę. Ze środka dobiegał suchy, chrapliwy oddech.

– Nie podoba mi się to! – szepnął Abid.

Z otworu wynurzyła się ręka. Ludzka, ale straszliwie długa i chuda. Skóra wydawała się sucha, pokryta łuskami. Paznokcie podobne do żółtych szponów drapały metal. A później rozległ się chrapliwy głos:

– Jeść!

– O kurwa, uciekajmy! – wyjąkał Tyler.

Nie musiał tego powtarzać. Pobiegliśmy korytarzem, głośno tupiąc w betonową podłogę. Skręciliśmy w inny ciemny korytarz z drzwiami po obu stronach. W końcu znaleźliśmy się w ślepych zaułku.

– Kurwa! – zaklął Tyler. – To ślepy korytarz!

– Cholera! – zawtórowała Shannon.

Z tyłu dobiegły metaliczne zgrzyty. Drzwi windy. To, co znajdowało się w środku, usiłowało je rozsunąć.

– Co robimy? – spytał Abid.

– Schowajmy się – odpowiedziałem. Nie pozostało nam nic innego. Znałem takie sytuacje z własnego doświadczenia.

– Gdzie? – spytała Shannon.

– W jednym z mieszkań. – Słyszałem kolejne dźwięki dochodzące z korytarza. Zgrzyty i człapanie. Przełknąłem ślinę. – Teraz!

Tyler się odwrócił i wyważył kopniakiem najbliższe drzwi. Wbiegliśmy do środka. Zamknąłem je jak najciszej.

– Co dalej? – szepnął Abid.

Oświetliłem mieszkanie latarką, a pozostali komórkami. Salon i kuchnia wyglądały tak samo jak w innych mieszkaniach: były zniszczone, brudne i opuszczone.

– Znajdźmy jakąś kryjówkę – powiedziałem. – Jeśli to coś wejdzie, wpuścimy je do pokoju, a potem popędzimy do drzwi i do wyjścia awaryjnego.

Była to strategia, którą posługiwałem się wcześniej, z ojcem.

– To wszystko? – spytał Tyler. – To twój plan?

– Masz lepszy?

Obrócił się.

– Potrzebujemy broni.

– Tak, może ktoś zostawił kałasznikowa. – Shannon miała śmiertelnie poważną minę.

– Zostawili jakieś rzeczy, nie? – odparował Tyler. – Możemy znaleźć coś, co się przyda.

Wszedł do małej kuchni i zaczął otwierać szafki. Zachnąłem się, słysząc skrzypienie zawiasów.

– Tak! – Tyler się odwrócił. Trzymał w ręku długi nóż do chleba. – Właśnie to miałem na myśli!

– Jest coś jeszcze? – zapytała Shannon, podchodząc do niego.

– Nie powinniśmy poprosić kogoś o pomoc? – spytał Abid. – Na przykład policji?

– Co im powiemy? – rzucił szyderczo Tyler. – Że włamaliśmy się do wieżowca i teraz ściga nas jakiś zwariowany potwór tylko w połowie podobny do człowieka? Myślisz, że wyślą patrol?

Miał rację. Abid westchnął, po czym przyłączył się do Tylera i Shannon. Zaczął grzebać w szufladach i szafkach.

Dalej stałem przy drzwiach. Znajdował się w nich wizjer. Wspiąłem się na palce i wyjrzałem. Zamarło we mnie serce. Zobaczyłem na końcu korytarza istotę z windy. Miała ludzki kształt, lecz zupełnie nie przypominała człowieka, a raczej postać z filmów albo gier na PlayStation. Była chuda jak szkielet, przygarbiona, pokryta łuskami. Jej twarz miała w sobie coś z gada, na czaszce wisały resztki włosów. Była ubrana w strzępy ubrania: mogły to kiedyś być szorty i podarty T-shirt. Na kościstych palcach widać było długie szpony.

Odsunąłem się z bijącym sercem.

– Nadchodzi.

– Masz.

Odwróciłem się. Shannon wcisnęła mi do ręki puszkę. Popatrzyłem na nią. Sprej na muchy. W drugiej ręce trzymała butelkę płynu do udroźniania rur. Abid miał korkociąg.

– Dzięki – powiedziałem, zastanawiając się, czego dokonam sprejem na muchy.

Z zewnątrz dobiegł łomot otwieranych drzwi.

– Szuka nas – szepnęła Shannon.

– Musimy się przygotować – odpowiedziałem.

– Możemy zaatakować – rzekł Tyler.

Popatrzyliśmy na siebie i swoją prowizoryczną broń: nóż do chleba, korkociąg, płyn do rur i sprej na muchy. Przypomniałem sobie, że ciągle mam

w kieszeni scyzoryk, ale na pewno nie zrobiłby krzywdy tej istocie. Jeszcze nigdy nim nikogo nie zraniłem (oprócz siebie).

– Zróbmy to, co zaproponował Danny – powiedziała Shannon.

Abid skinął głową.

– Zgadza się.

Tyler przewrócił oczami, ale się nie sprzeczał.

– Skąd będziemy wiedzieć, dokąd biec? – spytał Abid.

– Dam znak – odpowiedziałem.

– Jaki?

Dobre pytanie.

– Krzyknę: „Biegniemy!”.

– Oryginalne, stary – rzekł Tyler.

W korytarzu trzasnęły następne drzwi. Nie było czasu na ripostę.

– Ukryjcie się – powiedziałem. – Natychmiast!

Abid i Tyler skulili się za ladą oddzielającą kuchnię od salonu. Shannon i ja przykucnęliśmy za brudną kanapą. Wyłączyłem latarkę. Nasze kryjówki nie były idealne, ale nie miało to znaczenia. Istota powinna wejść do pokoju na tyle daleko, żebyśmy mogli uciec z mieszkania.

– Uda się? – szepnęła Shannon.

– Nie mam pojęcia – przyznałem. Z ojcem się udawało, lecz zwykle był zalany.

Shannon popatrzyła na mnie. Nagle zaskrzypiały drzwi. Istota śmierdziała zgnilizną i kwasem. Oddychała z wysiłkiem i ochryple wypowiadała jedno słowo:

– Jeść! Jeść! Jeść!

Wstrzymałem oddech. Słyszałem, jak człapie do przodu. Nie była wystarczająco daleko od drzwi. Jeszcze nie. Wyjrzałem ostrożnie zza kanapy. Panował półmrok, ale widziałem zarys istoty oświetlonej blaskiem lamp ulicznych wpadających przez okna. W mieście nigdy nie panuje całkowity mrok. Dotarła prawie do środka pokoju. Jeszcze kilka kroków i dam znak.

Później się odwróciła. Nie w stronę Shannon i moją, tylko kuchni, gdzie kulili się Tyler i Abid. Gdyby poszła dalej, zobaczyłaby ich i odcięła im drogę ucieczki.

– Jeść! – wychrypiała. – Jeść!

O kurwa...

Musiałem coś zrobić. Wstałem.

– Hej!

Istota się obróciła.

– Tutaj, kutasie!

Włączyłem latarkę. Ryknęła i zasłoniła się dłońmi przed światłem. Widziałem przez moment czarną, połyskliwą paszczę z ostrymi zębami. Wydawała się zdezorientowana. Uniosłem sprej na muchy, nacisnąłem guzik i psiknąłem jej trującą cieczą prosto w oczy. Wydała głośny skowyt bólu i cofnęła się, przyciskając ręce do twarzy.

– Uciekajcie! – krzyknąłem.

Abid i Tyler zerwali się z miejsca i popędzili w stronę drzwi. Shannon wstała. Chwyciłem ją za rękę i pociągnąłem. Wypadliśmy na korytarz. Zatrzasnąłem je, zamykając ohydny istotę w mieszkaniu.

– O kurwa, o Jezu, kurwa! – jęczał Tyler, gdy biegnęliśmy korytarzem.

– Boże, chyba za chwilę... – Abid nagle się zatrzymał i zwymiotował na swoje schludne dżinsy i nieskazitelnie białe adidasy. – O kurwa! – zaklął.

Nie zwracałem na niego uwagi. Nie było czasu do stracenia.

– Musimy dotrzeć do wyjścia! – krzyknąłem.

Nagle usłyszałem nowe dźwięki. W innych mieszkaniach też poruszały się istoty. Przebudziły się. Dotarliśmy do rogu i skręciliśmy. Z przodu otworzyły się drzwi. Wyszła z nich kolejna wychudzona, pokryta łuskami postać. Miała na sobie resztki sukienki. Na przygarbione ramiona opadały zmierzwiłone jasne włosy.

„To ludzie, którzy mieszkali tutaj, zanim...”

– Jeść! – jęknęła istota. – Jeść...

Otworzyła usta. Wpatrywałem się w czarną lśniąca czaszkę i szczękające ostre zęby. Shannon wrzasnęła.

Tyler rzucił się do przodu.

– A masz, ohydna suko!

Wbił nóż do chleba w brzuch istoty, która odrzuciła głowę do tyłu i ryknęła z bólu, chwytając się za tors. Shannon otworzyła butelkę płynu do udroźniania rur, a później, kiedy istota odwróciła się w stronę Tylera, chlapnęła jej w twarz żrącą cieczą. Istota się cofnęła, łapiąc się za oczy. Jej zawodzenie było niehumanitarne, a zarazem żałosne.

– Naprzód! – krzyknął Tyler.

Przebiegliśmy obok istoty. Zauważyłem windę po lewej stronie. Tyler chciał skręcić w jej kierunku.

– Nie – zawołałem. – Idźmy schodami!

Tyler przebiegł obok windy i dotarł do drzwi klatki schodowej. Otworzył je. Na klatce panowała ciemność. Żadnych okien ani świateł miasta, które wydawało się znajdować milion kilometrów dalej. W innym świecie.

Tyler, Abid i Shannon oświetlali drogę komórkami. Moja latarka przygasła.

– Prawie wyczerpała mi się bateria! – jęknął Abid.

Światła padały tylko na kilka stopni. Szliśmy powoli, by się nie potknąć. Byliśmy prawie na dole, gdy nagle się zatrzymałem. Usłyszałem coś. Chwyciłem Tylera za rękę.

Odwrócił się.

– Co się stało?

– Słyszałeś?

Nadstawił uszu.

– Nie.

– Posłuchaj.

– Ma rację – powiedziała Shannon. – Ja też to słyszę. Dziwny szelest.

„Albo zgrzyt” – pomyślałem. Jakby ocierały się o siebie setki lśniących pancerzy. Cholera...

Zaczęliśmy schodzić ostrożniej. Na dole znowu się zatrzymaliśmy. Szeleszczący, zgrzytliwy dźwięk był teraz głośniejszy, wyraźny. W pobliżu znajdowały się drzwi do piwnicy, przez którą wszedłem do budynku. Drugie drzwi prowadziły do holu i wyjścia. Dźwięk nie dochodził z piwnicy. Podeszedłem do drzwi do holu i lekko je uchyliłem. Zaświeciłem latarką przez szparę.

– O kurwa... – jęknęła Shannon.

Podłoga holu poruszała się, mrowiła. Roily się na niej setki lśniących czarnych ciał, pokrywały całą powierzchnię posadzki. Wyglądały jak żuki, ale były większe, wielkości szczurów, z łuskowatymi ogonami i paszczami pełnymi ostrych zębów. Kiedy padło na nie światło, hałasy ucichły.

– Wiedzą, że tu jesteśmy – szepnął Tyler.

– Więc dlaczego nas nie atakują? – spytała Shannon.

Poczułem lodowaty dreszcz, gdy zrozumiałem.

– Wiedzą, że musimy obok nich przejść – odpowiedziałem. – Czekają.

– Co teraz zrobimy?! – jęknął Abid. – Wyglądał niezbyt dobrze; wydawało się, że może zemdleć, gdy przestanie działać adrenalina. – Nie możemy wrócić ani przejść obok tych pieprzonych stworów. – Popatrzył na Tylera. – To twoja wina, kurwa! – Później wybuchnął płaczem. Łkał jak dziecko, rozpaczliwie.

– Uspokój się – powiedziała Shannon, obejmując go ramieniem. – Coś wymyślimy.

Potem spojrzała na mnie. Nie na Tylera, tylko na mnie.

Usiłowałem myśleć. Z piwnicy nie można było się wydostać. Należało przejść przez hol do drzwi frontowych. Tylko jak? Czym dysponujemy? Nożem do chleba, korkociągiem, płynem do udroźniania rur i aerozolem na muchy. Tyler i Abid nie zdołają zabić wszystkich istot podobnych do żuków. Mogą nawet nie przebić ich pancerzy. Płyn do udroźniania też może się okazać



nieskuteczny. Czy to znaczy, że zostaje aerozol? To owady, ale duże. Zbyt wielkie, by aerozol wyrządził im jakąkolwiek szkodę. Chyba że...

Nagle mnie olśniło. Jakby w mojej głowie zapaliła się żarówka.

„Trzeba je podpalić”. No właśnie!

Odwróciłem się w stronę Tylera.

– Masz zapalniczkę?

– Tak. Ale nie jestem pewien, czy teraz pora na jaranie.

– Jest jeszcze to. – Uniosłem puszkę aerozolu.

Tyler szeroko się uśmiechnął.

– W porządku. – Sięgnął do kieszeni i wyjął zapalniczkę. – Co zrobimy?

– Wejdziemy do holu, a potem zapalimy aerozol i przedrzemy się do drzwi.

Tyler popatrzył na zapalniczkę i pokręcił głową.

– Nie możesz tego zrobić.

Najeżyłem się.

– Mogę i muszę.

– Nie. – Pstryknął zapalniczką i pojawił się płomień. – Ja się tym zajmę.

– Daj spokój! To nie głupia zabawa na podwórku. – Shannon się skrzywiła.

– Chcę to zrobić – powiedział Tyler. – To ja nas w to wpakowałem. –

Powinienem was wyprowadzić. – Popatrzył na mnie błagalnie. – Proszę!

Westchnąłem.

– Okej. – Podałem mu puszkę aerozolu.

Przeszedł obok mnie i otworzył drzwi. Podążaliśmy tuż za nim. Z całego serca miałem ochotę uciec przed istotami podobnymi do żuków, ale zmuszałem się, by iść naprzód.

Tyler skinął głową.

– Gotowi?

Wszyscy przytaknęliśmy, choć nie była to prawda. Nigdy nie będziemy gotowi na to, co może nas spotkać, lecz nie mieliśmy wyboru.

– Raz, dwa, trzy... – Wpadł do holu, nacisnął guzik puszkę aerozolu i jednocześnie pstryknął zapalniczką. – Zdychajcie, skurwysyny!

Z puszkę wystrzelił płomień i objął najbliższe czarne istoty. Zaczęły wydawać ohydne piski. Powietrze wypełniło się smrodem spalenizny.

Tyler kroczył naprzód, atakując potworne owady. Szliśmy za nim, omijając płomień oraz kłapiące szczęki i kopiąc poruszające się pancerze. Prawie dotarliśmy do wyjścia, gdy Abid potknął się o jedno ze stworzeń podobnych do żuków. Upadł na posadzkę, wypuszczając korkociąg. Istota była szybsza. Pobieгла po jego nogach, sycząc i szczękając zębami.

Abid wrzasnął. Stworzenie usiadło mu na piersi i wyciągnęło czułki w stronę jego otwartych ust.

„Właśnie tak wchodzą do środka. Chcą jeść”.

– Nie! – krzyknąłem.

Prawie bez zastanowienia wyciągnąłem scyzoryk i wbiłem go w szczelinę między łbem stworzenia a twardym pancerzem. Istota pisnęła i uniosła łeb. Chwyciłem ją. Była gorąca i oślizgła, ogarnęły mnie mdłości. Mimo to trzymałem mocno; ściągnąłem stworzenie z Abida i odrzuciłem jak najdalej. Tyler błyskawicznie się odwrócił i trafił je strumieniem ognia. Istota stanęła w płomieniach.

Wyciągnąłem rękę w stronę Abida.

– Wstawaj.

Ujął moją dłoń i z trudem wstał.

– Dzięki, stary.

Tyler znowu strzelił strumieniem płonącego aerozolu w stronę drgających opancerzonych stworzeń, które zaczęły się wycofywać, sycząc ze strachu i frustracji. Unosił się nad nimi dym.

– Ruszajmy! – krzyknąłem. – Do drzwi!

Tyler zapalił aerozol. Przebiegliśmy obok niego i uderzyliśmy w drzwi. Szarpnąłem klamkę. Zamknięte. O kurwa! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleliśmy? Oczywiście, że są zamknięte. Dlaczego wszedłem przez piwnicę, do cholery?

– W drugą stronę! – wrzasnęła Shannon.

– Co takiego?!

Chwyciła mnie za rękę. Spojrzałem w dół. Na drzwiach znajdowała się tabliczka z napisem PCHAĆ.

Szarpnęliśmy za klamkę. Drzwi się otworzyły. Nie były zamknięte na klucz. Nigdy nie były zamknięte! „Więc dlaczego wchodziłem przez piwnicę, do cholery?”

Nie mieliśmy czasu się nad tym zastanawiać. Wypadliśmy przez drzwi, owiało nas chłodne nocne powietrze, biegliśmy dalej. Zatrzymaliśmy się dopiero po przeciwnej stronie parkingu. W końcu odważyłem się spojrzeć do tyłu, spodziewając się zobaczyć strumień czarnych ciał biegnących za nami.

Na parkingu nie stał ani jeden pojazd. Płomienie lizały drzwi Bloku. Budynek był suchy i brudny. Mnóstwo starych firanek i łatwopalnych mebli.

Staliśmy, dysząc. Wdychaliśmy zimne nocne powietrze: śmierdziało jedzeniem z fast foodów, przepełnionymi pojemnikami na śmieci, spalinami i trawką. Nigdy wcześniej nie czuliśmy bardziej rozkosznego zapachu.

– Dlaczego nas nie gonią? – spytała w końcu Shannon. – Dlaczego nie uciekają?

– Może nie mogą? – odparł Abid.

– Czemu?

– Może Blok to coś w rodzaju portalu? Do innego wymiaru. Może coś przeszło przez portal, a teraz jest uwięzione. – Umilkł. – Przypuszczam, że mogą przeżyć tylko wtedy, gdy nosicielem jest człowiek.

Pomyślałem o na poły ludzkich istotach w mieszkaniach, czułkach stworzenia podobnego do żuka sięgających w stronę twarzy Abida. Zadrżałem.

– Jak na to wpadłeś, do licha?! – spytał Tyler.

Abid wzruszył ramionami.

– Często oglądam *Doktora Who*.

Jakby na potwierdzenie jego słów budynek zaczął dygotać. Z pozoru wydawało się, że to trzęsienie ziemi, ale grunt pod naszymi stopami był zupełnie nieruchomy. Zobaczyliśmy, że Blok zaczyna się rozpadać. Nie widzieliśmy wybuchu, kurzu. Po prostu zapadł się pod ziemię jak woda spływająca do ścieku. Piętra błyskawicznie znikwały, jedno po drugim. W końcu zniknął, jak gdyby go nigdy nie było.

– Co to było, kurwa?! – jęknął Tyler.

– Mówiłem ci – odpowiedział Abid.

Patrzyliśmy na miejsce, gdzie wcześniej stał Blok. Pozostał tylko kwadrat poczerwiałej ziemi.

Chwyciła mnie za ramię czyjaś ręka. Krzyknąłem i obróciłem się gwałtownie. Stała za mną Courtney. Żuła gumę.

– Chryste, śmiertelnie mnie przeraziłaś! – powiedziałem.

– Czekałam – odparła, jak zwykle beznamiętnie.

– Jasne. Dzięki.

– Nie wyszliście, więc zaczęłam was szukać – ciągnęła.

– Weszłaś do środka? – spytała Shannon.

Zdałem sobie sprawę, że Courtney ma rozpuszczone włosy i twarz pokrytą smugami brudu. Skinęła głową.

– Drzwi frontowe nie były zamknięte.

– Owszem. – Zerknąłem na Tylera. – Zauważyliśmy.

– Nic ci nie jest? – spytała ją Shannon.

Courtney zmarszczyła brwi.

– Nie, nic.

– Nie widziałaś tych... – Zawahałem się. – Istot w środku?

Courtney popatrzyła na mnie pustym wzrokiem.

– Niczego nie widziałam.

Shannon i ja wymieniliśmy spojrzenia. Dotknęła mojego ramienia.

– Daj spokój – szepnęła. – Musimy spadać.

– Tak.

Ale ciągle coś mnie niepokoiło. Zerknąłem na Courtney. Jakoś się zmieniła. Nie chodziło tylko o włosy i brud na twarzy. Jej ortalionowy dres wydawał się luźniejszy, jakby schudła.

To jakieś głupoty. Nie mogła schudnąć, odkąd weszliśmy do Bloku.

„Ona też tam była”.

– Dokąd idziemy? – spytał Abid.

Tyler uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Może do McDonalda... Jesteście głodni?

Wszyscy jęknęliśmy.

– Ja tak – odezwała się nagle Courtney.

Miała ostro zarysowane kości policzkowe. Wyglądała prawie jak szkielet obciągnięty skórą. Uśmiechnęła się, błyskając zębami.

– Naprawdę chce mi się jeść.

# Zwodniczy blues

## WSTĘP

Zwykle nie słucham muzyki podczas pisania, ale puszczam ją w samochodzie albo w trakcie joggingu. Tytuły lub fragmenty piosenek często są źródłem pomysłów literackich.

Napisałam pierwszy szkic *Zwodniczego bluesa* przed kilkunastu laty. Na mojej playliście było wiele utworów grupy My Chemical Romance i jedna z piosenek – *Na Na Na* – zapadła mi w pamięć. Jest w niej fragment, który mówi o wyjęciu czegoś z cudzego serca i schowaniu do pudełka. Ten obraz zaczął mnie prześladować. Wydawał się trochę niesamowity.

Nic dziwnego, bo w owym czasie czytałam dużo Stephena Kinga. *Zwodniczy blues* bardzo przypomina twórczość Kinga, prawdopodobnie najbardziej ze wszystkich moich utworów. Nie planowałam tego, ale kiedy słyszy się w głowie głos, trzeba go słuchać. Głos w mojej głowie brzmiał jak Morgan Freeman w *Skazanych na Shawshank*. Po prostu pasował.

Niestety, kiedy napisałam pierwszy szkic opowiadania, nie miałam dokąd go wysłać. Mogłam się pochwalić niewieloma tekstami, dopiero aspirowałam do kariery pisarskiej, a opowiadanie nie nadawało się do czasopism kobiecych, w których opublikowałam kilka krótkich artykułów. Tkwiło w moim laptopie, niezredagowane, niedokończone.

Wróciłam do niego w czasie pracy nad tym zbiorem. Co dziwne, chociaż pamiętałam ogólny zarys fabuły, napisałam to opowiadanie tak dawno, że zapomniałam zakończenia. Kiedy do niego dotarłam, poczułam dreszcz przebiegający po plecach. „Do licha – pomyślałam – to naprawdę dobre!” Natychmiast zaczęłam doprowadzać tekst do porządku i jestem zadowolona z rezultatu.

Mam nadzieję, że gdy przeczytacie *Zwodniczego bluesa*, poczujecie ten sam dreszcz. Wierzę, że spodoba się wam mój hołd złożony B.B. Kingowi.

A teraz opowiem o Grubasie...

Opowiem wam o Grubasie.

Oczywiście wcale nie był gruby. Tak go nazywano w klubie. Gdybyście spytali, jak naprawdę miał na imię, chyba mógłbym odpowiedzieć, ale tylko dlatego, że przejrzałem źródła, by odświeżyć coraz bardziej zawodną pamięć.

To nie oznacza, że ta historia została zniekształcona przez moje szwankujące komórki nerwowe, które sprawiają, że stale gubię kluczyki samochodu albo wychodzę na ulicę w butach nie od pary. Bynajmniej. Zapominam, co się działo wczoraj, lecz doskonale pamiętam dawne wydarzenia. Jest w tym coś ironicznego.

Klub nosił nazwę Pod Błękitnym Flamingiem. Moglibyście o to spytać, ale nie pytacie. Właśnie na tym polega opowiadanie historii, prawda? To monolog. Ja opowiadam, wy słuchacie. A jeśli stracie zainteresowanie, możecie przewrócić stronicę albo zamknąć książkę.

Jednak tego nie zrobicie. Wysłuchacie opowieści. A ja muszę ją opowiedzieć. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, od pięćdziesięciu lat. Długo przechowywałem w pamięci horror.

Nigdy nie powiedziałem nawet Stelli. Przynajmniej nie całą prawdę, chociaż była tam w nocy, kiedy wszystko się zaczęło. Siedzieliśmy w klubie, popijając różowe martini. Kiedy piszę te słowa, prawie czuję smak różowego martini serwowanego Pod Błękitnym Flamingiem. Specjalność zakładu. Różowe martini i bluesy. Był siedemdziesiąty pierwszy albo drugi rok. Kluby bluesowe nie cieszyły się wtedy specjalnym zainteresowaniem. Wszyscy mieli hopla na punkcie funka i disco. Ale w klubie Pod Błękitnym Flamingiem panowała niezwykła atmosfera: przypominał coś w rodzaju maszyny czasu. Kiedy człowiek przechodził przez czarne drzwi, miał wrażenie, że cofa się do lat trzydziestych.

Światła były przyćmione, co dodawało sali uroku. Na okrągłych stolikach stojących wokół niewielkiej estrady płonęły niewielkie świece w różowych świecznikach z matowego szkła. Czerwone obrusy, białe świece, różowe martini. Czy wspominałem o różowym martini? Różowe krople słońca pękające na języku.

Właśnie to się czuło w klubie. Aurę zachodu słońca. Zachody i wschody, bez przerwy na noc. Stella i ja wiele razy wychodziliśmy z klubu późno w nocy, zdumieni, ile godzin spędziliśmy między tymi murami.

Chodziliśmy tam prawie w każdy piątek wieczorem. Nie kierowała nami moda. Większość naszych przyjaciół odwiedzała klub funkowy przy tej samej ulicy – Pod Hipopotamem. Ale Stella i ja zawsze byliśmy odrobinę staroświeccy.

Nigdy nie nosiła dzinsów. Nie wtedy, kiedy ją znałem. Bluzki, spódnice i pończochy z podwiązkami. Aż do dnia, kiedy umarła.

Ja lubiłem garnitury i kapelusze. Boże, uwielbiałem kapelusze... Moimi idolami byli James Stewart, Clark Gable, Dean Martin i Frank Sinatra. Nie czułem się dobrze w spodniach typu dzwony i T-shirtach. Nie chciałem zapuścić włosów. Stella i ja często powtarzaliśmy, że chyba przyszliśmy na świat w niewłaściwej dekadzie. To cud, że się odnaleźliśmy. Wierzę w cuda. Ale jeśli ktoś wierzy w cuda, Boga i miłość, musi również wierzyć w coś przeciwnego. W zło.

Pamiętam, że kiedyś przeczytałem zdanie: „Dla triumfu zła potrzeba tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili”<sup>1</sup>. Cóż, to chyba prawda. Ale zdarza się również, że dobrzy ludzie popełniają złe czyny z miłości. Wolę tak myśleć. Wolę uważać, że Grubas nie był taki zły. Po prostu ogarnął go przeraźliwy smutek.

– Jest mi cholernie, ale to cholernie smutno...

Publiczność przyjęła te słowa aplauzem. Nie grzecznym aplauzem, jakim wita się w klubach wielu muzyków. Prawdziwym, entuzjastycznym aplauzem. Kilku gości nawet wstało. Stella chyba również uniosła się z krzesła; miała zaczerwienione policzki, z jej kucyka wyplątało się kilka pasm ciemnych włosów.

– O Boże, jest fantastyczny, prawda? – rzekła bez tchu.

Naprawdę był fantastyczny, choć zupełnie na to nie wyglądał. Chudy, blade chłopak z prostymi kasztanowymi włosami. Wszedł na estradę ubrany w niedopasowany garnitur; miał zgarbione ramiona, niepewną minę, wbijał wzrok w podłogę. Widzowie obserwowali go z pogardą, której prawie nie ukrywali. Nawet akompaniatorzy wydawali się zawstyżeni.

Część gości uśmiechała się do siebie ironicznie. Inni siedzieli z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Pod Błękitnym Flamingiem pojawiali się ludzie różnych ras, czarni i biali (jak Stella i ja), choć nigdy nie przychodziło wielu Azjatów lub Chińczyków. Nie chcę, by zabrzmiało to rasistowsko, ale na scenie, przykro mi, prawie zawsze występowali czarnoskórzy, bo właśnie na tym polega prawdziwy blues, prawda? Biali tak nie śpiewają.

Ten biały chłopak był wyjątkiem. Boże, wyglądał, jakby dopiero co zaczął się golić. Wydawało się, że wszedł przez pomyłkę do niewłaściwego klubu. W jednej ręce trzymał saksofon, a w drugiej duże pudło na kapelusz. Dziwne.

Kiedy sięgnął po mikrofon, jeden ze stałych gości, spocony grubas, który często wypijał zbyt wiele kieliszków martini i opuszczał klub w towarzystwie jednego z bramkarzy, uniósł dłoń do ust i krzyknął:

– Nie powinieneś iść do domu i uderzyć w kimono, chłopczyku?

Niezbyt dobry żart, lecz kilku gości się roześmiało. Później, gdy pękła tama, posypały się szyderstwa:

– Twoja mamusia wie, że wymknąłeś się z domu przez okno, gdy położyła cię spać?

– Jesteś bielszy od mleka, które ssiesz z jej cycków!

Tylko ostatnie zdanie spotkało się z reakcją. Ale nie ze strony młodego człowieka. Stella zawsze była zadziorna. Miała głęboko zakorzenione poczucie przyzwoitości. To jeden z powodów, które sprawiły, że się w niej zakochałem. Innym były fantastyczne nogi. Kiedy padło ostatnie wyzwisko, wstała, obróciła się i wsparła się pod boki, szukając w tłumie krzykacza.

– Dlaczego nie stulisz pyska i nie pozwolisz chłopakowi grać?!

Stella była drobną kobietą, ale gdy wpadała we wściekłość, zmieniała się w dziką kocicę. Blask płonący w jej oczach świadczył, że nie należy z nią zadzierać. Czarnoskóry mężczyzna, który krzyknął, miał przeszło metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył dziewięćdziesiąt kilo, lecz skulił się na krześle jak skarcone dziecko. Stella jeszcze raz rozejrzała się wściekłym wzrokiem po sali, po czym usiadła, spojrzała na scenę i się uśmiechnęła.

Młody człowiek odwzajemnił uśmiech Stelli. Jego wargi się poruszyły; ukazały się drobne białe zęby i jeden błyszczący złoty siekacz. Postawił pudło na estradzie, zdjął pokrywę i wyjął schludny filcowy kapelusz. Ładny. Założyłbym się, że oryginał z lat trzydziestych. Jak powiedziałem, uwielbiam kapelusze. Mam ich sporą kolekcję.

Wsunął kapelusz na głowę i jego blada twarz znalazła się w cieniu. Zerknął do tyłu i szybko kiwnął głową w stronę zespołu. Później rozejrzał się po sali i powiedział głębokim, ciepłym głosem przypominającym roztopioną melasę:

– Zagram wam bluesa.

Publiczność zamarła. Wydawało się, że powietrze wibruje. Głos przenikał ciała gości. Był głęboki, dźwięczny, dojrzały jak whisky leżakowana przez wiele lat. Chłopak wyglądał na nastolatka, lecz mówił głosem siedemdziesięcioletniego czarnoskórego muzyka.

Po tych trzech słowach zapadła absolutna cisza. Uniósł saksofon i zaczął grać. Trudno uwierzyć, że miał w płucach dość siły, by wytwarzać te dźwięki, ale w powietrzu unosiły się głębokie, leniwe tony; goście odruchowo zaczęli się kołysać i pstrykać palcami. Kilku wstało, by tańczyć... Później młody człowiek opuścił saksofon i zaczął śpiewać.

Słyszeliśmy Pod Błękitnym Flamingiem wielu wokalistów, mężczyzn i kobiet. Niektórzy byli sławni, inni występowali okazjonalnie, by zarobić trochę forsy. Większość śpiewała przeróbki przebojów, ponieważ był to klub, a ludzie



przychodzili, by tańczyć przy akompaniamencie znanych piosenek. Tego utworu nikt nie znał, ale wszyscy mieli wrażenie, że słyszeli go milion razy. W radiu, dochodzący z otwartych okien samochodów. Był znany, lecz nowy. Fantastyczny. Głos chłopaka wznosił się i opadał; coraz więcej gości wstawało, by tańczyć. Widziałem, że Stella też ma na to ochotę; ja sam zwykle potrzebowałem co najmniej trzech różowych martini, by wstać i iść na mały prostokątny parkiet taneczny przed barem.

Siedziałem, tupałem nogami, bębniłem palcami w blat stołu. Słuchając tej melodii, nie można było nie wybijać rytmu. Kiedy skończył, goście zaczęli bić brawo. Chłopak grał dalej. Odłożył saksofon, usiał na miejscu pianisty i znowu śpiewał.

Straciłem rachubę czasu. Nie liczyłem melodii i różowych martini. Jestem prawie pewien, że w którymś momencie wstałem i tańczyłem. Później, gdy świece przygasły, a tony pianina stały się smutniejsze, usiadłem znowu. Wszyscy wrócili na miejsca, jakby na niemy znak, i słuchali.

W głosie chłopaka brzmiały ból i melancholia. Pianino łkało, śpiewał bluesa o nieszczęśliwej miłości. Kiedy skończył, przez chwilę panowała cisza, a później goście zaczęli klaskać. Ale najpierw musieli otrzeć łzy.

Późnym wieczorem, gdy klub zaczął pustoszeć, a Stella i ja wzięliśmy płaszcze i kapelusze, na nasz stolik padł cień. Chudy chłopak ze sceny. Albo „Grubas”, bo już słyszałem, że ludzie tak go nazywają, ponieważ... cóż, jestem pewien, że rozumiecie aluzję do piosenki B.B. Kinga... Stąpał cicho, nie słyszałem, że się zbliża.

– Chciałem po prostu podziękować – odezwał się do Stelli. Zdjął kapelusz i trzymał go w rękach jak wiktoriański dżentelmen rozmawiający z damą.

Uśmiechnęła się i nonszalancko machnęła ręką.

– Po prostu nie lubię łobuzów.

– To my powinniśmy panu podziękować – wtrąciłem. – Masz wspaniały głos, synu. – Tak, nazwałem go synem, by zamanifestować przed Stellą swój autorytet, choć byłem zaledwie pięć lat starszy od chłopaka.

Uśmiechnął się, błyskając złotym zębem.

– Cóż, dziękuję, sir. – Wyciągnął rękę i się przedstawił.

Uścisnąłem jego dłoń.

– Jack Morley, a to moja narzeczona, Stella Grey.

– Miło mi państwa poznać. Mogę postawić państwu drinka?

Zerknąłem na bar, gdzie kelnerzy czyścili kieliszki. Mogliśmy zostać trochę dłużej, ale z jakiegoś powodu lekko zjeżyły mi się włosy na karku. Nie potrafię powiedzieć, czy było to przeczucie, czy tylko wyobraźnia, ale chociaż chłopak

wydawał się miły i niegroźny, miałem ochotę znaleźć się ze Stellą milion kilometrów dalej.

– Jest trochę późno. Zamierzaliśmy już iść.

Zauważyłem, że Stella zerka na mnie, i domyśliłem się, że później czeka mnie bura. Grubas kiwnął głową. Włożył kapelusz i nasunął na oczy.

– Może innym razem.

– Tak, miejmy nadzieję – odpowiedziałem, spodziewając się, że nigdy więcej go nie zobaczę. Był świetnym muzykiem. Nawet błyskotliwym. Ale jako biały stanowił tylko atrakcję na jeden wieczór. Klub Pod Błękitnym Flamingiem nie zaangażowałby na stałe białego, by śpiewał bluesy.

Grubas siadał w każdy piątek w tym samym miejscu. Jednym z najlepszych w klubie. Pierwszego wieczoru Stella i ja przybyliśmy jak zwykle trochę wcześniej. Na ulicy stała kolejka.

– Chyba wieści się już rozeszły – powiedziała Stella, przewracając oczami.

– Może powinniśmy iść gdzie indziej? – zaproponowałem.

Nienawidziłem kolejek. Zwykle nie musieliśmy czekać przed drzwiami. Byłem trochę zirytowany, że wchodzi nam w drogę profani.

– Dokąd? – spytała Stella.

Dobre pytanie. Byliśmy źle ubrani jak na klub Pod Hipopotamem. Ale potem zobaczyliśmy, że w naszą stronę idzie jeden z portierów.

– Jack Morley i Stella Grey? – spytał.

– Tak.

– Są państwo na liście. Dzięki uprzejmości Grubasa.

Zaprowadził nas do stolika przed estradą. „Rezerwacja”. Usiedliśmy, czując się uhonorowani.

Kiedy po zakończeniu występu Grubas zaprosił nas na drinka, nie mogliśmy odmówić.

Trudno w to uwierzyć, ale każdy kolejny występ Grubasa okazywał się lepszy niż poprzedni. W każdy piątek po zejściu ze sceny przychodził i siadał z nami przy stoliku.

Na początku nie byłem zbyt zadowolony. Szczerze mówiąc, podejrzewałem, że podoba mu się moja narzeczona. Uważam, że Stella mogła myśleć to samo. Nie odznaczała się klasyczną urodą, ale była szczupła i ładna. A jej nogi... Wspominałem o nich? Grubas nie wydawał się szczególnie przystojny, lecz miał wspaniały głos.

Na szczęście pewnego wieczoru moje wątpliwości się rozwiały, gdy Stella spytała, czy pisze piosenki dla konkretnych wokalistów.

Sięgnął do kieszeni marynarki kościstymi palcami, delikatnymi jak u kobiety, i wyjął portfel. Otworzył go ostrożnie i wyjął fotografię.

– Dla Vedy.

Wyglądała jak Hiszpanka, a może Włoszka. Tak czy inaczej, miała w sobie coś egzotycznego. Skóra o ciepłej miodowej barwie. Kaskada loków okalająca idealnie owalną twarz. I te oczy! Wielkie, nieco skośne, o niezwykłym szmaragdowym odcieniu. Była ubrana w czerwoną sukienkę wspaniale podkreślającą krągłości jej ciała. Kochałem Stellę nad życie, ale poczułem ukłucie zazdrości. Veda była piękna. Nie ładna ani atrakcyjna, tylko olśniewająca, zapierająca dech w piersiach. Jak taki dziwnie wyglądający młody człowiek zdołał zdobyć taką dziewczynę?!

Popatrzyłem w jego blade oczy. Wiedziałem, że czyta mi w myślach. Rozumiał, jakie uszczypliwe komentarze krążą mi po głowie.

– Jest cudowna – odezwała się Stella. Usłyszałem w jej głosie napięcie, zawiść. Myślała, że sprawia przyjemność Grubasowi, ciepło się do niego uśmiechając, a czasem muskając jego ramię (och, zauważyłem to!). W rzeczywistości miał nad nią przewagę. Kto chciałby mieć chudą tyczkę podobną do Stelli, gdy mógłby mieć bujną piękność jak Veda?

– Jest bardzo miła – rzekł. – Kupiła mi ten kapelusz, wiecie? – Podniósł go ze stołu. – Wydała na niego miesięczną pensję, ale wiedziała, że mi się podoba. – Wzruszył ramionami. – Nie wiem, co we mnie widzi.

Ale ja wiedziałem. I on też wiedział. Głos. Piękny, ciepły głos.

– Och, nie bądź taki skromny – powiedziała Stella trochę zbyt wesołym tonem. – Jest prawdziwą szczęściarą.

Grubas się uśmiechnął. Nie prostował kłamstwa. Przycisnął do ust dwa palce, dotknął nimi warg kobiety na fotografii i ostrożnie schował zdjęcie w portfelu.

– Piszę dla niej wszystkie swoje piosenki – dodał. – Wyzwała we mnie muzykę. Ja tworzę muzykę, a ona tańczy.

– Jest tancerką? – spytała uprzejmie Stella i wypła łyk z kieliszka.

– Tak. Wspaniała. Chciała być baleriną, ale jest trochę za wysoka. Porusza się z wielką gracją. Jak łabędź.

– Nigdy jej nie widziałem Pod Flamingiem – zauważyłem.

Pokręcił głową.

– Nie. O tej porze jest w pracy. W Rock Island Diner.

– W lokalu, gdzie dziewczyny tańczą na stołach?! – Stella nie była w stanie ukryć dezaprobaty i może po raz pierwszy poczułem do niej lekką antypatię. Jej świętoszkowatość. Snobizm. Uważała się za lepszą od innych kobiet.

Grubas kiwnął głową.

– Nie jest to jej wymarzona praca, ale przynajmniej może co wieczór tańczyć. To dla niej najważniejsze. Trzeba robić to, co się naprawdę kocha, prawda?

– Słusznie – odpowiedziałem. Pracowałem jako księgowy i nie znosiłem tego zawodu. Ale była to dobra, szacowna praca i oszczędzałem pieniądze na małżeństwo. Żeby robić to, co kocham. Cóż, byłoby to cudowne.

– Wiesz, co to za spelunka? – spytała później Stella, gdy szliśmy złapać autobus do domu. Nie zabrzmiało to jak pytanie.

– Jaka spelunka? – odpowiedziałem ostrożnie.

– Rock Island Diner.

– Eee... restauracja?

Stella palnęła mnie dłonią w ramię.

– Nie udawaj głupiego, Morley. Doskonale wiesz, co mam na myśli. – Milczałem. Nie ośmieliłem się odpowiedzieć z obawy, że może coś wyczytać z tonu mojego głosu. – To burdel, choć może trochę lepszej kategorii – dodała sucho.

Popatrzyłem na nią zaszokowany.

– Straszna ocena.

– Och, nie gadaj. Wszyscy wiedzą, że dziewczyny, które tam tańczą, to dziwki. Mężczyźni wsuwają im pieniądze do staników i majtek, a jeśli wsuną wystarczająco dużo, dziewczyny będą nie tylko tańczyć.

– Dlaczego poruszyłeś ten temat, Stello? – spytałem, lekko podnosząc głos.

Nie jestem pewien, czy sama to wiedziała. Po chwili przystanęła i przygryzła wargi.

– Przepraszam. Po prostu... to taki miły młody człowiek. Naiwny. Uwielbia tę dziewczynę, ale założę się, że ona co wieczór go zdradza.

– Nie możesz być tego pewna, Stello.

Popatrzyła na mnie lodowatym wzrokiem, od którego przeszedł mnie dreszcz.

– Jestem pewna – odparła i po raz pierwszy w życiu odeszła, nie całując mnie na pożegnanie.

Tak naprawdę znałem lokale takie jak Rock Island Diner. Zaglądałem do nich kiedyś, ale szybko przestałem. Nie do tego, w którym tańczyła Veda. Znajdował się trochę za blisko domu. Teraz, gdy związałem się ze Stellą, nie musiałem już odwiedzać takich miejsc, rozumiecie, o co mi chodzi?

Nie mam pojęcia, w jaki sposób w sobotę wieczorem znalazłem się w wąskiej, ciemnej sali oświetlonej tylko przez jarzeniówki i reklamy piwa.

Wiedziałem, jak tam dotrzeć. Wsiadłem do samochodu, pojechałem i kwadrans po dziesiątej zatrzymałem auto na ostatnim wolnym miejscu na

parkingu. Nie wybierałem się do tego klubu, tylko do sklepu sieci 7-Eleven na głównej ulicy. Wieczór w kinie i kilka zimnych piw.

Stella ciągle odnosiła się do mnie lodowato. Nie wiem dlaczego. Nigdy nie powiedziałem jej o lokalu, który odwiedziłem, i o dziewczynie, która dla mnie tańczyła. Nie mogła o tym wiedzieć. Ale coś ją irytowało. Nie poszliśmy razem do kina jak zwykle w sobotni wieczór, a później na burgera. Oświadczyła, że umówiła się z przyjaciółkami.

Siedziałem w kawalerce i jakiś czas się nudziłem. Wypiłem dwa piwa z lodówki, po czym postanowiłem wyjść, dokupić w sklepie kilka puszek i obejrzeć w telewizji film akcji. Stella nienawidziła filmów akcji, więc udawałem, że też ich nie lubię, lecz w sekrecie za nimi przepadałem. Mężczyźni mają wiele drobnych tajemnic. Domyślam się, że kobiety też. Czasami uważam, że prawdziwym spoiwem relacji damsko-męskich nie jest prawda, tylko kłamstwo. Pod warunkiem że obie strony je podtrzymują.

Klub był nie po drodze, bynajmniej. Ale z jakiegoś powodu pojechałem nieco okrężną drogą, więc go minąłem. Zwolniłem i popatrzyłem na tandetny neon. Okna mojego starego forda mavericka były zamknięte, lecz słyszałem głośną muzykę dobiegającą zza drzwi.

Miałem zamiar nacisnąć pedał gazu i pojechać dalej. Czekał na mnie Steve McQueen i kolejny czteropak. A poza tym markowa whisky schowana na tyłach szafy. I nagle pomyślałem: „Właściwie dlaczego nie, do licha?!”. Stella poszła z przyjaciółkami i na pewno z kimś flirtuje. Może ja też powinienem się zabawić?

Domyślam się, że wiele błędów, nieszczęśliwych wypadków i fatalnych zakończeń zaczyna się od pytania: „Właściwie dlaczego nie?”. Co złego może się wydarzyć? Co to szkodzi? Po prostu zajrzę do środka. Zobaczę piękną Vedę na własne oczy. Niczego to nie zmieni. Naprawdę kochałem Stellę. Nie zdradzałem jej. Nie można mi tego zarzucić.

Cóż, chyba zbaczam z tematu. Z jakiegoś przekłętego powodu zatrzymałem samochód i wszedłem do baru. Było w nim mnóstwo pięknych dziewczyn krążących po sali w skąpych strojach. Krótkie bluzeczki odsłaniające brzuch, mini z frędzlami ledwo zasłaniające tyłki. Te, które nie spacerowały i nie kręciły jędrnymi pupami, tańczyły na stołach. Były prawie nagie. Gołe biusty, stringi. Wydawały się dziwnie oślizgłe, przypominały gady. Kołysały piersiami, wysuwały biodra do przodu; mężczyźni nie mogli im wsuwać pieniędzy do staników, bo ich nie miały. Wsuwali banknoty do stringów i długo trzymali w nich palce. Domyślam się, że Stella miała rację.

Było dość późno i w klubie panował tłok. Udało mi się wypatrzeć niedawno zwolniony boks; na stole stały puste szklanki i pełna popielniczka. Usiadłem na

sofie; czułem się zakłopotany i trochę zmęczony. W plastikowej podstawce tkwił folder z listą drinków. Był lekko przekrzywiony. Wyglądał na lepki i rzeczywiście był lepki. Rozklejałem kartki, gdy po mojej stronie rozległ się dziewczęcy głos:

– Na co ma pan ochotę, sir? Na drinka i taniec?

Odwrociłem się. Była to Veda. Oczywiście. Powinienem się domyślić po cudzoziemskim akcencie. Wyglądała jeszcze piękniej niż na fotografii, czego nie można powiedzieć o wielu kobietach. Na zdjęciach prezentują się wspaniale, lecz twarzą w twarz wydają się trochę dziwne. Kąty i linie tworzące piękną fotografię okazują się zbyt trudne dla oka. I odwrotnie, piękna dziewczyna może wyglądać źle na fotografiach. Na zdjęciach ze mną Stella zawsze wydaje się napięta i surowa. Zbyt blisko osadzone oczy, zbyt wąskie usta. Nie tak ją pamiętam. Fotografie mogą kłamać, podobnie jak ludzie.

Ale Veda... Myślę, że nie mogłaby wyglądać brzydko, nawet gdyby chciała. Bujne loki opadające na nagie ramiona. Przypominała boginię grecką. Patrzyłem na piękną twarz, hipnotyzujące oczy. A później – nie zamierzam kłamać – spojrzałem na jej ciało. Pełne, krągłe piersi, płaski brzuch, nogi... Boże, co za nogi... Wyglądała jak urodzona tancerka. Poruszała się z wdziękiem i pewnością siebie. A także z godnością.

– Słyszał mnie pan, sir? Drink i taniec? – Pochyliła się w moją stronę, niemal muskając włosami moją twarz. – Musi pan zamówić przynajmniej jeden drink, bo inaczej pana wyrzucą.

Uśmiechnęła się, ujawniając drobną niedoskonałość urody. Ma ją każda kobieta. Wśród mocnych białych zębów brakowało jednego siekacza.

– Och... – Spojrzałem na listę drinków. Czułem się głupio, miałem mętlik w głowie. Co ja tu właściwie robię, do cholery?! Nie mam ochoty pić koszmarnie drogich koktajli o nazwach „Śliskie sutki” albo „Seks na plaży”. Nie podoba mi się tandetna muzyka rycząca z głośników. Veda jest piękna, ale to nie moja dziewczyna.

– Ja... eee... – Zamknąłem folder z listą drinków. – Niczego nie chcę, dziękuję. Przed chwilą zauważyłem, że zostawiłem portfel w domu.

Spodziewałem się, że się zirytuje, lecz tylko się roześmiała.

– Mnie też często się to zdarza. Mój chłopak stale mówi, że mam pamięć jak sito.

Chłopak Vedy, Grubas. Powinienem wyjść. Wstałem i wyciągnąłem dłoń.

– Twój chłopak to szczęściarz.

Uśmiech przygasł. Spuściła wzrok, ale zauważyłem coś na jej twarzy. Cień żalu? Strachu? Może tylko to sobie wyobraziłem? Każdy jest mądry po szkodzie.

Mimo to ociągałem się z odejściem. Patrzyłem na Vedę, wracającą do baru, kołyszącą biodrami.

Gdybym chwycił kapelusz i natychmiast wyszedł, nigdy bym go nie zobaczył.

Przy barze stało kilku mężczyzn należących do personelu klubu. Niektórzy z pewnością zajmowali się awanturniczymi gośćmi nagabującymi dziewczyny. Ten pracownik nie był najwyższy ani najbardziej umięśniony, ale piękny, podobnie jak Veda. Może to brzmieć dziwnie, lecz niektórzy mężczyźni są piękni. Miał ciemniejszą skórę niż ona, gęste włosy; klasyczną twarz z wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi i pełnymi wargami. Moja matka mawiała o takich ludziach, że Bóg nie śpieszył się z ich tworzeniem.

Kiedy Veda dotarła do narożnika baru, popatrzył na nią i się uśmiechnął. Podeszła do niego. Powiedział coś, a ona się roześmiała i pogładziła go po ramieniu. Śmiech i gest mówiły wszystko.

Nie pocałowali się ani nie objęli, ale ja wiedziałem. Niektóre rzeczy po prostu się wie. Ścisnąłem mocniej kapelusz i odwróciłem się z ciężkim sercem, przeklinając się w duchu, że wszedłem do klubu. To nie moja sprawa. Nie ma związku z moim życiem. Jednak współczułem Grubasowi. Przypomniałem sobie, jak dotknął palcami fotografii Vedy, jak bardzo ją kocha.

Pomyślałem, że może zdoła ją zatrzymać. Dopóki będzie mógł śpiewać. Barman ma urodę, ale Grubas głos. Może ją zatrzymać.

Minęło kilka dni i Stella wreszcie się rozchmurzyła, jak się spodziewałem. Znowu poszliśmy do klubu Pod Błękitnym Flamingiem. Grubas się nie pojawił. Minął tydzień, potem dwa i w końcu spytałem menedżera, Marvinina, co się z nim dzieje. Zrezygnował? Występuje w innym lokalu?

– Och nie – odparł. – Stracił głos. Zapalenie krtani.

Brzmiało to jak fragment bluesa. „Straciłem głos, a potem dziewczynę”. To się po prostu zdarza. Kiedy wrócił, coś w nim się zmieniło; natychmiast to zauważyłem. Był załamany. Wyglądał jak kukielka z przeciętymi sznurkami. Wszedł na scenę, jeszcze bledszy i chudszy niż poprzednio. Wszyscy myśleli, że to z powodu choroby. Wiedziałem, że nie chodzi o gardło. Był to inny rodzaj choroby. Choroba serca. Nie ma na nią lekarstwa.

Kiedy śpiewał, nie były to wesołe piosenki, tylko posępne pieśni o miłości i stracie. Nigdy nie wkładał kapelusza. W dalszym ciągu przynosił pudło i stawiał je na scenie u swoich stóp. Ale nigdy nie widziałem go w kapeluszu podarowanym przez Vedę.

Pewnego dnia usiadł przy naszym stoliku i opowiedział, jak uciekła z facetem pracującym w klubie. Kochała Grubasa, lecz Freddie ją zauroczył. Domyślam

się, że Grubas nie był pierwszym mężczyzną, który przeżył coś takiego. Mężczyźni wiedzą, co to znaczy: „Jesteśmy przyjaciółmi, ale chcę, żeby pieprzył mnie Freddie”.

To słowa Grubasa, nie moje. Słowa zgorzkniałego człowieka. Nigdy dużo nie pił, zwykle tylko colę z lodem. Ale tego wieczoru zaprawiał ją whisky i wypił około pięciu szklaneczek.

Pozwoliliśmy mu się wygadać. Trudno pomóc człowiekowi o złamanym sercu. Można tylko pozwolić mu mówić. To jak płacz, krwotok. Musi trwać, dopóki się nie skończy. Od czasu do czasu wtrącaliśmy konwencjonalne zwroty, ale to wszystko. Nie jestem pewien, czy w ogóle słuchał.

– Zawrócił jej w tej ładnej małej główce – rzekł głosem głuchym od whisky i łez. – Gdybym mógł ją znaleźć, gdybym tylko mógł ją znaleźć, to wtedy...

– ...myślisz, że mógłbyś ją odzyskać? – spytała łagodnie Stella. Jej głos był lekko bełkotliwy. Tego wieczoru trochę za szybko piła różowe martini.

– Nie – odpowiedział. – Gdybym ją znalazł... zabiłbym ją.

Z lekkim wstydem przyznaję, że nie przepadam za czytaniem. Nie biorę do rąk książek, tygodników, a nawet codziennych gazet. Nie oglądam również wiadomości telewizyjnych. Za dużo śmierci, makabry, przemocy. Miałem kontakt z bieżącymi wydarzeniami tylko wtedy, gdy słuchałem radia w samochodzie.

Właśnie tak się o tym dowiedziałem. O zwłokach kobiety znalezionych w lesie przy głównej szosie wychodzącej z miasta. Zabójca usiłował spalić ciało. Właśnie dlatego od razu jej nie zidentyfikowano. Poza tym nie miała głowy, którą ucięto.

Czy natychmiast się domyśliłem? Nie jestem pewny. Myślę, że miałem jakieś przeczucie, coś chodziło mi po głowie. Już wtedy zaczynała mi szwankować pamięć. Nie zawsze dobrze pamiętałem rozmowy i niedawne wydarzenia.

To Stella wszystkiego się domyśliła. Zawsze była bardziej spostrzegawcza ode mnie i czytała mnóstwo kryminałów, więc natychmiast wysunęła najbardziej ponurą hipotezę.

– Słyszałeś... o zamordowanej kobiecie, Jack?

Zmarszczyłem brwi, a później skinąłem głową.

– Tak, słyszałem. Okropne, przerażające. Mam nadzieję, że złapią tego potwora.

– Nie wydaje ci się oczywiste, kto to zrobił?

Nie znośłem, gdy odzywała się do mnie w taki sposób. Jakbym był idiotą. „Czy twój powolny umysł jeszcze tego nie ogarnął? Muszę ci wszystko



tłumaczyć?”

– Cóż, domyślam się, że sprawca jest nieznany. Nie wiem, o czym mówisz – odpowiedziałem bardziej szorstko, niż zwykle odzywałem się do Stelli.

Jednak nie zbiło jej to z tropu. Była zbyt zaabsorbowana swoją szaloną teorią.

– To ona, Veda. Grubas ją wytropił i zabił, jak obiecał.

– To potworne oskarżenie, Stello.

– Naprawdę? Sam słyszałeś, co powiedział. O tym, że kolega z baru zawrócił jej w ładnej główce. Potem ucięto jej głowę, Jack.

Zaakcentowała słowa „ucięto jej głowę”. Otworzyła szeroko oczy. W jej głosie brzmiało podejrzaną zadowolenie.

– To wcale nie takie oczywiste...

– To Veda. Zapamiętaj moje słowa.

– Ale... jak ją zidentyfikują? Nie znaleźli głowy.

Nagle nas olśniło. Popatrzyliśmy na siebie.

– Pudło na kapelusz – szepnęła Stella.

Dreńcząca, ohydna myśl przypomina robaka wyzerającego wnętrzości. Wbija zęby w trzewia, nie można o niej zapomnieć, choćby się chciało.

W dalszym ciągu chodziliśmy do klubu Pod Błękitnym Flamingiem, ale tak naprawdę nie słuchaliśmy muzyki. Obserwowaliśmy Grubasa. Czy wydaje się inny? Czy okazuje poczucie winy? Czy spodziewaliśmy się zobaczyć krew sączącą się z pudła na kapelusz albo pokrywającą jego ręce?

Boże, to przekłete pudło... Chciałbym powiedzieć, że się modliłem, by je wreszcie otworzył i udowodnił, że w środku jest tylko kapelusz. Chciałbym powiedzieć, że kiedy rozmawialiśmy, byłem pewny jego niewinności. Ale to nieprawda. Ludzka natura funkcjonuje inaczej. Nie tego pragnie ohydny robak. Pragnie zobaczyć odbicie własnej ohydy. Łapałem się na tym, że obserwuję, czy Grubas niesie pudło w inny sposób. Czy waży więcej niż poprzednio? Czy w środku jest coś cięższego niż tylko kapelusz? Nie mogę powiedzieć, że tak było, ale pod jednym względem jego zachowanie się zmieniło. Po występie, zanim przysiadł się do naszego stolika, zabierał pudło i zostawiał je w garderobie.

Przypuszczam, że przestałbym się nad tym zastanawiać i chodzić do klubu. Powiedziałbym Stelli, by o tym zapomniała. Ale, jak zwykle, spóźniłem się i Stella była szybsza.

– Musimy zajrzeć do środka.

– Słucham?

– Musimy zajrzeć do pudła na kapelusz. Musimy się przekonać, Jack.

– Chyba ponosi cię wyobraźnia, Stello...

– Nie. To cały ty. Myślisz, że można zamieść wszystko pod dywan, jakby nigdy się nie zdarzyło.

– Stello...

– Zakochani mogą robić straszne rzeczy. Zabił ją i trzyma jej głowę w pudle na kapelusz. A ja chcę, żebyś tam zajrzał.

– Nie rozstaje się z nim.

Pokręciła głową i zacisnęła wargi.

– Wiesz, że to nieprawda. Po występie zanosz je do garderoby.

– Na pewno jest zamknięta.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem i sięgnęła do kieszeni płaszcza. Kiedy wyjęła rękę, trzymała w palcach mały lśniący klucz.

– Skąd go wzięłaś? – syknąłem.

– Wczoraj wieczorem, gdy powiedziałam, że idę do toalety, zakradłam się za kulisy i zabrałam go.

– Stello!

Machnęła lekceważąco ręką.

– Menedżer ma zapasowy. Pomyślą, że się zgubił.

Patrzyłem na nią. Była zupełnie nową Stellą. Podstępna, złośliwa Stella. Pełną wijących się, ohydnych robaków. Coraz mniej ją lubiłem.

– Dlaczego tak cię to obchodzi? – spytałem.

– Dlaczego mnie obchodzi? – Popatrzyła na mnie, jakby myślała to samo co ja. Jakby uważała mnie za kogoś obcego. – Jack, on mógł zamordować tę dziewczynę. Pytanie polega na tym, dlaczego ciebie to nie obchodzi.

Kobiety mają zwyczaj zadawać pytania, na które mężczyzna nie potrafi odpowiedzieć. Domyślam się, że to właśnie dlatego w następnny piątkowy wieczór stanąłem przed garderobą Grubasa, trzymając w spoczonej dłoni lśniący srebrny klucz.

Grubas był w barze, kupował kolejne różowe martini. Tego wieczoru wydawał się szczęśliwy, tryskał energią. Zagrał nawet kilka weselszych utworów. Może rany w sercu zaczęły się goić? Może poznał nową dziewczynę? Może myślał, że udało mu się uniknąć odpowiedzialności za morderstwo?

Właśnie takiej okazji potrzebowałem. Kiedy poszedł do baru, Stella spojrzała na mnie i wiedziałem, że nadszedł właściwy moment. Teraz albo nigdy. Wolałbym tego nie robić, ale czasami, cóż, mężczyzna musi spełnić życzenie kobiety.

Stałem przed garderobą Grubasa. Gdyby ktoś mnie minął i spytał, co robię, zamierzałem powiedzieć, że Grubas kazał mi przynieść portfel, którego zapomniał zabrać. Ale nikt się nie pojawił. Nikt o nic nie pytał. Wsunąłem klucz do zamka, mając nadzieję, że się zatnie. Ale klucz obrócił się gładko i drzwi się otworzyły.

Wszedłem do środka. Pokój był ciasny, niewiele większy niż kabina w toalecie. Ale i tak był najlepszą garderobą w klubie. Jedyłą, którą artysta miał tylko dla siebie. Natychmiast zauważyłem pudło stojące na podłodze pod toaletką.

Popatrzyłem na siebie w poplamionym lustrze. Tęgi mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze, włosy zaczesane do tyłu, kilka przedwczesnych zmarszczek. Nie wyglądałem źle, ale trudno było powiedzieć, że jestem przystojny. Nic szczególnego, awanturniczego. Nic świadczącego, że byłbym zdolny do włamania. A jednak stałem w garderobie Grubasa.

Przykucnąłem. Słyszałem bicie swojego serca. Przypominały dźwięki basowego bębna. Uniosłem pudło i poczułem ściskanie w żołądku. W środku coś się poruszyło. Pudło wydawało się ciężkie. Zbyt ciężkie, by był w nim tylko kapelusz. Postawiłem je na odrapanej toalecie. Dotknąłem pokrywy, zamierzałem ją unieść, gdy nagle serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Za moimi plecami rozległ się głęboki, melodyjny głos:

– Co tu robisz, Jack?

Obróciłem się. W drzwiach stał Grubas. Wydawał się wyższy, twarz pozostawała w cieniu.

– Ja... – Słowa zamarły mi w ustach.

Uśmiechnął się, błyskając złotym zębem.

– Wiem, dlaczego tu przyszedłeś.

Popatrzyłem na niego.

– Naprawdę?

Skinął głową.

– Chodzi o kapelusz, prawda? Po zniknięciu Vedy zauważyłeś, że nie noszę kapelusza.

– Tak – odpowiedziałem. Miałem wrażenie, że tonę i próbuję chwycić się brzytwy.

Ruszył w moją stronę. Powstrzymałem chęć odsunięcia się.

– Powinienem przewidzieć, że przyjaciele tacy jak ty, dobrzy przyjaciele, to zauważą. – Skinął powoli głową. – Prawda wygląda tak: kiedy myślałem, że ją straciłem, nie mogłem nosić tego kapelusza. Ale nie chciałem się go pozbyć, bo w głębi serca czułem, że wróci. – Umilkł na chwilę. – I miałem rację.

Popatrzyłem na niego.

– Veda wróciła?

– Tak. – Roześmiał się, a ja znowu dostałem gęziej skórki, jak wtedy, gdy śpiewał, ale z innego powodu. – Jest w tej chwili w klubie i pije różowe martini. Chodź, popatrz na nią.

Wyciągnął rękę. Ruszyłem za nim w stronę drzwi. Ugiwały się pode mną nogi. Weszliśmy do klubu. Nie zauważyłem Stelli, ale natychmiast spostrzegłem Vedę. Siedziała daleko, przy stoliku koło sceny. Miała włosy związane z tyłu i była ubrana w lśniąca suknię z dużym dekoltem. Przepiękna, niepowtarzalna. Ogarnęła mnie ulga i muszę przyznać, że poczułem ukłucie zazdrości. Wróciła. Olśniewająca, wspaniała Veda. A ja zostałem z brzydką, wierną, małosłowną Stellą.

– Śliczna, prawda? – westchnął Grubas.

Skinąłem głową i z trudem powstrzymałem się od dodania, że również żywa.

– Jack?

Odwróciłem się. Za moimi plecami stała Stella. Na jej twarzy malowała się podejrzliwość i irytacja.

– Gdzie byłaś? – spytałem.

– W toalecie – odparła wyniośle. – Czy ty...

– Veda wróciła – wtrąciłem, nim zdążyła dokończyć zdanie.

Popatrzyła na mnie i zamrugnęła.

– Co takiego?

Grubas spojrzał na nią.

– Wiem, co za chwilę powiecie. Że nie powinienem jej ufać, bo znowu zrobi to samo. Ale Veda się zmieniła, Stello. Zrozumiała, że mnie potrzebuje.

Stella odchrząknęła.

– Cóż, to świetnie.

– Cieszę się, że wszystko dobrze się skończyło – dodałem. Lubię myśleć, że mówiłem szczerze.

– Dzięki, stary. – Grubas zerknął na Vedę z dziwnym wyrazem twarzy. – Wiem, że tym razem nigdy więcej nie ucieknie. Odwrócił się w naszą stronę i uśmiechnął się szeroko. – Przysiądźcie się do nas?

– Dziękujemy za zaproszenie, ale jestem trochę zmęczona – odparła szybko Stella. – Kiedyś z niego skorzystamy.

Nie oponowałem. Zakłócanie radości Grubasa wydawało się niewłaściwe po tylu brudnych myślach.

– Jesteście pewni? – spytał.

– Tak – odpowiedziałem zdecydowanie. – Powinniśmy iść do domu.

Kiedy szliśmy ulicą, Stella milczała. Źle oceniła Grubasa, a nie zносиła się mylić. Pozwoliłem jej się smażyć we własnym sosie. Zasłużyła na to.

Byliśmy w połowie drogi do przystanku, gdy nagle stanąłem jak wryty. Coś sobie przypomniałem. Mój kapelusz. Zapomniałem go zabrać.

– Muszę wrócić do klubu – powiedziałem do Stelli.

– Dlaczego?

– Zostawiłem kapelusz.

Prychnęła.

– Na litość boską, Jack, dobrze, że nie zapomniałeś zabrać głowy!

– Byłem zdekoncentrowany – odparłem.

– Nie dziwię się! – rzuciła jadowitym tonem.

– O co ci chodzi?

– Nie udawaj, że nie wiesz.

Nie byłem w nastroju do kłótni, więc po prostu powtórzyłem:

– Muszę wrócić do klubu.

– Nie możesz odebrać tego cholernego kapelusza jutro?

– To mój ulubiony kapelusz.

– Na pewno skończyli pracę.

– Wpuszczą mnie. Jesteśmy stałymi gośćmi.

Westchnęła.

– Dobrze. Poczekam tu na ciebie.

Poszedłem szybko ulicą, ale kiedy dotarłem do klubu, okazało się, że drzwi frontowe są już zamknięte. W pobliskim zaułku znajdowało się wyjście dla personelu. Powinno być otwarte, by pracownicy i artyści mogli opuścić lokal.

Skreśliłem za róg i rzeczywiście, tylne drzwi były uchylone. Zauważyłem światło i usłyszałem głosy. Na ulicy parkowała biała furgonetka. Poszedłem w jej stronę... i stanąłem jak wryty.

W życiu zdarzają się chwile – mnie przytrafiło się to dwa razy – kiedy czas zdaje się zatrzymywać. Jakby ktoś podniósł rękę i powiedział: „Popatrz, popatrz uważnie. Zapamiętaj to. Zarejestruj wszystkie szczegóły i nigdy ich nie zapomnij. Chciałeś wiedzieć i teraz wiesz. Jak się czujesz?”.

Grubas stał z tyłu furgonetki, paląc papierosa i trzymając pudło na kapelusz. Nagle drzwi klubu się otworzyły i ukazała się Veda. Nie sama. Szedł za nią jeden z portierów. Popychał wózek inwalidzki, na którym siedziała.

Rozłożono metalową rampę i portier tyłem wprowadził wózek do furgonetki. Veda była przykryta blad różowym kocem. Kiedy portier dociągnął wózek do końca rampy, koc zsunął się na bok i ukazały się długie nogi tancerki: gładkie uda, umięśnione łydki... i dwa ohydne kikuty, gdzie powinny być stopy.

Patrzyłem na nie, na różową, pomarszczoną skórę. Kręciło mi się w głowie. Przypomniała mi się waga pudła na kapelusz. Coś poruszało się w środku. Ale nie głowa.

„Wiem, że tym razem nigdy nie uciekniesz”.

Grubas podszedł z uśmiechem do Vedy. Pogładził ją po policzku. Później położył jej na kolanach pudło. Spojrzała na nie i zaczęła płakać.

Mijał czas, jak to zwykle bywa. Nigdy nikomu nie opowiedziałem, co widziałem tamtej nocy. Niektóre horrory są zbyt przerażające, by się nimi podzielić. Co naprawdę wiedziałem? Miałem tylko ohydne przypuszczenia.

Stella i ja nigdy więcej nie poszliśmy do klubu Pod Błękitnym Flamingiem. Przestał się nam podobać. Wkrótce potem usłyszałem, że Grubas wyjechał i nigdy nie wrócił.

Kobietę znaną w lesie zidentyfikowano jako jedną z tancerek Rock Island Diner. Jej głowę znaleziono w odległości ośmiuset metrów. Wydawało się, że ktoś chciał ją zabrać, a później się rozmyślił. Co najważniejsze, policja powiązała morderstwo z jedną z nierozwiązanych spraw. Niespełna pięć lat wcześniej zamordowano tancerkę z innego klubu. Jej również ucięto głowę, a ciało spalono. Głowy nigdy nie znaleziono.

Stella miała rację. Ludzie robią straszne rzeczy w imię miłości. Nigdy się nie dowiem, jak straszne. Zadbalem o to.

Nie żyje prawie od dwóch lat. Czasami o tym zapominam. Budzę się i jestem zdziwiony, że jej połowa łóżka jest zimna: poduszka nie jest wgnieciona ani nie czuję znajomego zapachu. Czasami wychodzę jej szukać w piżamie i policjanci odwożą mnie do domu. Później wszystko sobie przypominam i czuję się tak, jakbym znowu ją stracił.

Kiedyś odwiedziłem klub podobny do Rock Island Diner. Dziewczyna, która dla mnie tańczyła, robiła również inne rzeczy, późnym wieczorem, w samochodzie. Rzeczy, których nigdy nie robiłem ze Stellą. Wydawały się przyjemne, lecz później źle się czułem. Co by się stało, gdyby Stella się dowiedziała? Co bym zrobił bez niej? Stella i ja byliśmy zakochani, a ta dziewczyna była po prostu śmieciem.

Wiem, co się robi ze śmieciami. Trzeba je spalić.

Ale zachowałem pamiętkę. Nie mogłem się powstrzymać.

Nie mogłem się też powstrzymać przed powrotem do Rock Island Diner dzień lub dwa po spotkaniu z Vedą i pozbyciu się śmieci.

Otwieram drzwi garażu, wchodzę i zapalam jarzeniówkę. To miejsce należy do mnie. Stella nigdy tu nie zaglądała. Ani razu w czasie czterdziestu pięciu lat

małżeństwa. To tu przychodziłem, gdy chciałem mieć chwilę spokoju. Każdy człowiek potrzebuje spokoju i w końcu śpiewa własną pieśń.

Przychodziłem do garażu i majstrowałem przy starym fordzie mavericku, gdy jeszcze pozwalano mi go prowadzić. Teraz jest tu jest mnóstwo rupieci: stary fotel, w którym lubię siadać, a także radio, któremu jakiś czas temu wyczerpały się baterie. Przechowuję w garażu kapelusze, schludnie schowane w pudłach stojących na dwóch półkach.

Ale w jednym z pudeł nie ma kapelusza.

Biorę je i stawiam ostrożnie na stole roboczym.

Czasami pamiętam, że tu jest, a czasami zapominam. Choroba Alzheimera jest okrutna. Wszystko odbiera. Wspomnienia, tajemnice. Nawet słowa.

Nie przepadam za czytaniem, lecz zawsze uwielbiałem opowiadać. Teraz nie pamiętam, o czym mówiłem przed pięcioma minutami...

„Opowiadałem wam kiedyś o Grubasie?”

# Finalizacja

## WSTĘP

**W** ciągu ostatnich trzech lat często myślałam o końcu świata, między innymi dlatego, że nie byłam pewna, czy się nie zbliża. Kiedy piszę te słowa, sytuacja się nie zmieniła.

Uderzyło mnie, że filmowcy podchodzą do tych spraw zupełnie niewłaściwie. Gdyby społeczeństwo się załamało i po ulicach krążyły hordy zombie, nie stalibyśmy się ludźmi podobnymi do bohaterów filmu *Mad Max*. Przypuszczam, że ludzie po prostu by się przyzwyczaili. Kupowalibyśmy chleb i mleko, pamiętali o nagrywaniu *Tańca z gwiazdami*. Narzekalibyśmy na inwazję zombie i z żalem wspominali dni, gdy można było chodzić ulicami, nie spotykając żywych trupów. Taka jest natura Brytyjczyków.

Pod koniec 2020 roku znalazłam się w wirze zajęć: pomagałam matce sprzedać dom rodzinny i kupić mieszkanie, w którym mogłaby spędzić starość. Działo się to w czasie pandemii, ale rynek nieruchomości rozkwitał – częściowo z powodu obniżenia podatków. Częściowo, bo apokalipsa sprzyja tylko dwóm rodzajom istot: karaluchom i pośrednikom obrotu nieruchomościami (przepraszam pośredników obrotu nieruchomościami, to żart, okej?).

W owym czasie często słyszałam słowo „finalizacja”. Sprzedawcy chcieli jak najszybciej dobić targu. Powtarzali to słowo tyle razy, że zaczęło brzmieć złowieszczo. Wyobrażałam sobie demoniczne skandowanie: „Finalizacja! Finalizacja! Finalizacja!”.

Pewnego ranka napisałam to słowo na kartce jako tytuł. Po prostu.

Nieco później wróciłam do tematu i stworzyłam opowiadanie.

Łączy ono wiele rzeczy, o których wówczas myślałam – koniec świata, ludzką naturę, diabła. Wiecie, o co chodzi.

Mam już pięćdziesiąt lat i patrzę bardziej fatalistycznie na swoją przyszłość. To nieuniknione, gdy ktoś ma przed sobą mniej lat niż za sobą. Martwię się o córkę. Kiedyś pragnęłam, żeby miała lepszą przyszłość, a teraz po prostu chcę, by miała przyszłość. Coraz mocniej czuję, że historia się powtarza, że życie ma przebieg cykliczny. Wszystko, co mogę zrobić dla Betty, to zaszcześcić w niej



właściwe wartości i dać jej narzędzia, by wykuła swoje własne miejsce w świecie.

A jeśli nadejdzie koniec świata i pojawią się hordy zombie, przypomnijcie jej, żeby nagrała *Taniec z gwiazdami*.

**D**zień finalizacji zaczął się – podobnie jak wiele dni Dana Ransoma – od kłamstwa.

– Cóż, to dobra oferta, ale obawiam się, że drugi oferent podniósł stawkę. – Kiwał głową, słuchając rozmówcy skarżącego się przez telefon. – Tak, wiem. Nie chcemy zmieniać uzgodnionej ceny, ale muszę o tym powiedzieć sprzedawcy. – Chwila milczenia. – Tak, zamierza zapłacić gotówką.

Dan czekał, spoglądając na swoje paznokcie – którym przydałby się manikiur – a tymczasem potencjalny nabywca wzdychał i dawał do zrozumienia, że nie podniesie proponowanej ceny.

– Rozumiem – rzekł Dan, choć prawie nie słuchał. – Więc mam poinformować sprzedawcę, że to pana ostateczna, najlepsza...

Urwał. Nie. Nie chcą, żeby to zrobił, o czym doskonale wiedział. Podwyższyli ofertę o jedenaście tysięcy funtów, czego też się spodziewał. Dan uśmiechnął się szeroko i zapewnił, że to z pewnością doprowadzi do finalizacji. Zakończył rozmowę i zdjął nogi z biurka. Miejsce, gdzie się znajdowały, zostało natychmiast zajęte przez jędrny tyłek Holly, jednej z agentek.

– Jesteś pieprzonym łgarzem, Ransom.

– Cóż, dziękuję za komplement.

– Nie ma żadnej wyższej oferty, prawda?

– Ściśle biorąc... – Dan puścił oko do Holly. – Nie ma żadnego innego kupca.

Pokręciła głową.

– Czeka na ciebie kocioł w piekle. Przekonasz się, jak ci spali tyłek.

– Fajnie. Lubię gorące tyłki. – Przewróciła oczami. – Daj spokój – rzekł przymilnie. – Niewinne kłamstewko, a ich na to stać.

– Nie o to chodzi.

Westchnął.

– Świat zmierza do piekła. Szczerze mówiąc, jestem zdumiony, że ktoś jeszcze kupuje albo sprzedaje nieruchomości. Niedługo zaczniemy jeść niemowlęta. Więc nie serwuj mi kazań.

– Nie serwuję ci kazań. Po prostu uważam, że powinniśmy przestrzegać etyki zawodowej.

– Etyki zawodowej?! – Roześmiał się. – Nadszedł koniec świata, Hol. Etyka zawodowa zniknęła razem z darmowymi świadczeniami zdrowotnymi i demokracją.

Holly wstała. Wytrącił ją z równowagi i było mu prawie przykro z tego powodu. Lubił Holly, choć czasem była wyjątkowo naiwna. Nie miał pojęcia, jak to się stało, że skończyła jako agentka obrotu nieruchomościami: w jaki sposób

potrafi coś sprzedać. Cóż, czegoś się domyślał. Sprzedawała domy, bo była atrakcyjna, nawet jak na trzydziestolatkę. Audrey Hepburn z dużym biustem i wymodelowanymi ustami. Nosiła obcisłe spódnice i buty na wysokich obcasach, schludne białe bluzki rozpięte pod szyją... „W porządku, przestań, Ransom. Nie baw się w to. Nie rozpraszaaj się. Nie dzisiaj”.

Popatrzył na zegarek. Staroświecki zegarek Klubu Rotary, własność zmarłego klienta. Zdjęty z nadgarstka starego pryka na chwilę przed przyjazdem karetki pogotowia.

Porównał godzinę na zegarku z godziną w laptopie. Pięć minut różnicy. Opóźnienie się powiększało. Nie można już ufać GMT. Stare zegarki, nastawione, nim pojawiły się opóźnienia, przynajmniej ludzie zaczęli to zauważać, były bezpieczniejsze. Chyba że kogoś to nie obchodzi, jak większości ludzi. Połowa świata żyje z pięciominutowym opóźnieniem. Takie rzeczy niepokoiły Dana. Lubił wiedzieć, że ma rację, że się nie myli. A może lubił czuć, że ma przewagę nad resztą świata?

Następny klient również był rotarianinem. Nie powinien się spóźnić. Schował do teczki dokumenty dotyczące sprzedaży i wstał.

– Okej, życz mi powodzenia. Idę sfinalizować transakcję z Bragshawem.

Holly zrobiła wielkie oczy.

– W końcu przyszpiliłeś starego sukinsyna?

– Tak, dziś jest wielki dzień. – Puścił do niej oko. – Finalizacja.

– Nie bądź taki pewny, synu – rozległ się z tyłu suchy, szorstki głos.

Dan z irytacją kliknął językiem w zęby. Jack Holywell.

Jack pracował w Revere's Estate Agents... cóż, chyba od początku świata. Musiał już przekroczyć wiek emerytalny, ale z jakiegoś powodu szefowie ciągle trzymali go w pracy, choć Dan nigdy nie słyszał, by ten stary pierdoła sprzedał jakąkolwiek nieruchomość. Miał wrażenie, że Jack całymi dniami siedzi przy biurku. Przypominał roślinę, którą ktoś zapomniał podlać. Napełniał kosz na śmieci zasmarkanymi chusteczkami i od czasu do czasu rzucał perły mądrości podobne do ostatniej uwagi.

– Niby dlaczego? – spytał Dan. Starał się być bardzo grzeczny. – Przygotowałem wszystkie dokumenty. Żadna ze stron nie ma adwokata. Jestem upoważniony do podpisania umowy i finalizacji transakcji. Sprawa jest załatwiona.

Ochrypli śmiech zmienił się w wilgotny kaszel.

– Wielu ludzi przed tobą potknęło się na ostatniej przeszkodzie, ja też.

Dan uniósł brwi.

– Ty, Jack?

Holywell skinął głową. Na jego pomarszczonych wargach pojawił się chytry uśmiech.

– Trzydzieści lat temu. Pojechałem podpisać papiery. Najlepszy garnitur, zapastowane buty, tak samo jak ty, synu.

Dan najeżył się, słysząc to porównanie.

– I co się stało? – spytała Holly.

Wzruszenie ramion.

– Bragshaw zmienił zdanie. Powiedział, że pora jest nieodpowiednia.

– Dlaczego nie chciał sfinalizować transakcji? Musiał zapłacić karę umowną.

Jack pokręcił głową.

– Forsa go nie obchodzi. Jest tak bogaty, że prawdopodobnie nawet nie wie, ile jej ma. – Puknął się w kartoflowaty nos pokryty drobnymi żyłkami. – Lubi zabawę w kotka i myszkę.

Dan popatrzył na Jacka. Stary piernik miał mętne, przekrwione oczy i obwisłe policzki przypominające pogniecione gałganki. W kąciu spierzchniętych warg zawsze zbierała się biała kropelka śliny. Nosił trumienny garnitur, a podeszwy jego butów były zupełnie wytarte.

Budził niesmak. Stary i zaniedbany, zupełnie nie przypominał Dana, który w wieku dwudziestu pięciu lat czuł się młodym mężczyzną. Oczywiście można to powiedzieć tylko o facecie. Kobiety są inne. Tracą świeżość znacznie wcześniej. Właśnie dlatego wolał... cóż, wolał młodsze.

Poprawił krawat i uśmiechnął się lekko.

– Na szczęście nie jestem tobą, Jack. Sfinalizuję dziś umowę. Będzie to największa transakcja w historii Revere's Estate Agents.

Była to prawda. Bragshaw Manor, największa nieruchomość w okolicy, miał dwadzieścia sypialni, dwie wieżyczki, trzy hektary parku, jezioro i las. Krążyło mnóstwo opowieści o zjawach i potworach pojawiających się rzekomo w jego murach. Ludzie bali się duchów nawet teraz, gdy światu groziła prawdziwa zagłada.

Dan znał te historie. Wychował się niedaleko starego dworu w obskurnym, ciasnym szeregowcu, który zamiast ogrodu miał maleńkie brukowane podwórko na tyłach. Wraz z innymi dziećmi z sąsiedztwa zakradał się do lasu Bragshaw, by się bawić, choć nigdy nie przechodzili przez płot do dworskiego parku, by ich nie zauważono. Aż do dnia, gdy Alice powiedziała...

– Dan? – Holly patrzyła na niego z troską. – Nic ci nie jest?

– Nie, wszystko w porządku. – Uśmiechnął się promiennie. – Zastanawiam się po prostu, na co wydam tę wspaniałą prowizję.

Przewróciła oczami.

– Na terapię?

– Och... – Udał, że zadała mu ból. – Jesteś okrutna, Hol, okrutna...

Włożył najlepszy płaszcz, wziął teczkę, a później wyciągnął rękę w stronę Holly i Jacka.

– Zobaczymy się później, przegrani. Po drugiej stronie.

– A jeśli już jesteś po drugiej stronie? – spytał Jack.

Dan zerknął na starca, którego zwiędła twarz miała dziwny wyraz. Malowało się na niej coś w rodzaju... współczucia? Z twarzy Dana zniknął uśmiech. Szybko się odwrócił.

„A jeśli już jesteś po drugiej stronie?”

Pokręcił głową.

Stary cap. Demencja to straszna rzecz.

Bragshaw Manor przypominał ogromnego, wyjątkowo brzydkiego sępa, który przysiadł na obrzeżach miasta. Miał wszystkie cechy klasycznego nawiedzonego dworu. Wyglądał jak żywcem przeniesiony z horroru albo staroświeckiego wesołego miasteczka. Wydawało się, że za chwilę otworzą się ze skrzypieniem drzwi frontowe i ukaże się wejście do tunelu strachu albo gabinet luster.

Oczywiście wszystko wyglądało inaczej.

Jazda przez miasto okazała się nużąca – jak zwykle drogę blokowali demonstranci, włóczędzy, zakażone i martwe ciała. Dan cmokał i zerkał na zegarek; w pewnej chwili o mało nie potracił pary kulejących zakażonych. „Następnym razem musisz bardziej się postarać, Ransom”. Nie rozumiał, dlaczego rząd albo inna władza kierująca całym tym szambem nie każe ich wszystkich oblać benzyną i podpalić. Przypuszczał, że nie wyglądałoby to dobrze w telewizji i źle by wpłynęło na sondaże.

Czasami myślał, że marnuje się jako pośrednik handlu nieruchomościami. Miał w szkole znakomite oceny (oczywiście ściągał, ale to przecież oznaka inicjatywy), studiował na najlepszych uczelniach (wyrzucono go ze wszystkich trzech, lecz to nieistotne). Powinien zostać politykiem i rządzić tym gównem. Czuł, że posiada wszystkie niezbędne cechy – był notorycznym łgarzem całkowicie pozbawionym zasad moralnych i z radością podstawiłby nogę każdemu, byle tylko zrobić karierę. Na dodatek był wystarczająco przystojny, by zawsze wykręcić się sianem.

Istniał tylko jeden problem. Drobne grzeszki Dana. Gusta, które mogłyby być dla wielu ludzi nie do przyjęcia. Nie rozumiał, dlaczego ludzie traktują w ten sposób pociąg do młodości. Wszędzie panuje kult młodości. Młode, zgrabne dupcie sprzedają samochody i lody. Co w tym złego? Nieapetyczne kobiety w średnim wieku wydają fortunę, by odzyskać świeżą, młodzieńczą cerę, jaką

miały jako nastolatki. Oczywiście to niemożliwe. Ich napięta, lśniąca skóra z bliska wygląda nienaturalnie; zmarszczki na szyjach i pokryte żyłkami dłonie zdradzają wiek. Nie są smukłe, świeże, nieskażone. Czyste.

Oblizwał wargi i zdał sobie sprawę, że ma erekcję. „Nie teraz. Opanuj się, Ransom. Zachowuj się jak profesjonalista. Musisz sfinalizować transakcję”.

Zatrzymał się przed wielką żelazną bramą, opuścił okno i nacisnął guzik intercomu. Ledwo go dotknął, rozległ się cichy pisk i brama się otworzyła. Prawdopodobnie czujnik.

Dan wjechał lśniąca teslą na teren posiadłości, usiłując ignorować dreszczyk niepokoju, który zawsze przebiegał mu po plecach, gdy z przodu pojawiał się złowieszczy, ciemny dwór. Za jego plecami szczęknęła zamykająca się brama. Metaliczny dźwięk miał w sobie coś ostatecznego.

„Masz pietra, Danny?”

Zamrugnął. Znowu ten nerwowy tik. Głupie. To po prostu dom. Stary dwór przyprawiający o gęsią skórę, ale tylko budynek. Nie jest już dzieckiem. Nie ma się czego obawiać. Żadnych potworów, duchów, wampirów ani wilkołaków. Tylko staruch z mnóstwem forsy.

Zatrzymał się przed frontem na zachwaszczonym podejździe wysypanym żwirem. Wielkie drewniane drzwi obrosnięte bluszczem i sześć schodów prowadzących w górę. Przed wejściem stały na kamiennych postumentach dwie demoniczne postacie ze skrzydłami.

„Potworne, co?”

Spojrzał na siebie w lusterku wstecznym. Uśmiechnął się. Miał równe, olśniewająco białe zęby. Oczywiście implanty. Sztuczna opalenizna wyglądała zdrowo, naturalnie. Krótko przycięte ciemne włosy. Ktoś powiedział kiedyś, że wygląda jak kasowy aktor – jak się nazywał ten typek? Tom jakoś tam. Oczywiście też był wtedy młodym mężczyzną w kwiecie wieku.

Mrugnął do siebie. „Nieźle wyglądasz, Ransom”. Wskoczył z samochodu, czując przyływ nerwowej energii. To ważny dzień. Wszyscy pracownicy Revere’s Estate Agents wreszcie rozumieją, kto jest prawdziwym mistrzem. Największy gmach, największa transakcja, największa prowizja, jaką dostał kiedykolwiek pracownik agencji. Musi zostać dzięki temu pełnoprawnym współnikiem.

– Po prostu zachowaj spokój, Ransom – mruknął do siebie. – Najważniejszy jest właściwy ton. Profesjonalny, przyjazny, pozbawiony nerwowości. Nie działaj nerwowo.

Bragshaw nie lubił nerwowych ludzi. Dan dowiedział się tego od starego człowieka, kiedy po raz pierwszy go spotkał niespełna dwa miesiące wcześniej. Bragshaw był stary, ale nie głupi ani miękki. Niektórzy starcy to głąby; wypadają

im zęby, flaczeją mięśnie, mózgi zmieniają się w papkę. Niedowidzą i niedosłyszą; jeśli zachowali jaja, to tylko w szczątkowej formie. Budziło to niesmak Dana, choć byli dobrymi klientami. Dawali się łatwo nabrać.

Bragshaw był inny. Twardy jak wygarbowana skóra. Kościste ciało, łyśa czaszka pokryta starczymi plamami. Ciągłe trzymał się prosto, wydawał się zaskakująco wysoki, miał błękitne oczy o przeszywającym spojrzeniu. Kiedy ścisnął rękę Dana kościstymi palcami, wydawało się, że mógłby ją zmiażdżyć jak w imadle.

Ransom wiedział, że starzec nie znosi głupców. Pochlebstwa i urok są bezużyteczne. Dla Bragshawa liczyły się tylko interesy. Żadnych uprzejmości. Nie wolno zbaczać z tematu, chyba że gospodarz sam to zrobi. Trzeba być uczciwym, a przynajmniej sprawiać takie wrażenie. Dan był w tym dobry.

Uniósł ciężką mosiężną kołatkę i zastukał trzy razy. Cofnął się i zamrugał, by powstrzymać irytujący tik. Zastanawiał się, czy nie zastukać jeszcze raz, ale drzwi się otworzyły. Zawahał się, a później zerknął do środka. Nikogo nie zauważył. Okej. Prawdopodobnie następne czujniki.

Wszedł do holu. Drzwi zatrzasnęły się za nim. Podskoczył. Chryste... Ma dziś napięte nerwy. „Uspokój się, Ransom”. Rozejrzał się. Hol był ogromny. Podłoga wyłożona kamiennymi płytami. Z przodu wielkie kręcone schody. Na ścianach wyłożonych boazerią wisiały portrety bladolicych dostojników w średniowiecznych strojach. Przewrócił oczami. Im szybciej przebuduje się to stare gówno na nowoczesny apartamentowiec, tym lepiej. Przyda się trochę gipsu!

– Pan Ransom?

Obrócił się szybko.

Stała za nim Olive, sekretarka Bragshawa. Stłumił dreszcz odrazy. Wiedźma, równie stara jak jej pryncypał, chuda jak szczapa, przygarbiona, przeżarta osteoporozą. Podpierała się laską i nosiła małe okulary w kształcie półksiężyca. Wąsiki i potargane siwe włosy przypominały Danowi królową zamienioną w wiedźmę w *Królewnie Śnieżce*. Brakowało tylko zatrutego jabłka.

Wziął się w garść.

– Miło mi panią znowu widzieć.

Spoglądała na niego przez chwilę, jakby wiedziała, że Dan kłamie, po czym odwróciła się do niego plecami.

– Proszę za mną.

Spodziewał się, że skręcą w prawo. Tak prowadzono go poprzednim razem do gabinetu Bragshawa. Siedział wtedy na skrzypiącym skórzanym fotelu, a starzec zajmował miejsce za szerokim dębowym biurkiem. Ze ścian spoglądały kolejne archaiczne postacie, które wydawały się wszechobecne.

– Wyjaśnij mi, chłopcze, dlaczego miałbym ci pozwolić sprzedać swój dom – rzekł Bragshaw, spoglądając uważnie na gościa.

Dan zastanawiał się nad różnymi kłamstwami, lecz w końcu odpowiedział po prostu:

– A czemu nie?

Ze spierzchniętych ust Bragshawa dobiegł ochryply śmiech.

– Rzeczywiście, czemu nie?

W dalszym ciągu spoglądał na Dana jak na interesującego owada uwięzionego w szklanym kloszu.

– Wiesz, ilu typków podobnych do ciebie usiłowało mnie przekonać do sprzedaży tego dworu?! Inwestorzy, deweloperzy, bogaci starcy, którzy poślubili piękne młode kurwy. Czym się od nich różnisz?

Dan pochylił głowę.

– Cóż, mój kupiec jest gotów zapłacić znacznie więcej niż poprzedni oferenci, a jego plany...

Bragshaw skinął sękatą dłonią. Miał znudzony wyraz twarzy.

– Nie interesuje mnie twój kupiec. Opowiedz o sobie.

Dan umilkł. „O sobie”. Nie był do tego przyzwyczajony. Problem polegał na tym, o którym ze swoich wcieleń powinien opowiedzieć. Miał ich wiele. Pewny siebie pośrednik, subtelny młody kochanek, współczujący przyjaciel, na którego ramieniu można się wyplakać. Och, i jego ulubiona rola: wrażliwy młody mężczyzna dzielący się najgłębiej skrywanymi sekretami.

Ta sztuczka zawsze się udawała. Cóż, prawie zawsze. Tylko raz poniósł fiasko. Z Holly. Była trochę za stara jak na jego gust, ale niewątpliwie gorąca. Ostentacyjnie gardziła Danem, co sprawiało, że wydawała się jeszcze bardziej atrakcyjna. Miał nadzieję, że jeśli zacznie się jej zwierzać, pozwoli ściągnąć swoje czarne koronkowe majtki. Ale tylko się uśmiechnęła i powiedziała: „Twój czas jeszcze nadejdzie, Dan”. To wszystko. Potraktowała go jak impotent, oziębła suka! I pomyśleć, że chciał jej sprawić przyjemność. Pocieszał się, że niewątpliwie jest lesbijką.

– Panie Ransom? – odezwał się Bragshaw.

Dan odchrząknął.

– No cóż, sir, prawdę powiedziawszy... zrobiłbym absolutnie wszystko, żeby zawrzeć tę umowę. Mogłbym kłamać, oszukiwać, wystawiać ludzi do wiatru, nawet brać łapówki. Chcę być najlepszy w swoim fachu. Jeśli ktoś chce zdobyć koronę, musi czasem rozbić kilka głów.

Bragshaw roześmiał się serdecznie. Dan myślał przez chwilę, że z ust starca zacznie się wydobywać kurz. Mimo woli zaczął się modlić, by ten sukinsyn nie dostał zawału i nie zmarł na jego oczach przed podpisaniem umowy.



Na szczęście Bragshaw doszedł do siebie. Wyprostował się i spojrzał mu w prosto oczy.

– Podobasz mi się, chłopcze – rzekł. Ton jego głosu sugerował coś przeciwnego. – Możesz sfinalizować tę transakcję. Porozmawiaj ze swoimi kontrahentami i powiedz, że akceptuję ofertę.

Danowi mocno zabiło serce.

– Naprawdę? Dziękuję, sir. To wspaniała wiadomość. Zostawię panu niezbędne dokumenty.

Otworzył teczkę. Bragshaw w dalszym ciągu uważnie go obserwował.

– Naprawdę zrobiłbyś wszystko, żeby sfinalizować tę transakcję?

Dan szeroko się uśmiechnął i wyjął plik papierów.

– Poderżnąłbym gardło własnej babce, sir.

– Masz babkę?

Dan mrugnął.

– Nie, bo już dawno poderżnąłem jej gardło, sir.

– A siostrę?

Dan przestał się uśmiechać. Zamrugnął.

„Masz pietra, Danny Boy? Weź się w garść”.

– Nie. – Odchrząknął. – Nie mam siostry.

– A Alice?

„Alice”. Powieka znowu zatrzepotała. Jako dziecko miał straszliwe tiki. Pogorszyły się po...

Bragshaw się uśmiechnął.

– Zastanów się nad tym, synu.

Skinął dłonią, na znak, że go odprawia. Dan wstał z głębokiego skórzanego fotela i ruszył ciemnym korytarzem. Czuł się wytrącony z równowagi, osłupiały.

Nic z tego nie rozumiał. Siostra. Przecież nie ma żadnej siostry. Pokręcił głową. Kim właściwie jest Alice, do cholery?!

Olive prowadziła go korytarzem. Drzwi po obu stronach. Jeszcze więcej starych malowideł. Ciemność. Prawdziwa ciemność. W końcu dotarli do kolejnych masywnych drewnianych drzwi. Stara wiedźma uniosła rękę i oba skrzydła się otworzyły. Dan pomyślał, że przydałoby mu się trochę takich czujników w nowym apartamencie. Miał na oku ładny, wielki penthouse na jednym z ekskluzywnych strzeżonych osiedli. Naprawdę robiłyby wrażenie na kobietach. Młodziutkich, słodkich...

– Tędy, panie Ransom.

– Okey, dokey.

Olive stanęła z boku i przepuściła Ransoma. Następny gabinet, jeszcze większy od poprzedniego. Zakurzony, słabo oświetlony, z podniszczonymi książkami na ścianach. Biurko stojące w środku wykonano z granitu albo kwarcu; po obu stronach znajdowały się kamienne kolumny z płonącymi pochodniami.

„Cholerni bogacze – pomyślał Dan. – Więcej pieprzonych pieniędzy niż rozumu i wyczucia stylu”.

To nie wszystko. Pokój wydawał się dziwnie znajomy. Kamienne okładziny, książki, pochodnie. Pokręcił głową. Znowu zatrzepotała mu powieka.

– Proszę usiąść, panie Ransom.

Podskoczył. Olive zniknęła. Za biurkiem siedział Bragshaw, rozparty w fotelu. Musiał tam być, gdy Dan wszedł do pomieszczenia. Może krył się w ciemności? Kurwa... Stawało się to z każdą minutą coraz dziwniejsze.

„Pomyśl o pieniądzach. Penthouse. Dziewczyny. Mnóstwo dziewczyn”. Wyobraził sobie, jak je wprowadza do apartamentu, a one wytrzeszczają oczy ze zdumienia. „Wszystko będzie moje. O tak”.

Uśmiechnął się.

– Imponująca komnata, panie Bragshaw.

– Ach, to tylko przedsionek – rzucił lekceważąco gospodarz.

– Przedsionek?

– Tak. Przedsionek przed świątynią.

Dan popatrzył na Bragshawa.

– W dworze znajduje się również świątynia? Powinniśmy to uwzględnić w umowie. Mógłbym wytargować dodatkowe sto tysięcy.

Bragshaw się uśmiechnął.

– Podły z pana typ, naprawdę, Ransom?

Dan zamrugał. Czy staruch próbuje go obrazić? Trudno powiedzieć. Najlepiej zignorować tę uwagę. Włożył rękę do teczki i wyjął umowę. Położył ją na biurku.

– Możemy przejść do interesów?

– Najpierw się napijmy, panie Ransom.

– Nie piję w czasie pracy.

Prawdę mówiąc, Dan w ogóle nie pił. Nie lubił być na rauszu; alkohol przywoływał niechciane wspomnienia. Czuł coś w rodzaju kaca moralnego.

Jednak Bragshaw wstał i podszedł do biblioteczki.

– Nalegam, panie Ransom. Wypijmy, by przypieczętować umowę.

Dan odchrząknął. Przypieczętowanie umowy.

– Oczywiście. Czemu nie?

Bragshaw znowu się zaśmiał.

– Czemu nie, Danny Boy?

Dan poczuł, że coś mu się przypomina. Coś otrzepane z kurzu, dawno pograżone w głębinach niepamięci.

– Jak mnie pan nazwał?

– Danny Boy, jak w piosence. – Bragshaw zerknął na niego nad kościstym ramieniem. – Nikt tak wcześniej pana nie nazywał, panie Ransom?

„Masz pietra, Danny Boy? Ciekawe, czy znowu stchórzysz”.

– Nie. – Przełknął ślinę. – Chyba nie, sir.

– Rozumiem.

Bragshaw nacisnął jedną z książek i część biblioteczki się obróciła. Ukazał się niewielki barek z pękatą kryształową karafką wypełnioną ciemnoczerwonym płynem oraz dwie szklaneczki ze szlifowanego szkła. Odkorkował karafkę i nalał dwie duże porcje. Przyniósł je i postawił jedną szklaneczkę przed Danem. Uniósł drugą.

– Za finalizację! – Wypił trunek jednym haustem i postawił szklaneczkę na stole.

Dan wziął szklaneczkę... i znieruchomiał. Trunek miał dziwny zapach. Słodki, odrobinę stęchły. Nie była to whisky ani nie było to wino. Nie wiedział, co to takiego. Może koniak?

Bragshaw uważnie go obserwował.

– Coś się stało, panie Ransom?

– Och, nie.

„Umowa. Penthouse. Dziewczyny”.

– Za finalizację!

Dan uniósł szklaneczkę i wypił łyk. Skrzywił się. Poczul mdłości. W końcu się przemógł. Poszedł za przykładem Bradshawa i jednym haustem opróżnił szkło.

„Umowa zawarta”.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, by odstawić szklaneczkę. Wysunęła mu się z palców. Pochłonęła go ciemność.

Nie powinni przychodzić tak późno. Październik, zbliżało się Halloween, a rodzice kazali im wrócić do domu przed zmrokiem. Ale bawili się w lesie i stracili poczucie czasu, jak to dzieci.

Dan nigdy nie poszedłby samotnie do lasu Bragshaw. Był własnością prywatną. Nie powinni się tam bawić, choć robiło to wiele dzieci. Ale w towarzystwie Alice niczego się nie bał.

Miała dwanaście lat, była dwa lata starsza od niego. Ciemnowłosa, smukła jak elfica, piękna i odważna. Dan miał niezdrową, bladą cerę, był chudy i słaby. Alice przewodziła eskapadom. On ją naśladował. Poszedłby za siostrą nawet do piekła. Była jedyną osobą, którą naprawdę kochał.

Tego popołudnia wspinali się na drzewa, budowali szałas, puszczały kaczki na brudnym stawie, wymyślali zabawy... a później Alice wypowiedziała słowa, którym nigdy nie potrafił się oprzeć:

– Ciekawe, czy znowu stchórzysz.

Pokręcił głową.

– Nie.

– Daj spokój. Nikogo tam nie ma.

Popatrzył na stary dwór. „Królestwo potworów. Amityville. Zamek Drakuli. Dom rodziny Addamsów”.

– A jeśli ktoś nas złapie?

– Nikt nas nie złapie, już ci mówiłam. Po prostu wejdziemy, pstrykniemy kilka zdjęć i wrócimy do domu.

Zawahał się.

– Masz pietra, Danny Boy?

To go przekonało. Nikt nie nazywał go tchórzem. Nienawidził przydomka Danny Boy.

– Okej – mruknął. – Ale obiecaj, że szybko wrócimy do domu. Zapada zmrok.

– W porządku.

Alice niczego nie obiecała.

Wyszli z gęstych krzaków i przeszli pod ogrodzeniem z drutu. Z przodu widać było wypielęgnowany trawnik dochodzący do dworu. Nie paliły się w nim światła. Może Alice ma rację i dom jest pusty, chyba że mieszkańcy po prostu lubią ciemność? Dotarła do połowy trawnika. Stała i uniosła komórkę. Dan niepewnie zbliżył się do niej na palcach.

– Możesz się pośpieszyć?

Cmoknęła.

– Nie bądź takim cieniem.

Pstryknęła kilka fotografii i ruszyła wzdłuż bocznej ściany dworu. Nie chciał za nią iść, ale nie miał ochoty zostać w tym miejscu. Okna były ciemne, lecz wyraźnie czuł na sobie ciężar wrogich spojrzeń. Z ociąganiem podążył za siostrą.

Do ogromnych drewnianych drzwi frontowych z ciężką żelazną kołatką w środku prowadziły kamienne schody. Po obu stronach stały postumenty z posągami demonicznych, skrzydlatych potworów. Alice zrobiła im kilka zdjęć, a później objęła jedną z rzeźb i pstryknęła sobie selfie.

– Są niesamowite... – rzekła z zachwytem.

Rzeczywiście, były niesamowite. Kiedy siostra pochyliła się w stronę jednego z potworów, mimo woli wyobraził sobie, że bestia ożywa, otwiera ohydną paszczę i bez mrugnięcia okiem odgryza jej głowę. Odepchnął tę myśl.

– Możemy już iść? – spytał zły, że jego głos brzmi tak żałośnie. – Zapada zmrok.

– Jeszcze chwilę.

Alice wbiegła po schodach i zatrzymała się tuż przed drzwiami frontowymi. Zerknęła przez ramię. Jej oczy lśniły w ciemności.

– Wejść do środka?

– Nie – odpowiedział zdecydowanie. W jego piersi wzbierała panika. – Nie!

– Za późno.

Dotknęła ciężkiej kołatki. Kiedy to zrobiła, zdarzyło się coś dziwnego. Drzwi nagle się otworzyły. Popatrzyła na nie, na Dana, znowu na drzwi, znowu na Dana. Uśmiechnęła się.

– Nie... – powiedział, lecz już zniknęła.

Stał u stóp schodów i patrzył za nią. Znowu miał tiki i wściekle trzepotała mu powieka. Demony spoglądały na niego. „Masz pietra, Danny Boy?”

Może Alice wyjdzie? Lada chwila, zaraz, wkrótce. Ale drzwi dalej były puste i ciemne. Szydziły z niego.

Powinien uciec. Iść do domu i sprowadzić pomoc. Jednak tego nie zrobił. Nie chciał dostać lania od ojca. A poza tym otwarte drzwi miały w sobie coś kuszącego. Drżały mu kolana i czuł ściskanie w żołądku, lecz wspiął się powoli po schodach. Zaczerpnął głęboko tchu, jakby zamierzał skoczyć w przepaść, i wszedł za siostrą do dworu.

– Alice?

Hol był ogromny, pogrążony w półmroku. Z przodu znajdowały się wielkie ciemne schody. Po obu stronach, ze ścian pokrytych boazerią, spoglądały blade postacie w archaicznych strojach. Jakby zamierzały wyskoczyć z ram obrazów i go zaatakować. Zrobił krok do tyłu.

– Alice? – syknął. – Gdzie jesteś?

Żadnej odpowiedzi. Ale miał wrażenie, że coś słyszy. Głosy, ciche mamrotanie. Dochodzące z korytarza po lewej stronie. Skręcił w niego, zawołał siostrę. Po chwili zobaczył uchylone drzwi, za którymi paliło się światło. Dotarł do nich i przystanął. Znowu przyszło mu do głowy pytanie: „Masz pietra?”. W końcu ujął klamkę i otworzył drzwi.

Pomieszczenie przypominające gabinet. Ściany pokryte zakurzonymi, starymi księgami. Uwagę Dana zwróciło coś innego. Były to dźwięki – coś w rodzaju intonowanej pieśni – a także migotliwe światło w rogu pomieszczenia, gdzie

odsunięto część biblioteczki. Podszedł, ostrożnie zajrzał przez szczelinę i wstrzymał oddech.

Ogromna świątynia z kopułą. Kojarzyła się ze starożytną Grecją. Wysokie kamienne kolumny wspierające okrągłe sklepienie. Na ścianach wisiały płonące pochodnie. Z przodu, na tronie z pożółkłych czaszek siedziała zgarbiona postać w ciemnoczerwonych szatach. „Bragshaw”. Klęczały przed nim rzędy ubranych na czarno wiernych, którzy intonowali jedno słowo:

„Finalizacja! Finalizacja! Finalizacja!”.

W środku sali wisiał wielki wiklinowy kosz podobny do klatki. Kołysał się nad szalejącymi płomieniami. A w klatce...

– Alice!

Otworzył oczy. Rozejrzał się dziko. Czy ktoś go odurzył?! A może to tylko sen?

„Alice. Świątynia. Klatka”.

– Witam, panie Ransom.

Nagle wszystko zrozumiał. Spojrzał do góry. Ręce miał uniesione i skrępowane łańcuchem. Popatrzył w dół. Był nagi. Płomienie lizały wiklinową klatkę pod jego stopami.

– Co się dzieje, kurwa?! – Szarpnął łańcuchy. – Wypuście mnie z tej pieprzonej klatki!

Bragshaw spoglądał na niego z rozbawieniem z tronu z czaszek.

– Ależ, panie Ransom, przecież sam pan tu przyszedł. Aby dokonać finalizacji.

Dan znowu usłyszał wiernych, którzy powtarzali:

„Finalizacja! Finalizacja! Finalizacja!”.

To prawda, rzeczywistość. Po skroniach i pod pachami spływał mu pot. Czuł go nawet w rowku na tyłku. Ogień parzył mu pięty. Wspiął się na palce.

– Proszę posłuchać. Rzeczywiście powiedziałem, że zrobiłbym wszystko, by sfinalizować tę transakcję, ale nie sądzi pan, że to przesada? – Próbował się roześmiać, lecz zabrzmiało to jak łkanie.

Bragshaw zachichotał.

– To dziwne, że ciągle pan uważa, że chodzi tylko o nieruchomość, panie Ransom.

– Więc o co chodzi? Proszę powiedzieć.

– Finalizacja to przeniesienie własności, ale nie dworu. Duszy ludzkiej.

– Duszy?

Bragshaw rozłożył ręce.

– Niech pan spojrzy na świat. Szaleje epidemia. Choroby, rozpad społeczeństwa, wojny, śmierć. Od czego wszystko się zaczęło, jak pan sądzi?

Dan zamrugał.

– Od nietoperzy?

Kolejny śmiech.

– Ja to zapoczątkowałem. Przed laty, gdy złożyłem w ofierze pańską siostrę. A teraz pomoże mi pan to zakończyć. Koniec świata, jaki znamy.

Dan poczuł, że klatka się kołysze. Zbliżała się do płomieni.

– Proszę zaczekać! – krzyknął. – Wiedzą, że tu jestem. Moja agencja, Holly. Zauważą moje zniknięcie.

Bragshaw się uśmiechnął.

– Naprawdę?

Skinął dłonią w stronę jednej z zawodzących postaci. Wstała i podeszła. Po chwili zrzuciła kaptur. Ukazały się długie ciemne włosy, blada skóra, pełne wargi. Dan poczuł trwogę.

Holly się uśmiechnęła.

– Cześć, Ransom!

Popatrzył na nią.

– Serio, Hol? Wdepnąłeś w to gówno?

– I to głęboko.

Spróbował innego podejścia.

– Posłuchaj, wiem, że czasem się sprzeczailiśmy, ale dalej cię lubię. Pomóż mi się stąd wydostać, proszę.

– Tak jak ty pomogłeś siostrze?

– Słucham?

– Alice. Twojej siostrze. Uciekłeś. Zostawiłeś ją, żeby umarła. Nigdy nikomu nie powiedziałeś.

– Skąd...

– Wiem wszystko. To było moje zadanie, Dan. Znaleźć kogoś takiego jak ty.

Odwrócił się z powrotem w stronę Bragshawa.

– O to wam chodzi? O zemstę? Odkupienie? Chcecie, żebym się przyznał, błagał o litość? Postąpiłem źle, wiem o tym. Tak źle, że dosłownie wymazałem to z pamięci. Przykro mi. To wszystko.

Bragshaw westchnął.

– Przywiązuje pan zbyt wielką wagę do własnych odczuć, Ransom. Nie chodzi o pana. Nawet nie o pańską siostrę, chociaż to szczęśliwy zbieg okoliczności. Zostanie pan po prostu złożony w ofierze.

Klatka znowu się zakołysała i przesunęła w dół. Płomienie lizwały wiklinę. Dan podskakiwał na palcach. „Myśl, Ransom, myśl!” Musi istnieć jakiś sposób

ratunku. Musi!

Nagle przyszło mu coś do głowy.

– Czy ofiary nie muszą być czyste?

– Naturalnie – odparł Bradshaw. – Właśnie dlatego świetnie się pan nadaje.

Jest pan prawiczkciem.

Dan popatrzył na starca. Wybuchnął śmiechem.

– Och, człowieku! Popełniście koszmarny błąd.

– Słucham?

– Daliście się nabrać.

Bragshaw się skrzywił.

– Jest pan niezwykle pewny siebie, jak na człowieka, który ma za chwilę zostać spalony żywcem, panie Ransom.

Dan się uśmiechnął.

– Nie spalicie mnie żywcem. Przynajmniej jeśli zależy wam na finalizacji.

– Nie rozumiem.

– Nie jestem prawiczkciem.

– Sprytne posunięcie, Ransom – odezwała się Holly. – Ale sam mi to powiedziałaś. Przyznałaś się. Twoja bezczelność i arogancja to tylko pozór. Boisz się intymnego kontaktu. Przeraza cię, że mógłbyś nie sprawdzić się w łóżku. Właśnie dlatego nigdy w życiu nie uprawiałaś seksu.

Dan się zaśmiał.

– Szczerze mówiąc, Hol, nie spodziewałem się, że tak cholernie łatwo się na to nabierzesz.

Spochmurniała.

– Co masz na myśli, do licha?!

– Był to tylko fortel, żeby cię zaciągnąć do łóżka. To moja normalna metoda. Udawałem, że się zwierzam po pijanemu, że jestem prawiczkciem, wrażliwym, zawstydzonym. Sztuczka, żeby się z tobą przespać.

Holly obrzuciła go wściekłym wzrokiem.

– Kłamiesz, Ransom.

Pokręcił głową.

– Nie. Wtedy kłamałem, a ty w to uwierzyłaś. – Puścił do niej oko. – Żałuję, że nie wskoczyłaś mi do łóżka.

Holly zerknęła na Bragshawa. Na jej twarzy malowała się panika.

– Kłamie, by ocalić własną skórę.

Bragshaw popatrzył na Dana. Zmarszczył brwi.

– Nie jesteś prawiczkciem?

– Nie, kurwa.

– Niech pan go nie słucha, mistrzu... – zaczęła Holly.



Bragshaw uciszył ją, unosząc kościstą dłoń.

– Olive! – zawołał.

Z tłumu wyszła kolejna postać w czarnych szatach. Zrzuciła kaptur. Stara wiedźma.

Bragshaw kiwnął głową w jej stronę.

– Powiedz mi, kto kłamie.

Olive popatrzyła na Dana. Wyciągnęła kościsty palec. Dan poczuł przebiegający go dreszcz.

– On mówi prawdę, panie.

Bragshaw ciężko westchnął.

– Popełniłaś błąd, Holly.

– Przepraszam – szepnęła. – To się nigdy więcej nie powtórzy, mistrzu.

– Nie, nie powtórzy.

Bragshaw obrócił się z zaskakującą szybkością i chwycił ją za szyję. Twarz Holly poczerwieniała, a później stała się fioletowa. Chwyciła ręce Bragshawa, ale Dan miał rację: kościste dłonie starca były przerażająco mocne. Holly wybałuszyła oczy, nabrzmiały jej żyły na szyi. Trzasnęły pękające kości i ścięgna, a potem – trach! – śliczna główka Holly oddzieliła się od ciała.

Potoczyła się po schodach i zatrzymała na dole; migdałowe oczy patrzyły ze zdziwieniem na Dana. Bezgłowe ciało stało przez chwilę, z szyi tryskała krew, po czym runęło bezwładnie na posadzkę. Dan zauważył pod czarną szatą ładne koronkowe majtki.

Bragshaw z żalem pokiwał głową.

– Dzieci zawsze sprawiają zawód rodzicom.

Dan przełknął ślinę.

– Okej... Cóż, przyznaję, że sytuacja jest trochę niezręczna. Ale ponieważ przestałem być dla was użyteczny, chyba możecie po prostu pozwolić mi odejść, prawda?

– Obawiam się, że nie – odparł Bragshaw. – Niestety, musimy cię spalić, nie ma innego wyjścia. Trzeba się pozbyć świadka, rozumiesz.

– NIE!!! – wrzasnął Dan. – ZACZEKAJCIE! Jestem użyteczny. To znaczy mógłbym być użyteczny.

– W jaki sposób?

Dan z największym trudem zdobył się na czarujący uśmiech.

– Potrzebujecie dziewczic? Świeżych, nieskażonych?

– Tak?

– Mogę je wam dostarczać. Ile chcecie. Mam talent do takich spraw. – Skinął głową w stronę starej wiedźmy. – Spytajcie swoją przyjaciółkę.

Bragshaw zerknął na Olive. Kiwnęła głową.

– To wstrętna kreatura, ale mówi prawdę.

– Jesteście naprawdę okrutni... – mruknął Dan.

Bragshaw przyglądał mu się, co trwało chyba całą wieczność. Dan czuł się jak kurczak piekący się na rożnie. Miał wrażenie, że jego ciało powoli zaczyna skwierczeć. Nigdy nie przypuszczał, że gałki oczne mogą się pocić.

– Jeśli cię wypuszczę, Ransom, skąd mam mieć pewność, że mogę ci zaufać?

Dan usiłował stanąć w rozkroku na krawędziach klatki, ale ogień zaczął lizać mu jądra.

– Okej... Jezu... no cóż, chciałbym przeżyć koniec świata w ciekawy sposób. Jeśli załatwię wam świeży towar, moglibyście mnie umieścić w ładnym apartamencie, z mnóstwem forsy, z dala od zarazy? To by mi pasowało. Wszyscy dostaniemy to, czego chcemy, nie?

– To da się zaaranżować.

– Więc umowa stoi?

Kolejna długa pauza. W końcu Bragshaw kiwnął głową.

– Stoi.

– Doskonale. – Dan zadzwonił łańcuchami. – Może pan mnie uwolnić? – Skrzywił się komicznie. – Proszę się nie obrazić, ale ten koszt jest jak horroru z lat siedemdziesiątych.

W biurze było bardzo cicho. Przed fotelem Holly w dalszym ciągu stał w połowie pełny kubek z kawą. „To miło ze strony Bragshawa, że pozwolił mi zachować na pamiątkę jej głowę” – pomyślał Dan. Będzie dobrze wyglądała nad łóżkiem.

Podszedł do biurka. Z rogu odezwał się głos. Jack.

– Jak poszło z Bragshawem?

– Eee... zmienił zdanie.

– Ach... cóż. Nie lubię tego mówić, ale cię uprzedzałem.

Dan spojrzał na kolegę.

– Naprawdę uprzedzałeś?

Jack obnażył żółte zęby.

– Nie przejmuj się tym za bardzo, synu. Jesteś młody. Będą inne transakcje.

„Tak naprawdę nie będzie żadnych innych transakcji” – pomyślał Dan. Ponieważ przed chwilą zawarł najbardziej ostateczną transakcję na świecie. Ogromną, niezwykłą, wręcz apokaliptyczną.

Usiadł i oparł stopy na biurku.

– Masz rację, Jack. – Uśmiechnął się szeroko. – Koniec świata jeszcze nie nadszedł.

# Lew na bramie

## WSTĘP

**K**iedy poznałam swojego przyszłego męża Neila, mieszkaliśmy w dość obskurnej dzielnicy Nottingham. Mieliśmy mało pieniędzy i nie było nas stać na nic lepszego. Większość ludzi zмага się z podobnymi problemami. W owym czasie regularnie jeździłam do miasta Woodborough Road.

Nawet jeśli nie znacie Nottingham, prawdopodobnie widzieliście podobne ulice. Wzdłuż Woodborough Road stoją stare wille, niegdyś piękne, a także zniszczone szeregowce i kamienice komunalne. Ulica z pozoru jest ładna, nawet przyjemna. Ale jeśli bliżej się jej przyjrzeć, wszędzie widać zaniedbanie: zarośnięte ogrody, psy szczekające za zamkniętymi bramami, zapach trawki wydobywający się z otwartych okien. W nocy w takich miejscach odruchowo przyśpieszamy kroku, ściskając w palcach klucze.

Pewnego ranka jechałam Woodborough Road i coś zwróciło moją uwagę – duże graffiti na tylnej bramie jednego z domów. Graffiti nie były w tej okolicy czymś niezwykłym, ale to wyglądało dziwnie: wielki łeb lwa z ogromną barwną grzywą i czarnymi ślepiami.

Był niezwykły, miał w sobie coś psychodelicznego. Był cholernie niesamowity.

Trudno się dziwić, że zapadł mi w pamięć. Mimo woli patrzyłam na niego, przejeżdżając codziennie rano Woodborough Road. Później zdarzyło się coś dziwnego. Z dnia na dzień lew się zmienił. Grzywa była niebieska, a nie wielobarwna; kąt pochylenia łba wydawał się nieco inny. W oczach pojawiły się białe plamki; lśniło w nich złowrogie światło.

Doszłam do wniosku, że artysta wrócił i poprawił swoje dzieło. Ale nie mogłam się pozbyć uczucia, że lew sam się zmienił.

Nowy lew pozostawał na miejscu przez kilka tygodni, aż pewnego dnia zauważyłam, że zniknął. Było mi trochę smutno. Graffiti na pewno każały usunąć władze miejskie... jednak w głębi duszy wyobrażałam sobie wielkiego lwa schodzącego z bramy z ogłuszającym rykiem i zaczynającego krążyć po mieście.

Nigdy więcej nie widziałam tego lwa. Ale jeśli będziecie kiedyś w Nottingham i znajdziecie się na Woodborough Road, rozejrzyjcie się uważnie. Nigdy nic nie wiadomo. Mógł wrócić. Ale nie zbliżajcie się. Czuję, że gryzie.

Pierwszy zauważył go Stiff. Był spostrzegawczy. Często zwracał uwagę na coś, co później pakowało nas w kłopoty.

Nie prowokował ich celowo, same go szukały. Nie potrafił odwrócić wzroku i udawać, że niczego nie widzi. Zachowywał się jak sroka widząca błyskotkę albo ćma lecąca w stronę płomienia.

Dostrzegł lwa, gdy szliśmy do szkoły. Byliśmy spóźnieni. Jak zwykle z mojej winy. Nawet jeśli rano udało mi się wstać odpowiednio wcześniej, zawsze pojawiały się jakieś kłopoty i nie wychodziłem o właściwej porze.

Chyba dlatego ciągle mam wyrzuty sumienia. Gdybyśmy nie byli spóźnieni, nie poszlibyśmy na skróty i Stiff niczego by nie zauważył.

Może nikt by nie zginął?

Ale jak mawiała moja babcia (nim kompletnie ześwirowała): „Łatwo poczuć smród gówna, gdy się w nie wdepnie. Sekret polega na tym, żeby nie wdepnąć”.

Oczywiście w tym czasie prawie zawsze leżała we własnym gównie. Domyślam się, że wszyscy tak kończą.

– Szybciej! – wysapał Carl. – Zostało jedenaście minut i trzydzieści pięć sekund! Jeszcze półtora kilometra!

Zarzucił na ramię tornister i pobiegł truchtem do przodu.

Carl był tęgim chłopcem. Nie grubym, ale masywnym. Wyglądał jak zabijaka zawsze gotowy do mordobicia, ale były to tylko pozory. Odznaczał się inteligencją. Czasami bywał wręcz genialny. Rozwiązywał w pamięci zadania matematyczne jak nowy Stephen Hawking. Ale w normalnych sprawach niekiedy okazywał się za miękki. „Jak purée z groszku” – mawiał Fallow.

Fallow był całkowitym przeciwieństwem Carla. Zdziorny, drażliwy, łatwo wpadał w złość. Należało z nim uważać. Jedno niewłaściwe słowo mogło się skończyć podbitym okiem. Ale dbał o swoich kumpli. Uważał, że Stiff i Carl, i ja nimi jesteśmy. Cholera wie dlaczego.

– Kurwa! – zaklął. – Nie zdążymy.

Miał rację. Nie mieliśmy szans dotrzeć do szkoły na czas. Farthing, nasz wychowawca w dziesiątej klasie, będzie zachwycony. Czeka tylko na okazję, by nas zawiesić. Większość nauczycieli ze szkoły była w porządku, ale Farthing był prawdziwym dupkiem. Lubił się znęcać nad uczniami, podniecało go to. A ja i tak nie miałem łatwego życia.

– Zawsze możemy iść na skróty Corporation Oaks – powiedział Stiff i zachichotał.

Stiff stale chichotał, czasem bez powodu. Psuło to atmosferę; ludzie źle się czuli w jego towarzystwie. Wielu go nie lubiło.

Zatrzymaliśmy się i popatrzyliśmy na Stiffa. Corporation Oaks? Dziwna ulica w środku miasta. Na omszałej, łuszczącej się tablicy widniała nazwa „Corporation Oaks”, ale wszyscy mówili po prostu „Oaks”. Wzdłuż ulicy rosły stare wysokie dęby i zaułek był pogrążony w wiecznym cieniu.

Corporation Oaks była nietypowa, ponieważ nie mogły nią jeździć samochody, choć miała odpowiednią szerokość. Po obu stronach ustawiono betonowe słupki. Na końcu, gdzie początek miała następna ulica, zaczynało się porośnięte krzakami pustkowie. Kręciło się tam wielu narkomanów, bezdomnych i alkoholików. A także prostytutek. Kilka lat wcześniej w okolicy zamordowano jakiegoś chłopaka. Właśnie dlatego nie powinniśmy tamtędy chodzić.

Corporation Oaks musiała być kiedyś elegancka. Domy były duże, dwupiętrowe, wzniesione w epoce wiktoriańskiej, z wysokimi bramami, wielkimi ogrodami i oknami. Później podzielono je na mieszkania, lecz wydawało się, że w tej chwili stoją puste. Wiele okien zabito sklejką. W zimie nigdzie nie paliło się światło, nawet po zmroku.

– Nie powinniśmy tam chodzić – powiedziałem.

Fallow prychnął.

– Masz cykora? To krótsza droga.

– O jakieś siedem minut i dwadzieścia pięć sekund – wtrącił Carl. Nie pomogło nam to podjąć decyzji.

Popatrzyłem na Stiffa, który milczał. Jakby rozumiał, że wymyślił coś głupiego. Zawahałem się.

– Sam nie wiem...

– Świetnie – rzucił Fallow. – Róbcie, co chcecie. To wina twojej zwariowanej matki, że jesteśmy spóźnieni.

Chciałem jej bronić, ale miał rację. Była zwariowana.

Fallow się odwrócił, przeskoczył jeden ze słupków i pomaszerował środkiem jezdni. Stiff podążył za nim. Carl spojrział na mnie, wzruszył ramionami i poszedł za nimi. Stałem, patrząc na pokręcone konary dębów i ciemne domy. „Witaj w dżungli!” – szepnął głos w mojej głowie. Westchnąłem, poprawiłem plecak i zawołałem:

– Zaczekajcie!

Był koniec października. Z drzew opadły liście. Na tle szarych chmur widać było kontury nagich gałęzi. Niebo wydawało się zasłonięte drewnianą kratą.

Po obu stronach wznosiły się ciche budynki. Na naszej ulicy zawsze panował hałas i ruch. Na sznurkach trzepotała bielizna, trzaskały drzwi wejściowe, dzieci wbiegały do domów i z nich wybiegały. W dali zwykle rozlegało się wycie syren. W tym miejscu ledwo było słycać daleki warkot samochodów. Wszystko było przytłumione. Martwe.

Nasza czwórka też zachowywała się cicho. Szliśmy szybko, lecz nie biegliliśmy. Jakbyśmy czuli, że nie należy biegać albo krzyczeć w tym miejscu, trochę jak na korytarzach szkoły.

Usiłowałem kroczyć nonszalancko jak Fallow, sugerować, że nic mnie nie obchodzi. Ale nawet jemu przychodziło to z trudem. Ulica miała w sobie coś szczególnego, ciężkiego. Odnosiliśmy wrażenie, że idziemy w gęstej mgle. Podobnie można się czuć tuż przed burzą.

Z ulgą spostrzegłem, że jesteśmy niemal na końcu Corporation Oaks. Musieliśmy minąć jeszcze tylko dwa domy.

– Wow, popatrzcie! – powiedział nagle Stiff.

Żałuję, że to zrobiłem. Szkoda, że nie powiedzieliśmy: „Daj spokój, Stiff, nie mamy czasu”. Potem moglibyśmy opuścić głowy i przejść obok.

Ale tego nie zrobiliśmy. Obróciliśmy się jak lemingi i spojrzeliśmy.

Zobaczyliśmy lwa.

Oczywiście nie prawdziwego lwa. To byłoby idiotyczne. Byliśmy w Nottingham, nie w Afryce. Miasto nie miało nawet ogrodu zoologicznego. Przynajmniej porządnego ogrodu zoologicznego. Znajdował się w nim tylko park, w którym można karmić kozy i owce (zjadały papierowe torebki albo gryzły ubrania, jeśli ktoś za bardzo się do nich zbliżył).

Ten lew był namalowany sprejem na drewnianej bramie jednego z budynków. Tylko pysk, ogromny, pokrywający całą bramę, która musiała mieć około dwóch metrów wysokości. Kolory były dziwne. Fiolet i zieleń z pomarańczowymi i czerwonymi akcentami. Grzywa, ciężka, splątana masa granatu i brązu, przypominała dredy. Oczy były czarne, pozbawione tęczówek. Ślepe, a jednak wydawało się, że uważnie nas obserwują.

– Co to za gówno? – mruknął Fallow.

– Lew – odpowiedziałem.

– Wiem, że lew, ale cholernie dziwny.

Rzucił torbę na ziemię i zrobił kilka kroków w stronę zwierzęcia.

Popatrzyłem na dom. Widziałem tylko górną część znajdującą się nad murem. Zmurszały ciemny kamień w połowie pokryty martwym bluszczem, popękane drewniane framugi okien przypominające gnijące czarne kości. Popatrzyłem z powrotem na lwa.

W mojej głowie rozległ się głos. Niski, ochrypły, groźny.

*GRYZĘ, SYNKU.*

Wzdrygnąłem się i obejrzałem, spodziewając się zobaczyć zwierzę stojące za moimi plecami. Znowu rozległo się warknięcie:

*GRYZĘ. BĘDZIESZ PYSZNY. LUBIĘ ŚWIEŻUTKIE MIĘSO.*

Fallow wyciągnął rękę, by dotknąć drewnianej bramy. Chciałem powiedzieć, żeby dał spokój i odszedł. Ale kiedy otworzyłem usta, podskoczył i chwycił się za rękę.

– O kurwa!

– Co się dzieje? Co się stało?

Uniósł palec.

– Cholerna drzazga!

Widziałem odłamek czarnego drewna wbity w palec wskazujący. Wyrwał go. Na czubku palca pojawiła się kropelka świeżej czerwonej krwi.

– O kurwa! – Popatrzył wściekle na lwa i splunął na ziemię. – Pieprzę to! – Chwycił torbę z pociemniałą twarzą. – Chodź. Wynosimy się stąd.

Odszedł. Podążyliśmy za nim. Kiedy Fallow wpadał w zły humor, należało trzymać się od niego z daleka. Stiff miał minę, jakby to on ponosił winę za skaleczenie (w pewnym sensie była to prawda). Carl mamrotał coś pod nosem.

– Co powiedziałeś? – spytałem.

– Wymiary – mruknął.

– Słucham?

– Dwa metry na półtora metra. Nic się nie zgadza. Wymiary są niewłaściwe.

Carl miał czasami dziwne pomysły. Ten jego zwariowany, matematyczny umysł...

– Nie kapuję, stary – odrzekłem.

Wydawało się, że mnie nie słyszy. Wściekle gryzmolił równania na tablicy w swojej głowie.

Umilkłem, szedłem obok niego. Kiedy dotarliśmy do słupków, zerknąłem do tyłu. Z bramy patrzył na nas lew. Ale coś wydawało się inne. Wokół nosa, pyska. Nagle zrozumiałem. Była to tylko gra świateł, ale wydawało się... że szczyrzy zęby.

Nie chciałem zawracać. Gdybyście mnie spytali, odpowiedziałbym, że w ogóle nie miałem na to ochoty. I tak nie brakowało mi kłopotów. Przede wszystkim z matką. Kochałem ją. Nigdy nie znałem ojca; nie miałem nikogo oprócz niej. Ale była chora. Nie fizycznie, nie na raka, nic z tych rzeczy. Na głowę. Bolała ją nie ciało, tylko umysł. Domyślam się, że lekarz nazwałby to depresją. Nie



chciała iść do lekarza. Potwornie się bałem, że jeśli to zrobi, zabierze mnie opieka społeczna i umieści w domu dziecka. Wszyscy wiedzą, co się tam dzieje.

Matka i ja próbowaliśmy radzić sobie sami. W niektóre dni wszystko było w porządku. Wstawała, ubierała się. Czasem potrafiła nawet pracować. Ale w ostatnim roku dobre dni się skończyły. Straciła posadę sprzątaczką w biurze rady miejskiej i zaczęła sprzątać u przypadkowych osób, przyjaciół przyjaciół.

Najczęściej leżała w łóżku z zaciągniętymi zasłonami. W takie dni wstawałem, by iść do szkoły, a wieczorem jadłem kolację, oglądałem telewizor albo grałem na PlayStation przed pójściem spać. Nie było to takie złe.

Gorsze były dni, gdy wpadała w maniackalny nastrój. Stawała się wesoła, kapryśna. Nigdy nie wiedziałem, co robi. Raz obudziłem się, gdy usiłowała włożyć mi na głowę plastikową torbę. Innym razem stała w kuchni i cięła sobie ramię brzytwą. Uśmiechała się. Nigdy nie przestawała się uśmiechać. Po chwili wyglądało to bardziej jak szczyrzenie zębów.

Tego ranka, w niedzielę, zszedłem na dół i zobaczyłem, że sprząta mieszkanie. Zdjęła zasłony z okien, wrzuciła do zlewu sztućce. Usunęła poduszki z kanap.

– Co robisz, mamó?

– Czyszczę ślady łap, kochanie.

– Słucham?

– Było tu brudne zwierzę.

– Brudne zwierzę?

– Zakrada się, kiedy śpimy, i brudzi, kochanie. Ma pchły i roznosi choroby, więc muszę oczyścić dom.

– Jasne.

– Nie dotykałeś go, prawda, Jay? Brałeś dziś rano prysznic? Umyłeś uszy? Może wejść przez uszy i dostać się do mózgu.

Zbliżyła się do mnie w żółtych gumowych rękawiczkach, trzymając czyściki marki Brillo i butelkę płynu odkażającego.

Cofnąłem się.

– Może przyniosę jakieś środki czyszczące, mamó? Co ty na to? Nie powinno ich zabraknąć.

Zatrzymała się i uśmiechnęła szerzej.

– Świetny pomysł. Dobry z ciebie chłopak.

Odwróciła się w stronę płamy na dywanie, którą szorowała. Był na nim teraz ogromny wytarty krąg, biały, kontrastujący z szarym włosiem.

Wymknąłem się z domu, wsiałem na rower i odjechałem. Nie byłem pewien, dokąd zmierzam. Kiedy matka wpadała w taki nastrój, musiałem po prostu wyjść. Może iść do sklepu albo do parku?

Z pewnością nie zamierzałem jechać Woodborough Road do Corporation Oaks, ale w jakiś sposób tam się znalazłem. Zatrzymałem się w dolnej części ulicy i spojrzałem do góry. Jak zawsze była cicha i ciemna. Nie wydawała się szczególnie dziwna. Był niedzielny ranek i większość ludzi ciągle spała. Mimo to nie mogłem powstrzymać dreszczu. Potarłem ramiona. Głupota. Wyszedłem z domu w pośpiechu, zapomniałem włożyć dres i dostałem gęsiej skórki.

Następna rzecz, jaką zrobiłem, była jeszcze głupsza. Zsiadłem z roweru i poprowadziłem go w górę ulicy. Szedłem w równym tempie, ani szybko, ani powoli, ignorując mrowienie na szyi. Miałem wrażenie, że obserwują mnie niewidzialne oczy. Zatrzymałem się po przebyciu dwóch trzecich drogi.

Lew ciągle tam był. Nikt go nie zmył ani nie zamalował – a rada miejska normalnie natychmiast usuwa graffiti.

Coś jednak się zmieniło. Kolory. Wydawały się żywsze. Nie były już ciemne, przygaszone. W wielkich ciemnych oczach paliły się błyski światła. A pysk... To na pewno nie złudzenie. Wyraźnie się zmienił. Wcześniej był zamknięty, a teraz widziałem ostre żółte kły.

Racjonalna część mego umysłu podpowiadała, że autor graffiti musiał wrócić na Corporation Oaks i poprawić swoje dzieło. Mimo to nie mogłem się uwolnić od obrazu wielkiego zwierzęcia, które porusza się, przeciąga i ziewa.

Zmusiłem się, by podejść bliżej. Nagle usłyszałem w głowie głuchy pomruk:  
*CO MY TU MAMY? BRUDNE, PLUGAWE ZWIERZĄTKO...*

„Nie, nie jestem zwierzątkiem – pomyślałem. – A ty jesteś po prostu malowidłem. Głupim graffiti”. Aby to udowodnić, wyciągnąłem rękę, dotknąłem bramy i...

Zadrzałem. Gwałtownie cofnąłem dłoń.

To nie było drewno. Poczujęm...

Sierść.

– Muszę z tobą pogadać.

Carl nie uniósł wzroku. Siedział w piżamie na łóżku, grając na Xboxie w jakąś archaiczną grę. Lubił stare gry komputerowe. Tłumaczył mi, że ma to coś wspólnego z kodowaniem. Nie bardzo wiem, o co chodziło. Obok stał talerz z nietkniętymi tostami; inne talerze z resztkami jedzenia znajdowały się na biurku i podłodze. Wszędzie wały się brudne sztucce. Bardzo brudne. Omal nie nadepnąłem na duży nóż do krojenia chleba leżący na dywanie.

– Co tu robisz? – spytał i uciał głowę spikselizowanemu zombie.

– Wpuściła mnie twoja matka. Powiedziała, że siedzisz od rana w swoim pokoju. Kazała ci powtórzyć, że masz zjeść śniadanie.

Wpatrywał się w ekran.

– Jestem zajęty.

– Mam sprawę związaną z lwem.

– Jakim lwem?

– Lwem na bramie.

Zauważyłem, że jego ręka leciutko zadrżała. Ekran wypełniły rozbryzgi krwi.

– O kurwa! – Z niesmakiem puścił kontroler. – Popatrz, co przez ciebie zrobiłem!

Chwyciłem kontroler, wyrwałem kabel z Xboxa i rzuciłem w kąt pokoju.

– Skup się, kurwa mać!

Carl popatrzył na mnie. Na jego dużej okrągłej twarzy malowały się zdziwienie i ból. Poczulem wyrzuty sumienia. Czasami zbyt łatwo wpadam w złość. Nie powinienem tak się zachowywać. Usiadłem na łóżku.

– Przepraszam. Bardzo przepraszam. To ważne. Co miałeś na myśli, gdy mówiłeś o wymiarach lwa?

– Nic ważnego.

– Nie. To coś znaczyło.

Westchnął.

– Wymiary graffiti to dwieście dziesięć na sto pięćdziesiąt centymetrów.

– I co z tego?

– Brama ma wymiary sto osiemdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów.

– Nie rozumiem.

– Lew jest większy od bramy.

– Jaja sobie robisz?

– Nie.

– Przecież to niemożliwe.

– Wiem.

– Musiałeś się pomylić. Przecież nie mierzyłeś graffiti.

– Nie musiałem.

Spojrzałem na niego. Pokręcił głową.

– Dobra, pokażę ci. – Wstał z łóżka i podszedł do biurka. – Potrzebuję taśmy mierniczej.

Zaczął grzebać w szufladach. Odczekałem chwilę, a później schyliłem się, podniosłem nóż do krojenia chleba i wsunąłem do kieszeni.

Pojechaliśmy rowerami do Woodborough Road. Rower Carla był znacznie nowszy i lepszy od mojego. W tym czasie jego starzy mieli więcej forsy niż my wszyscy razem wzięci. Mieszkali na nowym osiedlu, w dużym domu z ładnym

ogrodem. Ojciec i matka mieli własne samochody, a Carl najnowszą komórkę i buty sportowe. Strasznie mu zazdrościłem, choć wstydziłem się do tego przyznać.

Dotarliśmy do Corporation Oaks, zsiadliśmy z rowerów, zaprowadziliśmy je do bramy i położyliśmy na ziemi. Popatrzyliśmy na lwa. W czasie mojej krótkiej nieobecności znowu się zmienił. Kolory wydawały się jeszcze żywsze. W głębokich ciemnych ślepiach płonęło światło. W pysku pojawiło się więcej zębów.

*GRYZĘ. PAMIĘTAJ, GRYZĘ...*

– Wygląda inaczej – rzekł Carl.

– Wiem.

Zmarszczył brwi i wyjął taśmę.

– Musisz wziąć drugi koniec.

Nie chciałem zbliżyć się do lwa, ale spełniłem polecenie. Najpierw zmierzaliśmy wysokość bramy. Byłem najwyższy, więc dosięgnąłem szczytu. Carl uklęknął na dole, na brudnej jezdni.

– Sto osiemdziesiąt centymetrów – powiedział i pokazał taśmę.

Zmierzaliśmy szerokość grzywy. Znajdowała się nad naszymi głowami.

– Dziewięćdziesiąt centymetrów. Teraz wysokość lwa.

Wziąłem koniec taśmy i wyciągnąłem rękę w stronę czubka głowy dziwnego zwierzęcia. Stałem na palcach. Nie mogłem dosięgnąć. Nie miało to żadnego sensu. Wiedziałem, co widzę, ale rozumiałem również, że nigdy nie dosięgnę szczytu gęstej, splątanej grzywy.

– Widzisz, to przeszło dwa metry. Nie dosięgniesz.

Opuściłem taśmę z bijącym sercem. Miał rację.

– Zmierzmy go poziomo – powiedziałem, trochę zirytowany jego spokojem.

Rozciągnęliśmy taśmę, by zmierzyć szerokość pyska.

– Sto pięćdziesiąt centymetrów.

– O kurwa!

Carl uśmiechnął się triumfalnie. Udowodnił to, co zamierzał udowodnić.

*SMACZNY CHŁOPTAŚ...*

– Mówiłem ci. Wymiary się nie...

Usłyszałem w głowie ryk. Carl przestał się uśmiechać.

– MOJA RĘKA!!! – krzyknął rozpaczliwie.

Nie miał już ręki. Znajdowała się w pysku lwa. Tkwiła w nim do łokcia i znikwała coraz głębiej. Widziałem krew tryskającą z rany i słyszałem straszny, ohydny chrzęst miażdżonych kości.

– Pomóż mi, Jay!

Chwyciłem go za drugą rękę, usiłowałem go odciągnąć. Nie udało mi się. Przypomniałem sobie o nożu. Wyjąłem go z kieszeni i dźgnąłem lwa. Celowałem w oczy, pysk. Ale było to trudne, bo Carl miotał się i wrzeszczał, a ja nie wiedziałem, czy uderzam jego, czy lwa. Ogarnęły mnie strach i wściekłość.

W końcu krzyki i ryki ucichły. Odsunąłem się. Carl powoli osunął się po bramie. Miał zmiądzoną rękę. Jego pierś i twarz pokrywała krew. Stracił jedno oko.

Patrzyłem na niego i na krew zbierającą się na ziemi, kapiącą z paszczy lwa.

*UCIEKAJ, MYSZKO, UCIEKAJ...!*

Uciekłem, ciągle słysząc potworne ryki.

Carla znaleziono następnego dnia. To, co z niego zostało. Gazety pisały, że ktoś ugodził go nożem i okaleczył. Nie wspomniały, że został pogryziony i w połowie pożarty. Przypuszczam, że próbowano to zatuszować.

Oczywiście policjanci przyszli ze mną porozmawiać. Byłem ostatnią osobą, która widziała go żywego. Powiedziałem, że tego dnia go odwiedziłem, jeździliśmy na rowerach, a później się rozstaliśmy. Nie wiedziałem, co robił na Corporation Oaks. Matka zabroniła mi tam chodzić.

Pytali, czy kłóciłem się kiedyś z Carlem i czy mam nóż. Odrzekłem, że byłem jego przyjacielem i że nie mam noża.

Wrzuciłem go do kanału, był ciągle lepki od krwi.

Kilka tygodni później, kiedy przechodziliśmy obok końca Corporation Oaks, na ulicy panował ruch. Wyglądała prawie normalnie. Ale ludzie krążący obok, rozmawiający i patrzący na ziemię, mieli na sobie mundury policyjne i białe fartuchy.

– Założę się, że to robota jakiegoś pieprzonego pedofila – mruknął Fallow, gdy staliśmy i patrzyliśmy.

– Albo świra z psychiatryka. – Stiff zachichotał.

Milczałem. Nie mogłem powiedzieć Stiffowi ani Fallowowi, co się naprawdę wydarzyło. Uznaliby mnie za wariata.

Później się zastanawiałem, że może jednak powinienem o tym wspomnieć. Ostrzec ich. Kiedy po dwóch tygodniach zaproponowali, by wrócić na Corporation Oaks i zobaczyć, jak teraz wygląda ulica, powinienem ich odwieść od tego zamiaru. Na ich twarzach malowała się niezdrowa ciekawość. Ale milczałem.

*NIECH PATRZĄ* – rozległ się cichy głos w mojej głowie. – *BRUDNE, PLUGAWE ZWIERZĄTKA...*

Taśma policyjna furkotała na wietrze jak resztki serpentyny na balu. Parę osób zostawiło kwiaty przed bramą. Większość bukietów uschła i zwiędła.

Kiedy szliśmy Corporation Oaks, czułem ten sam nieprzyjemny ciężar. Jakby drzewa i domy nagle mnie osaczyły. Słyszałem w głowie inny dźwięk. Nie ryk. Powolny, cichy szelest. Kilka razy obejrzałem się za siebie, szukając wzrokiem czegoś pełzającego na poboczu.

Domy wydawały się puste i martwe. Przypuszczałem, że policjanci odwiedzili wszystkich okolicznych mieszkańców, rozmawiali z nimi. Jednak z jakiegoś powodu miałem wrażenie, że nie weszli do tego budynku. Ani policjanci, ani nikt inny.

Zbliżyliśmy się do bramy. Stiff wskazał dużą rdzawą plamę na ziemi.

– Krew, kurwa!

Fallow gwizdnął.

– Masa krwi, kurwa! Cóż, był tłusciochem.

Stiff zarechotał. Pomyślałem, że czasami cholernie działa mi na nerwy, podobnie jak Fallow. Po śmierci Carla nie powiedzieli o nim ani jednego miłego słowa. Robili głupie żarty, to wszystko.

Przeszedłem obok nich. Spojrzałem na bramę.

Lew zniknął. Nie była to niespodzianka. Spodziewałem się, że ktoś zmyje graffiti.

Zaskakujące było to, co zastąpiło lwa. Skręcona masa zieleni, żółci, pomarańczów i brązów. Ogromne sploty, jak obraz z wnętrza gigantycznego kalejdoskopu. Hipnotyczny widok. Gdzieś w środku napiętych mięśni płonęła para czerwonych ślepi.

– Co to takiego, kurwa?! – spytał Fallow za moimi plecami.

– Wąż – odpowiedziałem.

*CICHO, NIE BÓJ SIĘ, MAŁPKO...*

Zaciskałem i rozluźniałem palce.

– Boa dusiciel.

# Gloria

## WSTĘP

O d niektórych postaci nie można się uwolnić.  
Niekoniecznie głównych bohaterów.

Wcale nie muszą być pozytywni. Często są to postacie drugoplanowe. Takie, które czekają, by opowiedzieć swoją historię.

Jak Gloria.

Po raz pierwszy pojawiła się w mojej drugiej powieści, *Zniknięcie Annie Thorne*. Krucha blondynka zajmująca się windykacją długów wydawała się przerażająca i komiczna; pisanie o niej było świetną zabawą. Gloria nie była pozbawiona wad, ale czułam do niej słabość i zawsze wiedziałam, że może któregoś dnia wrócić (żadnych spojlerów!).

Kiedy z trudem usiłowałam pisać książkę, która nigdy nie powstała, postanowiłam wrócić do Glorii. I nie pomyliłam się – miała znacznie więcej do zaoferowania. Poświęcone jej sceny były jedynymi, których pisanie sprawiało mi przyjemność w trudnym okresie życia. Gdy w końcu zrezygnowałam z publikacji nieudanej powieści, mój wydawca Max zasugerował, że mogłabym ją wykorzystać w jednym z opowiadań.

Był to świetny pomysł. Wycięłam te fragmenty i zaczęłam tworzyć nową historię Glorii. Kiedy rozwijałam fabułę, przyszło mi do głowy, że mogłaby spotkać bohaterkę z jednej z moich wcześniejszych książek. Uznałam to za zabawne. Zawsze powtarzałam, że moje powieści należą do tego samego wszechświata, i spotkanie tych dwóch osób – twardej najemniczki i dziewczyny obdarzonej dziwnym talentem – stwarzało ciekawe możliwości. Mam nadzieję, że się z tym zgodzicie.

Cieszę się, że Gloria wróciła.

Czuję, że nie spotykam jej po raz ostatni.

**F**arbowwała włosy w łazience hotelowej, gdy nagle zadzwonił telefon. Zaklęła, szybko obwiązała głowę ręcznikiem i wzięła komórkę z kłapy sedesu. Zerknęła na esemesa.

„Nowa robota?”

Żadnych uprzejmych frazesów. Prosto z mostu.

„Jaka? – wystukała w odpowiedzi.

„Sprzątanie”.

Wciągnęła powietrze przez zaciśnięte wargi. Nie przepadała za sprzątaniem, był to najmniej ciekawy rodzaj pracy. Kiedyś odpowiedziałyby, że to poniżej jej godności. Ale czasy się zmieniły. Podobnie jak szefowie. Gloria wypadła z rynku i ciągle starała się odbudować swoją pozycję. Była jedną z nielicznych osób, które potrafiły znieść taką robotę i dysponowały odpowiednimi umiejętnościami. A poza tym dobrze płacili.

„Gdzie?” – napisała.

Pojawił się adres w północnym Londynie. W odległości czterech godzin jazdy.

„Okej”.

Skończyła farbować włosy, po czym wyrzuciła poplamione ręczniki do czarnego plastikowego worka na śmieci. Włożyła go do większej z dwóch walizek, zawierającej kilka ubrań na zmianę oraz T-shirt i dżinsy. W mniejszej walizce znajdowało się kilka starannie złożonych kombinezonów. Gloria wybrała odpowiedni na ten dzień: zielony, z inicjałami SNZ wyhaftowanymi na piersi.

Po wysuszeniu włosów ufarbowanych na rudo i związaniu ich w schludny kok posprzątała pokój, a następnie wytarła odciski palców. Wyglądał lepiej niż w chwili, gdy się wprowadziła.

W drodze do wyjścia wrzuciła kartę pokoju do skrzynki w holu. Wczoraj wieczorem, kiedy przybyła do hotelu, recepcjonistka powitała dziwnie uśmiechniętą kobietę o siwych włosach. Tego popołudnia inny recepcjonista prawie nie zwrócił uwagi na wyprowadzającą się rudowłosą kobietę. Właśnie tak powinno być.

Mężczyzna siedzący za ladą krótko na nią zerknął i pożegnał ją zdawkowym: „Do widzenia pani!”.

– Dziękuję – zaszczębiotała Gloria i wyszła dwuskrzydłowymi drzwiami. Na zewnątrz natychmiast przestała się uśmiechać.

Zaparkowała furgonetkę w narożniku parkingu, z dala od kamer monitoringu i wścibskich oczu. Znajdowała się w niej reszta wyposażenia potrzebnego do



pracy: kilka magnetycznych tablic do przyczepiania z boku furgonetki – PROFESJONALNA OPIEKA NAD SENIORAMI, WESOŁE PRZEDSZKOLE DLA KAŻDEGO MALUCHA, FIRMA BUDOWLANA CARSTONS, WYPROWADZANIE PSÓW Z PASJĄ – a także przybory do czyszczenia, pudło z narzędziami, piła łańcuchowa, kombinezon ochronny i pistolet bezpiecznie ukryty pod podłogą. Umieściła walizki z tyłu furgonetki i przykleiła dzisiejsze logo: SPRZĄTANIE NA ZAWOŁANIE. Później wsiadła do szoferki.

Przed odjazdem przejrzała się w lusterku wstecznym. Musiała przyznać, że nie była już taką piękną jak dawniej, kiedy bez problemu zawracała mężczyznom w głowach. Teraz zwracała uwagę z innego powodu.

Uśmiech, niegdyś olśniewający, stał się krzywy wskutek uszkodzenia nerwu twarzowego. W czole znajdowało się wgłębienie przypominające bliznę po lobotomii. Straciła dwa palce lewej ręki i piękne jasne włosy, które lekarze ogolili, by załatać czaszkę. Z czasem odrosły, ale siwe.

Nie pamiętała upadku. Wykonywała zlecenie – windykację długu – co zaprowadziło ją do starej, opuszczonej kopalni. Poślizgnęła się. Wpadła do studni i leżała w niej kilka dni, przysypana kamieniami. Trudno uwierzyć, ale udało jej się wyjść i kierowca przejeżdżającego samochodu odnalazł ją na poboczu drogi. Zawiózł ją do szpitala, gdzie lekarze uznali za cud, że żyje. Jeśli rzeczywiście można nazwać to cudem. Często miała wrażenie, że wróciła z zaświatów, jednak nie do końca.

Rude włosy jej się podobały i czuła znajomy dreszcz podniecenia. Sprzątanie nie było jej ulubioną pracą, lecz zawsze dostarczało emocji.

Przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się krzywo.

Powrót na rynek zawsze jest przyjemny.

O zachodzie słońca dotarła do obscurnego mieszkania w suterenie. Klucz zostawiono w rynnie, przyklejony kitem szklarskim.

Otworzyła drzwi, przeszła do części mieszkalnej i rozejrzała się po pokoju. Podłogę pokrywały plastikowe płachty; ściany zachlapała krew. Na płachtach było jeszcze więcej krwi i innych płynów fizjologicznych. Popatrzyła na ofiarę – albo to, co z niej zostało.

„Brzydkie. Okropnie brzydkie”. Gloria widziała już wiele ohydnych obrazów, czasem w miejscach przestępstw, które popełniła. Ale to było coś innego. Ostrożnie obeszła zwłoki. Nie zastanawiała się, kto mógł zabić tę kobietę, czy cierpiała. Oczywiście, że cierpiała. Glorii nie podobało się to, co widzi, lecz nie za to jej płacono. Otrzymywała honorarium za sprzątanie. Niestety, oznaczało to, że wszystko stanie się jeszcze bardziej brzydkie.

Otworzyła walizkę i wyjęła piłę łańcuchową. Pocięcie zwłok na kawałki, zapakowanie w grube czarne worki i dokładne umycie pokoju zajęło jej pięć godzin.

W końcu, spocona i umorusana, rozejrzała się z zadowoleniem. Była to niewdzięczna robota, ale dobrze płatna. Zdjęła zakrwawiony kombinezon, schowała do worka i włożyła zapasowy. Później przeniosła czarne worki do furgonetki. Każdy uznałby ją za sprzątaczkę wynoszącą worki ze śmieciami. W końcu, po załadowaniu furgonetki i zamknięciu mieszkania, zatelefonowała. Przelano jej honorarium i odjechała.

Znała przedsiębiorcę budowlanego, który chętnie uczestniczył w pozbywaniu się kompromitujących materiałów – najczęściej zwłok, które powinny na zawsze zniknąć. Po godzinie worki zniknęły pod kilkoma warstwami betonu i trochę pieniędzy zmieniło właściciela. Gloria wymieniła z przedsiębiorcą parę uprzejmych uwag i odjechała.

To przerażające, jak łatwo sprawić, by ktoś zniknął.

Ziewnęła. Była obolała i głodna. Musiała coś zjeść i odpocząć. Wystarczy pierwsze lepsze centrum handlowe przy autostradzie. Lubiła takie miejsca. Były spokojne, anonimowe, pełne przypadkowych osób. Każdy z gości miał wrażenie, że nigdy wcześniej tam nie był. Po wypadku Gloria coraz silniej czuła, że tkwi gdzieś pośrodku, między tym, co dzieje się obecnie, a przeszłością.

Zatrzymała się przy motelu sieci Welcome Break, który odwiedzała w przeszłości. W ustronnym miejscu parkingu znowu zmieniła logo na furgonetce. Brzmiało ono teraz: PRACE BIUROWE. Niejasna nazwa, która mogła oznaczać wszystko, lecz w gruncie rzeczy nie miała żadnego znaczenia.

W tylnej części furgonetki przebrała się w elegancki żakiet, upięła włosy i założyła okulary zerówki. Wsiadła z samochodu i przeszła przez parking do fast foodu. Zamówiła burgera i kawę, po czym zjadła późną kolację przy stoliku w rogu.

Ludzie wchodzili i wychodzili – robotnicy w kamizelkach odblaskowych, młode małżeństwa, zmęczone rodziny z wrzeszczącymi dziećmi. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Nikt na nikogo nie patrzył. Pobieżne interakcje międzyludzkie równie szybkie jak jedzenie.

Gloria zamierzała dopić kawę i wyjść, gdy usłyszała głos:

„Czy to bolało?”

Odwróciła się. Głos wydawał się bliski, miał w sobie coś intymnego, jakby ktoś się pochylił i szepnął jej coś do ucha. Nikogo nie zauważyła, wszystkie okoliczne stoliki były puste.

Zmarszczyła brwi i sięgnęła po filiżankę.

„Czy to bolało? Kiedy spadłaś”.

Wzdrygnęła się. Filizanka zakołysała się w jej dłoni. Odstawiła ją z traskiem i się rozejrzała. Po jej przybyciu restauracja opustoszała. Robiło się późno. Pozostało niewielu gości: starsze małżeństwo, robotnik, młody mężczyzna w tanim garniturze wpatrzony w komórkę (przedstawiciel handlowy, jak się domyśliła), a kilka stolików dalej... dziewczynka.

Osiem, dziewięć lat. Drobna, z ciemnymi włosami związanymi w rozwichrzony kucyk. Miała chudą, ściągniętą twarz i ciemne kręgi pod oczami. Siedziała sama, choć stojący naprzeciwko kubek sugerował, że towarzyszy jej dorosła osoba, która mogła wyjść do toalety.

Dziewczynka wpatrywała się w Glorię nieruchomymi błękitnymi oczami. Nikt nigdy tak na nią nie patrzył. Nawet przed upadkiem. Poczowała coś dziwnego – a później zdała sobie sprawę, że to dreszcz. Co się dzieje, do licha?

Odsunęła filiżankę i wstała, zamierzając wyjść z restauracji. Później się zatrzymała. „Nikt nigdy tak na nią nie patrzył”. Nagle zapragnęła się dowiedzieć, dlaczego dziewczynka tak się zachowuje.

Podeszła do niej.

– Mama nigdy ci nie mówiła, że to niegrzecznie się gapić?

Dziewczynka się zaczerwieniła.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. – Gloria wysunęła krzesło i usiadła. – Zadałaś mi pytanie.

Dziewczynka zrobiła wielkie oczy.

– Słyszała mnie pani?

Gloria kiwnęła głową.

– Sprytna sztuczka.

– To nie sztuczka.

Popatrzyła z ciekawością na dziewczynkę. Widziała w życiu wiele zwariowanych rzeczy. Pomysł, że mała dziewczynka jest w stanie się posługiwać – jak to się nazywa? – telekinezą, nie był najbardziej szalony. Ale niewiele brakowało.

– Jak się nazywasz? Carrie?

Dziewczynka zadziornie uniosła podbródek. Glorii się to podobało.

– Alice – odpowiedziała.

– To twoje prawdziwe imię?

– A Gloria? To też prawdziwe imię?

Gloria popatrzyła na nią, a później się roześmiała.

– Podobasz mi się.

Spoglądały na siebie z szacunkiem, lecz ostrożnie.

– Często to robisz? – spytała Gloria. – Czytasz ludziom w myślach?

– Nie... Fra... Mamie by się to nie podobało.

Gloria zauważyła zająknięcie.

– Pytałaś, czy to bolało. O co ci chodziło?

– Spadłaś – odparła Alice.

– Miałam wypadek samochodowy. O mało nie zginęłam. Ale wyzdrowiałam.

Alice przekrzywiła głowę.

– Naprawdę?

„Cholera”. Znowu pojawił się lodowaty szept.

– Twierdzisz, że jesteś duchem?

– Nie wiem, kim pani jest.

Gloria krótko się zaśmiała. Zabrzmiało to jak szczeknięcie.

– Chyba lepiej, żebyś tego nie wiedziała.

Gloria prawie przez całe życie stopniowo traciła ludzkie cechy. Krzywdziła, okaleczała i zabijała, nie czując żadnych albo prawie żadnych wyrzutów sumienia. Nie dlatego, że brakowało jej emocji. Odczuwała je. Ale litość i moralność to zachowania w dużej mierze wyuczone. Jeśli nikt nie nauczy cię ich w młodości, nigdy nie zakwitną. Zwiędną, poczernieją i odpadną jak martwe kończyny.

Gloria nie mogła winić rodziców, o nie. Nie byli okrutni, ale nie byli też dobrzy. Może powinna winić nauczyciela wuefu, który macał ją od ósmego roku życia. Albo chłopaka, który ją zgwałcił, grożąc jej nożem. Może lubiła krzywdzić ludzi, bo pomagało jej to złagodzić własny ból? A może dostrzegała w każdym torturowanym mężczyźnie coś z własnych dręczycieli?

Nie wiedziała, czy po trzydziestu pięciu latach jej dzieciństwo ma jakiegokolwiek znaczenie. Była tym, kim była.

Glorią.

Choć to nawet nie imię, tylko tytuł starej piosenki.

– Jak się tego nauczyłaś? – spytała dziewczynkę.

Alice wzruszyła ramionami.

– Po prostu to robię. Czasami... odwiedzam plażę.

– Plażę? Brzmi fajnie.

– Nie sądzę... To chyba... coś pośrodku.

Gloria zmarszczyła brwi.

– Pośrodku czego?

– Tego, co jest tu i tam.

– Jesteś bardzo pomocna. Gdzie jest „tam”?

– Za ciemną wodą.

Gloria przełknęła ślinę. Ciemna woda. Czarna. Zimna.

– Nie pamiętasz? – spytała Alice.

– Nie – odpowiedziała ostrzejszym tonem. Było to kłamstwo.

Gloria pamiętała, jak spadała. Pamiętała zimno. Okropne zimno. Sączyło się do wnętrza jej ciała i wnikało w kości. Wolałaby umrzeć. Jednak śmierć nie przyszła, a nawet ją odtrąciła. Kiedy leżała jak trup, pojawiło się coś innego.

Czytała kiedyś o owadzie, który składa jaja w innym, większym owadzie. Kiedy się rozwijają, powoli larwy pożerają gospodarza od środka, aż pozostaje tylko pusta skorupa.

Zastanawiała się, czy to właśnie jej się przytrafiło. Czy coś opanowało jej umysł. Czowała obcą istotę, słyszała jej szept. Wróciła z zaświatów, ale coś ze sobą przyniosła. A teraz to coś pożerało kawałek po kawałku jej duszę. Czy ma to jakieś znaczenie? Czy powinna żałować osobowości, która od początku była przegniła? Kiedy coś pożre zgniliznę, co właściwie pozostanie?

Alice postawiła plecak na kolanach. Fioletowy, ozdobiony kwiatkami. W środku coś grzechotało. Szuru-buru...

Wyjęła gładki, lśniący kamyczek. Podała go Glorii.

– Proszę.

Gloria obróciła w dłoni jasnobrązowy kamyczek.

– Po co mi to?

– Pomoże pani pamiętać.

– Może nie chcę?

– Może przeżyła pani z jakiegoś powodu... – Na twarzy dziewczynki pojawiło się napięcie.

– Przepraszam, ale kim pani właściwie jest, do licha?! – rozległ się czyjś ostry głos.

Gloria się odwróciła. Obok stolika stała żylasta kobieta z ciemnymi włosami i kanciastą twarzą. Patrzyła na nią złym wzrokiem. „Nie jest wściekła” – pomyślała Gloria. Raczej przestraszona. Zauważyła, że kobieta się zachnęła, gdy zobaczyła jej twarz. Wstała.

– Właśnie odchodzę.

– Dlaczego rozmawiała pani z moją córką? – warknęła kobieta.

Gloria uniosła kamyczek.

– Pani córka to upuściła.

Kobieta się wzdrygnęła.

– Proszę go zabrać. Zabrać i zostawić nas w spokoju!

– Świetnie. – Gloria wsunęła kamyczek do kieszeni i uśmiechnęła się do kobiety. Później zerknęła na Alice. – Unikaj niebezpiecznych sytuacji i nie rozmawiaj z obcymi.

Gloria wróciła do furgonetki i wsiadła do szoferki. Spotkanie z dziewczynką wytrąciło ją z równowagi. Musiała się odprężyć. Wyszukała na iPodzie trochę muzyki – kompilację utworów z lat osiemdziesiątych – i sprawdziła w Google, gdzie są najbliższe motele. Dowiedziała się, że jeden znajduje się w pobliżu następnego centrum handlowego przy autostradzie, w odległości trzydziestu pięciu minut jazdy.

Włączyła bieg i miała zamiar wyjechać z parkingu, gdy zobaczyła Alice i jej matkę wychodzące z budynku. Prawie natychmiast podążył za nimi przedstawiciel handlowy, który siedział w pobliżu. Gloria zmarszczyła brwi. Czy to przypadek? Patrzyła, jak matka i córka podchodzą do odrapanego srebrzystego samochodu i wsiadają do niego. Przedstawiciel handlowy ruszył w prawo i wsiadł do równie odrapanego zielonego volkswagena.

Glorię coś tknęło. Odezwała się intuicja. Przedstawiciele handlowi zwykle jeżdżą nowymi samochodami. Okej, może pomyliła się co do jego zawodu. Mimo to coś wydawało się dziwne. Matka się cofnęła, a później pojechała w stronę wyjazdu z parkingu. Przedstawiciel ruszył za nią po kilku sekundach. Gloria patrzyła na nich, przygryzając usta. Nie powinna się tym zajmować. Nie знаła dziewczynki ani jej matki.

Przygryzła wargę mocniej, aż poczuła smak krwi. Był przyjemny. Oblizła usta. Później szybko otarła je rękawem, ruszyła z piskiem opon i podążyła za zielonym volkswagenem.

Po piętnastu kilometrach była całkowicie pewna, że przedstawiciel handlowy śledzi Alice i jej matkę. Był niezły, trzymał się z tyłu, zawsze daleko, lecz nie tak bardzo, by stracić je z oczu. Tak się koncentrował na tym, by ich nie zgubić, że nie zauważył, że on również jest śledzony.

Alice i jej matka minęły motel, gdzie zamierzała się zatrzymać Gloria, i pojechały dalej, aż po lewej ukazał się neon innego motelu i centrum handlowego. Matka dziewczynki włączyła kierunkowskaz i skręciła w drogę dojazdową. To samo zrobił zielony volkswagen. Gloria ukryła się za niebieskim samochodem turystycznym, a później zjechała z autostrady za nimi.

Srebrzyste auto podążyło w stronę motelu, a zielony volkswagen w kierunku centrum handlowego i stacji paliw. Gloria zmarszczyła brwi. Czyżby się pomyliła? Przez wiele lat spodziewała się po ludziach wszystkiego najgorszego; może podejrzliwość zmieniła się w paranoję? Tak czy inaczej, po prostu spędzi tu noc, zapomni o dziewczynce i przedstawicielu handlowym.

Jednak intuicja rzadko ją zawodziła. Pojechała za zielonym volkswagenem na parking centrum handlowego i zatrzymała się w pewnej odległości. Znowu coś ją uderzyło. Przedstawiciel handlowy wybrał miejsce położone dość daleko od wejścia do centrum, choć parking był prawie pusty. Zatrzymał samochód

w narożniku, w cieniu dużego drzewa, i, co najważniejsze, dość blisko motelu. Gloria zacisnęła ręce na kierownicy. Sama też by tak postąpiła.

Wyłączyła silnik i czekała. Po kilku minutach przedstawiciel handlowy wysiadł z auta i podszedł do bagażnika. Sięgnęła do schowka na rękawiczki i wyjęła niewielką, silną lornetkę.

Popatrzyła na mężczyznę. Z bliska wydawał się młodszy, niż przypuszczała. Mógł mieć jakieś dwadzieścia pięć lat. Krótki zarost na policzkach pokrytych śladami młodzieńczego trądziku. „Dopiero zaczyna, choć to nie pierwsza ani druga robota” – pomyślała. Te jeszcze można zapomnieć, zostawić za sobą. Trzecia i czwarta sprawiają, że stają się zawodem. Życie na krawędzi, w cieniu, w mroku, na nieoświetlonych drogach. Życie, które zwykle kończy się nagle, krwawo.

Przedstawiciel handlowy zdjął marynarkę i włożył na koszulę ciemną bluzę dresową z kapturem. Później narzucił na ramiona niechlujną wiatrówkę. Przyczepił coś sobie do butonierki – plaketkę z nazwiskiem. Gloria powiększyła obraz. Nie mogła przeczytać nazwiska, lecz zauważyła logo taniego motelu, w którym zatrzymały się Alice i jej matka. Oczywiście. Mężczyzna znowu sięgnął do bagażnika i wsunął coś do kieszeni. Gloria wyregulowała ostrość. Pistolet. Chyba z tłumikiem. Cmoknęła z niezadowoleniem. Czasami nienawidziła mieć racji.

W końcu przedstawiciel handlowy wziął latarkę, zatrzasnął klapę bagażnika i ruszył przez parking. Obserwowała go przez moment. Kto zlecił zamordowanie młodej matki z córką? Normalnie nie zadawała takich pytań. Ludzie zabijają z wielu przyczyn. Czasem osobistych, czasem biznesowych. Nigdy tego nie kwestionowała ani nie zastanawiała się nad swoją rolą.

Zawsze była chłodna w stosunku do ludzi. Brakowało jej empatii i właśnie dlatego osiągała świetne rezultaty w swoim zawodzie. Po wypadku zmieniła się w kamień. Niekiedy nie czuła się jak człowiek. Ale dziś wieczorem, w czasie rozmowy z dziewczynką, ogarnęły ją dziwne emocje...

„Czy to bolało?”

Powinna to chrzanić. To nie jej sprawa. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Po chwili znowu wyłączyła silnik.

Przedstawiciel handlowy był młody. Alice również. Czasami trzeba dokonywać trudnych wyborów. Oczywiście najprościej byłoby odjechać. Ktoś umrze tej nocy. Ludzie umierają każdej nocy.

Jedyne pytanie brzmiało – kto?

To zależało od Glorii.

Tani motel miał tylko dwie kondygnacje. Drzwi do pokoiów otwierało się za pomocą kart magnetycznych. Na końcu budynku znajdowało się awaryjne wyjście przeciwpożarowe: druga droga pozwalająca dostać się do budynku. W małej recepcji siedziała znudzona młoda kobieta, gapiała się w smartfon i ziewała.

Gloria patrzyła, jak przedstawiciel handlowy wchodzi do motelu i ją wita. Dziewczyna odłożyła komórkę i się uśmiechnęła. Gloria widziała, że się kryguje, bezwstydnie flirtuje z mężczyzną. Po chwili wstała, poszła na zaplecze i wróciła w płaszczu, z torbą na ramieniu. Przedstawiciel handlowy posłał jej całusa i zajął miejsce za biurkiem. Rozwalił się na krześle, wyjął telefon i zachowywał się tak samo jak przedtem kobieta. Po kilku minutach koło motelu powoli przejechała czerwona toyota, zatrąbiła i odjechała. Mężczyzna pomachał ręką. Nagle jego zachowanie się zmieniło. Odłożył komórkę, usiadł prosto i przysunął krzesło do biurka. Pochylił się nad komputerem i zaczął stukać w klawiaturę. „Szuka pokoju, w którym zatrzymały się matka i córka” – pomyślała Gloria. Czy zna ich nazwiska? Może po prostu sprawdza, kto ostatnio się wprowadził?

Tak czy inaczej, nadszedł właściwy moment.

Schowała lornetkę do kieszeni, przeszła przez parking i pchnęła drzwi recepcji. Przedstawiciel handlowy uniósł wzrok, zaskoczony. Było późno i panował spokój. Najwyraźniej liczył, że zostanie sam.

Uśmiechnął się z przymusem.

– Dobry wieczór! W czym mogę pani...

Urwał, gdy stanęła w świetle. Doskonale wiedziała, że jasne światło recepcji jest bezlitosne, ukáže każdą bliznę i deformację w ich surowej brzydocie.

Uśmiechnęła się słodko.

– Lepiej zamknij dziób, nim złamię ci szczękę.

Wysunęła krzesło, usiadła naprzeciwko mężczyzny i skrzyżowała nogi. Przedstawiciel handlowy – na jego plakietce widniało nazwisko Gary Brown – odchrząknął.

– Przepraszam. Chciałaby pani wynająć pokój?

– Nie.

– Och...

– Chciałabym cię ocalić, Gary.

Zmarszczył brwi.

– Słucham?

– Ocaleń cię, jeśli mnie posłuchasz. I to bardzo uważnie. – Pochyliła się do przodu. – Nie rób tego, kochany.

Przełknął ślinę i rozejrzał się nerwowo.

– Czego mam nie robić?



– Nie zabijaj kobiety i dziewczyny.

Zrzedła mu mina.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

Gloria machnęła ręką.

– Nie wciskaj kitu. Wiem, dlaczego tu jesteś. Wiem, co planujesz. Właśnie o tym mówię. To wielki błąd, ogromny.

– Zwariowała pani.

– Bardzo możliwe. Byłam kiedyś taka jak ty. No cóż, lepiej ubrana, inteligentniejsza. Ale wiem, jak to się zaczyna. I wiem, jak się kończy dla większości ludzi z tej branży. Nieważne, ile ci płacą, nieważne, co na ciebie mają. Nie warto.

Chwila wahania. Zastanawiał się, czy dalej zaprzeczać. Później jego wzrok stwardniał.

– Nie może pani tego wiedzieć. Nie zna mnie pani.

– Znam, zaufaj mi. Właśnie dlatego chcę dać ci szansę. Wstań, wyjdź i uratuj większą część swojej duszy.

Szyderczy uśmiech.

– A może nie mam duszy? Może tym właśnie jestem, zabójcą?

– Naprawdę? – Uniosła brew. – Zabiłeś wcześniej kobietę? Dziecko? – Zauważyła, że porusza grdyką. – Nie. Myślę, że to do ciebie nie pasuje, Gary. Zupełnie nie pasuje. A jeśli to zrobisz, będzie cię to prześladować. Będziesz widział ich twarze. Każdej nocy. Pamiętał wyraz ich oczu w chwili, gdy odebrałeś im życie. Ale to jeszcze nie jest najgorsze. Najgorzej będzie, kiedy przestaniesz cokolwiek czuć. Staniesz się odrętwiały, martwy wewnątrz. Od czasu do czasu pojawi się tylko palenie w miejscu, gdzie dawniej miałeś serce. Jak ból fantomowy.

Patrzył na nią. Gloria czekała, aż dotrze do niego znaczenie jej słów. W końcu wstała.

– Wyjdę na chwilę, Gary. Dam ci trochę czasu do namysłu. Dwie minuty, dobrze? Zachowaj się inteligentnie. Obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy, jeśli podejmiesz właściwą decyzję.

Przeszła przez recepcję i opuściła motel. Nie oglądała się za siebie. Poszła szybko do samochodu, wsiadła do niego i czekała.

Dokładnie minutę i dwanaście sekund później zobaczyła Gary'ego idącego przez parking. Dotarł do samochodu. Otworzył drzwi i usiadł na miejscu kierowcy. Pochyliła się do przodu i przycisnęła mu do głowy lufę pistoletu.

Spojrzał na nią w lusterku wstecznym szeroko otwartymi oczami.

– Przecież... obiecała pani mnie nie zabijać.

Uśmiechnęła się z tylnego siedzenia.

– Nie, chłopcze. Obiecałam, że nie zrobię ci krzywdy.  
Nacisnęła spust.

Telefon zadzwonił przed świtem. Klienci często wybierali tę porę. Gloria jak zwykle nie spała. Niełatwo jej było zasnąć, a jeśli na chwilę zapadła w drzemkę, dręczyły ją koszmary.

Zostawiła zwłoki Gary’ego w bagażniku jego samochodu. Minie trochę czasu, nim ktoś go znajdzie. Powinien rozumieć, że nie mogła pozwolić mu żyć. Mógł wrócić, by zabić Alice i jej matkę. Musiała wywabić go z motelu, zlikwidować w odludnym miejscu.

Ziewnęła, sięgnęła po komórkę i przeczytała esemesa.

Kolejne sprzątanie dla tego samego klienta. Pomyślała o szczątkach ostatniej ofiary. Okropne.

„Znowu kobieta?” – wystukała.

Odpowiedź brzmiała: „Może dwie. Jakież problemy?”.

Problemy? Dobre pytanie.

Popatrzyła na telefon. Czy nadszedł moment, gdy powinna zdecydować, po której jest stronie? Dokonać rachunku sumienia? Ciemność albo światło. Czerwona albo niebieska tabletki. Niebo albo piekło.

Sięgnęła po kamyk leżący na stoliku przy łóżku. Poczwała jego gładkość, chłód, ciężar.

Może ludzie przeceniają wartość odkupienia?

Po chwili wysłała odpowiedź.

# Nie jestem Tedem

## WSTĘP

Czasem to po prostu zdanie.

Nie wiadomo, skąd się bierze pomysł.

Ale wydaje się, że to początek czegoś nowego.

„Nie jestem Tedem”.

Po prostu przyszło mi to do głowy.

Nie znam żadnego Teda.

Nie myślałam o Tedzie.

To zdanie po prostu pojawiło się w mojej głowie: „Nie jestem Tedem”.

Historia czekająca na opowiedzenie. Kim jest Ted? Dlaczego zaprzecza?

Gdzie jest prawdziwy Ted?

Chciałam się tego dowiedzieć. Chciałam poznać resztę historii – więc ją napisałam.

To opowiadanie jest krótkie i słodkie. Z tego powodu również wstęp jest krótki.

Jeśli przypadkiem znacie jakiegoś Teda, pozdrówcie go ode mnie!

— **N**ie jestem Tedem.  
— Oczywiście, że pan jest. — Strażnik stuknął pulchnym palcem w podkładkę do pisania. — Jest pan na liście. Proszę spojrzeć.

Spojrzałem. Nie wyglądało to na listę. Tylko jedno imię. Napisane drukowanymi literami. Podkreślone. TED 1509.

Obok zanotowano: „Dwunasta w południe”. Zerknąłem na zegar. Cztery po dwunastej. Czas już minął. I, oczywiście, nie byłem Tedem.

— Chyba się pan pomylił.

— O nie, sir.

— Na pewno.

— Wydział nie toleruje pomyłek.

Wydział? O co chodzi, do licha? Rozejrzałem się. Staliśmy w dużym foyer. Ogromnym. Szarym. Wszędzie czarny chrom. Nawet na posadzce. Duże monitory w ścianach. Na wszystkich wyświetlała się ta sama nazwa. Dwa słowa. „Wydział Wyniesień”.

Dziwne, że ich nie zasłonili.

Odchrząknąłem.

— Gdzie właściwie jestem?

— W Wydziale Wyniesień, sir.

— Widzę. Czym zajmuje się Wydział Wyniesień?

— Zostanie pan wyniesiony, sir.

— Dokąd?

— Na następny poziom.

— To znaczy?

— Poziom wyżej.

— Co mnie tam czeka?

— Nie wiem, sir. Nigdy nie zostałem wyniesiony.

Patrzyliśmy na siebie. Strażnik miał na sobie granatowy mundur ze złotym haftem na mankietach przypominającym niewielkie skrzydła. Jego twarz była nijaka, trudna do zapamiętania. Już po chwili z trudem bym go poznał.

— Okej – powiedziałem, nie dając za wygraną. — Jak się tu znalazłem?

— Przybył pan.

— Skąd?

— No cóż, skądkolwiek pan przybył.

— To znaczy?

— Nie wie pan, skąd pan przybył?

Słuszna uwaga. Próbowałem sobie przypomnieć. Byłem... w domu. Ujrzałem w wyobraźni niewyraźny obraz mieszkania. Leżałem na kanapie. Znajdował się tam kot. Pręgowany, o zielonych oczach. Ale wszystko wydawało się ciemne, niewyraźne. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, gdzie znajdowało się mieszkanie ani nawet, kim jestem. Mimo to doskonale wiedziałem, kim nie jestem.

– Proszę posłuchać. Dlaczego pan uważa, że jestem Tedem?

Strażnik dziwnie na mnie popatrzył.

– Cóż, to jest tu wyraźnie napisane.

Pochylił się i stuknął palcem w plastikową w plakietkę przypiętą do mojej piersi. Zerknąłem na nią. Do kieszeni marynarki przypięto przepustkę z laminatu. Ja jej tam nie umieściłem. Byłem prawie pewien, że w ogóle nie mam garnituru. Wolałem nosić dzinsy i T-shirty. Uniosłem rękę i odpiąłem plakietkę. Znajdowała się na niej moja fotografia, lecz wyglądałem nieco inaczej niż zwykle. Wydawałem się wkurzony. Przypominałem swojego rozgniewanego brata bliźniaka.

Pod fotografią znajdował się napis: TED 1509.

Znowu spojrzałem na strażnika. Zagadkowa sprawa. Byłem zupełnie pewien, że nie jestem Tedem, ale skąd miałem plakietkę? I garnitur. A także... poklepałem się po kieszeniach i wyjąłem kluczyki do samochodu.

Strażnik zmarszczył brwi.

– Och, do licha! Nikt nie zaparkował pańskiego samochodu? Bardzo mi przykro, sir. – Pstryknął palcami.

Odwróciłem się. Przez szklaną szybę budynku widziałem czerwone ferrari stojące pod zawadiackim kątem. Miało dość przewidywalną rejestrację: TED 1509.

Ferrari? Zawsze marzyłem o posiadaniu ferrari, ale moja kiepska pensja pozwalała tylko na zakup motorynki. Przypomniałem sobie coś jeszcze: nie mam grosza przy duszy. Był to kolejny wstrząs.

Nagle, jakby znikąd, pojawił się kościsty młody człowiek w białej koszuli i czarnych spodniach.

– Roy, mógłbyś zaparkować samochód Teda? – odezwał się strażnik.

– Naturalnie.

Roy wyciągnął rękę. Popatrzyłem bezradnie na kluczyki, a później mu je podałem.

– To nie mój samochód – odezwałem się.

Roy wydawał się zdziwiony.

– Słucham, sir?

– Po prostu go zaparkuj – rzucił strażnik.

Roy prędko odszedł. „To nie może dłużej trwać. Muszę się stąd wydostać”.

– Proszę posłuchać – powiedziałem cierpliwie. – Chciałbym porozmawiać z szefem.

Niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– To będzie trudne.

– Dlaczego? Jest nieobecny?

– Skądże znowu.

– Więc proszę go przyprowadzić.

– Nie mogę.

Westchnąłem.

– Kto jest pana szefem?

– No cóż... – Zbolały wyraz twarzy. – Pan, sir.

Pojechaliśmy do góry elegancką czarną windą. Na suficie i ścianach znajdowały się jasne kropki przypominające gwiazdy, jakby kabina była miniaturą wszechświata. W tle grała muzyka. Typowy podkład, jaki nadaje się w centrach odnowy biologicznej albo salonach masażu.

– Wie pan, że nie jestem Tedem, prawda? – spytałem.

Strażnik wbijał wzrok w podłogę. Wyświetlały się kolejne numery pięter.

– Myślałem, że przed rozpoczęciem pracy zechce pan obejrzeć swoją kwaterę – rzekł.

– Czym właściwie zajmuje się Ted?

– Kieruje wydziałem.

– A co to za wydział?

– Wyniesień.

„Oczywiście, kurwa...”

Popatrzyłem na cyferki. Ostatnia miała numer sto dziesięć. Zatrzymaliśmy się na sto dziewiątym piętrze. Drzwi się otworzyły.

– Jesteśmy na miejscu!

Rozejrzałem się. Zobaczyłem ogromny, przestronny apartament. Wysoki sufit, drogie meble, ogień płonący na kominku. W rogu kręcone schody prowadzące na wyższy poziom. Jeden z krańców pomieszczenia zajmowała nowoczesna kuchnia lśniąca od chromu, a przez ogromne okna sięgające od podłogi do sufitu widać było zapierającą dech w piersiach panoramę nieba, na którym płynęły białe pierzaste chmury. Jak wysoko jesteśmy, do licha?!

– Jest pan zadowolony? – spytał strażnik.

– To szaleństwo.

Poszedłem do części dziennej apartamentu i dotknąłem dłonią kanapy pokrytej miękką brązową skórą. Wyobraziłem sobie, że na niej leżę, popijam

chłodnego drinka... gdy wtem zauważyłem kątem oka coś pomarańczowego. Obróciłem się szybko. Za jednym ze stylowych foteli zniknął długi ogon.

Strażnik zmarszczył brwi.

– Coś się stało, sir?

– Widział pan kota?

– Kota?

– Tak. Przed chwilą przebiegł po podłodze.

Szybko podszedłem do fotela i zajrzałem za niego.

Nie zobaczyłem kota. Rozejrzałem się. Ani śladu kota, nawet jednego rudego włosa. Zmarszczyłem brwi. Było to dziwne. Cóż, nawet bardziej niż dziwne.

– Może pokazałbym panu resztę apartamentu? – spytał pośpiesznie strażnik.

– Ile jeszcze jest pomieszczeń? – spytałem.

– Pięć sypialni, cztery łazienki, poza tym sala gimnastyczna, sala kinowa, sauna, biblioteka, a także, och, *pièce de résistance*: bar i ogrzewany basen na dachu.

– Basen na dachu? – Zaśmiałem się krótko. – Chętnie go obejrzę.

– Proszę za mną, sir.

Ruszyłem za strażnikiem po wyfroterowanej podłodze. Dotarliśmy do kręconych schodów z kilkoma oknami i wspięliśmy się do kolejnych drzwi na górze. Strażnik usłużnie je otworzył i wyszedłem na dach.

Widok był niewiarygodny, jak z bajki. Zobaczyłem basen o długości co najmniej trzydziestu metrów. Lazurowa woda lśniła w słońcu. Wokół stało kilka leżaków i dużych parasoli. Po prawej stronie znajdował się niewielki ogród z roślinami pnącymi i wygodnymi ławkami. Na końcu zauważyłem bar, za którym stał elegancko ubrany barman i fachowo potrząsał srebrzystym shakerem. Słyszałem grzechot lodu.

– Poprosiłem Jamesa, by przygotował panu margaritę – rzekł strażnik. – Wiem, że to pana ulubiony trunk.

To prawda. Domyślałem się, że margarita była również ulubionym trunkiem Teda. Podszedłem do Jamesa, który podał mi drink. Wypiłem łyk. Była to najlepsza margarita, jaką piłem w życiu.

Uniosłem oczy i dopiero teraz zauważyłem, że dach jest przykryty ogromną szklaną kopułą.

– Do czego to służy?

– No cóż, bez kopuły byłoby tu dość zimno – odparł strażnik. – Jesteśmy bardzo, bardzo wysoko.

– Na dachu świata – powiedziałem i cicho zachichotałem. Do licha, margarita okazała się mocna.

– To prawda, sir.

Po chwili zaczęła mnie opuszczać euforia. Coś się nie zgadzało. Nie powinienem tu być. Odstawiłem kieliszek.

– To wszystko jest bardzo miłe, nawet bardziej niż miłe... – uśmiechnąłem się z żalem – ...ale jest pewien problem.

– Jaki, sir?

– W dalszym ciągu nie jestem Tedem.

Lekkie skinienie głowy.

– Zastanawiałem się, czy pan to powie, sir. – Westchnienie. – No cóż, jeśli jest pan pewien, powinniśmy wrócić na dół.

– Natychmiast? Nie mógłbym najpierw posiedzieć na słońcu?

– Obawiam się, że nie. Skoro się pan upiera, że nie jest pan Tedem...

– Dobrze. – Sięgnąłem po margaritę i opróżniłem kieliszek. Skrzywiłem się lekko. Koktajl był cholernie mocny. – W porządku, niech pan prowadzi.

Zeszliśmy schodami. Domyślałem się, że po raz ostatni. Poczułem lekki żal. Gdybym był Tedem, te cuda mogłyby należeć do mnie. Wszystko wskazywało na to, że jestem Tedem. Miałem jego przepustkę, kluczyki do samochodu, twarz. Mógłbym dość przekonująco żyć jako Ted. Coś mnie jednak powstrzymywało. Można to nazywać sumieniem. A może po prostu strachem przed zdemaskowaniem? Dla większości ludzi to jedno i to samo.

Wróciliśmy do eleganckiej części dziennej. Zatrzymałem się. Coś się zmieniło. Koło okien stała kobieta i spoglądała na miasto. Z naszego miejsca widać było tylko sylwetkę. Inny członek personelu?

– Ach, Alesha – odezwał się strażnik. – Myślę, że mimo wszystko nie będziesz musiała się do nas przyłączać.

– Cóż, szkoda. – Dziewczęcy głos. Cichy, słodki jak miód, urzekający. Poczułem lekkie ściskanie w żołądku.

Odwróciła się i ruszyła w naszą stronę. Jęknąłem.

Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Wszystkie moje fantazje i marzenia przekształcone w rzeczywistą postać.

Długie ciemne włosy opadające na ramiona. Idealnie uformowana owalna twarz, szeroko rozstawione zielone oczy, pełne czerwone wargi. Była krągła, nie koścista, z długimi opalonymi nogami w krótkich szortach. Miała na sobie cienką kamizelkę. Trzymała w ręku książkę. *Paragraf 22*. Moją ulubioną powieść.

Przełknąłem ślinę.

– Miło mi cię poznać, Alesho.

Zaśmiała się.

– Jesteś dziś bardzo oficjalny, Tedzie.



– Przepraszam, czy się znamy? – Nerwowo zerknąłem na strażnika, licząc na pomoc.

Odchrząknął.

– Alesha to pańska żona, sir.

Zakrztusiłem się.

– Żona?!

– Jedna z żon...

– Jedna?!

– No cóż, jedna z żon Teda. Pozostałe są chyba w saunie.

„Ted, ty sukinsynu...”

– Tak czy inaczej, skoro nie jest pan Tedem – strażnik uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami – powinienem pana wyprowadzić z budynku. – Wyciągnął rękę.

– Proszę zaczekać!

Uniósł brwi.

– Tak, sir?

– Tylko żartowałem.

– Żartował pan?

– Chciałem pana sprawdzić. Zdał pan egzamin.

– Zdałem?

– Jestem Tedem. Zawsze byłem. Po prostu żartowałem.

– Rozumiem. – Strażnik przewrócił kartkę na podkładce do pisania. – Cóż, w takim razie musi pan podpisać ten dokument. Potwierdzić, że jest pan Tedem.

Wyciągnął podkładkę w moją stronę i podał mi długopis. Zawahałem się.

– Jeśli podpiszę, wszystko się skończy i stanę się Tedem, prawda? Nikt inny nie przyjdzie i nie poda się za Teda?

– Tak, sir. Kiedy pan podpisze, będzie to ostateczna decyzja.

Chwyciłem pióro i szybko złożyłem podpis. „Ted”. Oddałem strażnikowi długopis i się uśmiechnąłem.

– Załatwione.

– Tak, sir. Jest pan załatwiony.

Popatrzyłem na strażnika. Coś się stało z jego twarzą. Przyjacielski uśmiech zniknął. Wydawał się mniej pulchny i lśniący. Bardziej zmęczony. Wokół oczu i ust pojawiły się zmarszczki. Skóra obwisła. Odwróciłem się w stronę Aleshy, ale zniknęła. Na jej miejscu siedział parszywy kot, liżąc sobie jądra.

– Co się dzieje?! – spytałem ostro.

– Przykro mi, sir – wychrypiał strażnik. – Wydaje się, że mimo wszystko nie nadaje się pan do wyniesienia.

– Ależ... nadaję się! – Ogarnęła mnie panika. – Naprawdę się nadaję. Ja...  
O Boże, kurwa!

Strażnik zaczął się rozpadać. Jego twarz roztopiała się jak wosk. Wszystko się rozpadało: meble, ściany, rzeczywistość. Podłoga zakołysała się pod moimi stopami i runąłem w dół. Otaczało mnie błękitne niebo, czułem straszliwy chłód.

Próbowałem krzyczeć, lecz mój głos utonął w lodowatej otchłani.

W sterowni panował ponury nastrój. Koordynatorka westchnęła.

– Wiecie, naprawdę myślałam, że tym razem się uda.

– Cóż, przeszedł do następnego etapu – odparła asystentka. – Poprzednim razem straciliśmy go po otwarciu drzwi windy.

– To prawda. – Koordynatorka założyła okulary. – Ma coraz mniejsze szanse na wyniesienie.

– Jest jeszcze trochę czasu.

– Może. – Koordynatorka miała wątpliwości. – Ale, dla bezpieczeństwa, powinniśmy zawiadomić Wydział Degradacji. Żeby mogli się przygotować.

Asystentka miała zboląły wyraz twarzy.

– Wydział Degradacji? Jest pani pewna?

Koordynatorka skinęła głową.

– Nie mamy wyboru. Nie przeszedł testu pokus, więc nie może zostać wyniesiony. – Pochyliła się i naciska guzik intercomu. – Okej. Obsługa naziemna, przygotujcie go znowu. A oto i nasz Ted...

– Nie jestem Tedem.

– Oczywiście, że pan jest. – Ochroniarz stuka pulchnym palcem w podkładkę do pisania. Proszę spojrzeć.

Spojrzałem. Lista nie była długa. Tylko jedno imię. Drukowanymi literami. Podkreślone. TED 1510.

# Koniec świata, jaki znamy

## WSTĘP

Cztery lata temu przeprowadziłam się z mężem i córką z Nottingham na wieś w East Sussex.

Przeżyliśmy lekki szok kulturowy. Żadnych lamp ulicznych, barów z jedzeniem na wynos ani taksówek. Tylko pola, lasy, owce i wąskie drogi gruntowe. Wiele krętych dróg gruntowych. Nierównych, pełnych dziur, ledwo mieścił się na nich samochód.

„Co, do licha, trzeba zrobić, jeśli z przodu nadjedzie auto?” – pomyślałam. Wkrótce się przekonałam. Należy się cofać, cofać, cofać, skrócić na trawę albo drogę dojazdową na farmę, jeśli jest w pobliżu. A później się modlić, by nie stracić bocznych lusterek!

Są również zwierzęta: bazanty spacerujące polnymi drogami i niemające ochoty wzbić się w powietrze, króliki i lisy przebiegające przed samochodem. W nocy trzeba uważać na stada jeleni, które lubią nagle wyskakiwać z krzaków.

W nocy wiejskie drogi mają w sobie coś niesamowitego. Żadnych samochodów, ludzi i świateł. Tylko splecione baldachim drzew, czasem zrujnowany wiejski dom. Człowiek ma poczucie całkowitej samotności, jest w izolacji.

„A gdyby zawsze tak było?” – pomyślałam pewnego wieczoru, odwożąc Betty z lekcji pływania w pobliskim mieście. Gdyby panował wieczny mrok?

Poproszono mnie o napisanie opowiadania do nowej antologii wydawnictwa Subterranean Press, która miała się ukazać w Stanach Zjednoczonych, i zastanawiałam się nad pomysłem przyjęcia z okazji końca świata. Co byłoby bardziej apokaliptyczne niż wieczny mrok panujący na ziemi? A gdyby w ciemności coś się pojawiło? Coś, co świetnie się czuje w niekończącej się nocy?

– Już dojeżdżamy? – spytała Betty z tylnego siedzenia.

„Dobre pierwsze zdanie” – pomyślałam.

Powiedzcie: boicie się ciemności?

„Boję się, tatusiu”.  
„Niepotrzebnie. Nie ma się czego bać”.  
„Coś jest w środku”.  
„To tylko mrok”.  
„Nie lubię go”.  
„Nie martw się. Mrok nie zrobi ci krzywdy”.  
„Dajesz słowo?”  
„Daję słowo”.  
„Teraz otwórz oczy”.

Serdecznie zapraszamy na spotkanie z okazji dwudziestolecia istnienia  
Niesławnej Piątki,  
kompletnego przeciwieństwa Słynnej Piątki z powieści Enid Blyton.  
Prosimy przywieźć bułeczki, dżem i mnóstwo alkoholu!

**Data:** 26 października

**Miejsce:** Berskow Manor, Barley Mow Lane, Hambleton

**Temat spotkania:** Koniec świata, jaki znamy

— Już dojeżdżamy?  
Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Nawet jeśli niebo runie na ziemię, oceany wyparują, a świat spowije wieczna ciemność... w którymś momencie jazdy dziecko westchnie, kopnie siedzenie i wymamrocze nieśmiertelne pytanie, po którym padną nieuniknione słowa:

– Nudzę się.

– Już niedaleko.

– Jak niedaleko?

Tom zerknął na zegar. Trzynasta trzydzieści siedem. Wyruszyli tuż przed dziesiątą. Wcześniej ze środkowej części Anglii można było dotrzeć do Sussex w cztery godziny. Ale teraz na drogach panował mniejszy ruch. Ludzie nie lubili podróżować za daleko w ciemności. Między innymi dlatego, że po wyłączeniu nawigacji satelitarnej nikt już nie wiedział, dokąd jedzie.

– Pół godziny. Może mniej.

Spojrzał w lusterko wsteczne. Millie siedziała z tyłu, gapiąc się w okno.

– Włączyć muzykę?

– Twoją muzykę?

Zaledwie osiem lat, a gusty muzyczne ojca zasługują na szyderstwo. Dzieci tak szybko dorastają...

– Nie, sama wybierz.

Zastanawiała się.

– Okej. Możemy posłuchać Mary Poppins?

Jęknął.

– Naprawdę? Znowu?

– Powiedziałaś, że mogę wybrać.

– Tak, ale miałem nadzieję, że wybierzesz Metallicę.

– Taaato...

– Metallica też jest miła.

– Racja.

Westchnął.

– Okej, niech będzie Mary Poppins.

Tom włączył odtwarzacz CD i w samochodzie rozległ się dźwięczny głos Julie Andrews, która śpiewała o tym, że łyżeczka cukru pomaga przełknąć lekarstwo. Dobra stara Mary Poppins z nieodłączną parasolką, potrafiąca rozwiązać cudze problemy za pomocą miłej piosenki. Dawne dobre czasy, gdy świat nie był superkalifradalistodekspialitycznie pochrzaniony, a w mroku krył się tylko Dick Van Dyke, mówiący z brytyjskim akcentem.

Usiłował nie zwracać uwagi na muzykę, jadąc krętą drogą. Reflektory oświetlały tylko niewielkie partie szosy. W miejscach, gdzie ciemność była gęstsza, wirowała w snopach światła jak czarna mgła, widział zaledwie na odległość metra. Jechał powoli, mocno ściskając dłońmi kierownicę, zwracając uwagę, czy nie dostrzeże w mroku jakiegoś ruchu.

Wiedział, że przyjęcie zaproszenia było niebezpieczne. Podróż wiązała się z ryzykiem, a on i Harry nie byli na uniwerku bliskimi przyjaciółmi. Harry Fenton należał do brytyjskiej elity społecznej, a Tom, pochodzący z robotniczej rodziny, w głębi duszy nim gardził, choć tego nie okazywał. Harry, popularny, wysportowany i przystojny, bez wysiłku płynął przez życie; miał mnóstwo pieniędzy i zawsze sprzyjało mu szczęście. Tom był prawie pewny, że gdyby Harry dostatecznie długo stał nad morzem, woda by w końcu się rozstała.

Zawsze usiłował tłumić niechęć ze względu na koleżeńską solidarność, lecz po ukończeniu studiów utrzymywał okazjonalny kontakt z Alex, Michaeliem i Joshem, lecz celowo ograniczył kontakty z Harrym.

Mimo to teraz przyjął zaproszenie do dworu Harry'ego na wsi. Wiedział, że postępuje jak hipokryta. Ale nie miał wyboru, chciał wywieźć Millie z miasta. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Rozruchy, grabieże, płonące samochody niemal na każdym rogu. Przerażeni ludzie w końcu stają się bardziej groźni niż to, czego się boją. No cóż, prawie tak groźni.

Na wsi było bezpieczniej. Wszyscy tak uważali. Poza tym Harry powiedział, że mogą zostać, jak długo chcą.

– Mam mnóstwo zapasowych sypialni, dwa wielkie generatory, turbinę wiatrową i elektryczne ogrodzenia. Jestem zupełnie samowystarczalny.

Oczywiście. Dobry stary Harry. Spadł jak kot na cztery łapy, nawet w czasie apokalipsy.

Z przodu pojawiła się biała drewniana tablica. „Hambleton, 1,5 km”. Tom skręcił w lewo w jeszcze węższą drogę, w której nie minęłyby się dwa samochody. Nagle wyszedł na nią duży jeleni i uniemożliwił dalszą jazdę. Tom nacisnął hamulec.

– Cholera!

– Co się stało? – spytała Millie.

– Jeleń.

Zwierzę było piękne. Miało prawie dwa metry wysokości, dumny łeb i eleganckie poroże. Jeleń obserwował przez chwilę samochód. Nie czuł lęku, przynajmniej nie przed nimi. Później przesadził żywopłot i pobiegł przez pole. Rozległ się tętent kopyt; za jeleniem popędziła reszta stada; zwierzęta przeskoczyły żywopłot i zręcznie przebiegły przez drogę. Było ich ponad dziesięć. W końcu pojawił się maruder. Stary, powolny. Zatrzymał się na drodze,

dyszac. Był dezorientowany. „Uciekaj – pomyślał Tom. – Uciekaj”. Ale jeleni tylko się rozglądał przerażonymi ślepiami.

– Tato?

– Tss...

Po prawej stronie pojawił się cień. Czarny, bezkształtny. Jeleń wydał dziwny, niemal ludzki ryk. Na przednią szybę upadły mokre ochłapy. Tom włączył reflektory, które oświetliły niewyraźne macki i wyłupiaste oczy. Istota syknęła na widok światła i wycofała się, ciągnąc ofiarę w mrok. Tom odetchnął. Zerknął w lusterko wsteczne.

Millie poruszyła głową.

– Jestem głodna.

Tom włączył wycieraczki i nacisnął pedał gazu. W dali widział widmowy zarys szarego kamiennego dworu oświetlonego reflektorami. Berskow Manor.

– Jesteśmy prawie na miejscu.

Przybyli ostatni. Tom przejechał przez elektryczną bramę i ruszył krętą drogą na terenie posiadłości. Przed gmachem zwieńczonym wieżyczkami parkowały na dużym żwirowanym podjeździe cztery inne samochody. Domyślił się, że odrapany land rover defender należy do Harry’ego, land rover do Michaela i jego żony Amandy, a volvo prawdopodobnie do Alex. Austin mini musiał być własnością Josha i jego partnera Lee. Zatrzymał się obok austina.

– Koniec podróży – rzekł do Millie.

– Cool.

Reflektory oświetlały dużą przestrzeń obok budynku. Przybysze z miast, gdzie energia elektryczna pochodziła z sieci publicznej i była racjonowana, uważali takie bez troskie marnowanie prądu za ekstrawagancję. W tej sferze również istnieją bogacze i pariasi. Tom walczył z ogarniającą go zazdrością. Wsiadł z samochodu i otworzył drzwi od strony Millie.

Październikowe powietrze było świeże i rześkie. „Świeższe niż w mieście – pomyślał. – Cóż, wszystko jest lepsze od zapachu spalonej gumy”. Oddychał głęboko, rozkoszując się czystością powietrza. „Jest dobre, ożywcze”, pomyślał. Drzwi Berskow Manor się otworzyły.

– Tom!

Popatrzył na Harry’ego Fentona. Kiedy oglądał jego profile w mediach społecznościowych, przyjaciel wyglądał prawie tak samo jak na studiach. Ale musiały to być stare fotografie. Nie był to już ten sam Harry. Zniknęły koszulki polo, eleganckie dzinsy i mokasyny. Zniknął długi modny przedziałek. Ten Harry miał długie ciemnoblonde włosy związane w niechlujny kucyk. Był ubrany



w workowate dzinsy, luźną bawełnianą koszulę i podniszczone buty marki Converse. W nosie lśnił kolczyk. Dawny Harry wyglądał, jakby zszedł ze stronic „Tatlera”, a ten jak z okładki tygodnika muzycznego „Kerrang!”.

– Cześć! – wybąkał Tom.

– Strasznie się cieszę, że cię widzę, stary!

Mówił nawet z mniej pretensjonalnym akcentem. Zanim Tom zdążył się poruszyć, Harry zrobił krok do przodu i mocno go uściskał. Tom poczuł zapach wody kolońskiej i powstrzymał chęć odsunięcia się. Harry go puścił, uśmiechając się serdecznie, i spojrzał na Millie.

– A to twoja mała?

– Nie jestem mała – powiedziała Millie. – Mam osiem lat.

Harry się zaśmiał.

– Przepraszam, pomyliłem się. – Wyciągnął rękę. – Miło mi cię poznać.

Millie w dalszym ciągu spoglądała na niego przez ciemne okulary z czerwonymi oprawkami w kształcie serc. Nie uniosła dłoni.

– Jest trochę nieśmiała – rzekł Tom.

– Jasne. – Harry opuścił dłoń, nie spuszczając z niej oczu. – Fajne okulary, młoda damo.

– Reszta gangu już tu jest.

Tom i Millie poszli za Harrym ogromną sienią. Tom miał cichą nadzieję, że w środku dwór okaże się trochę zaniedbany, ale gorsza część jego natury przeżyła rozczarowanie. Sień była odrobinę podniszczona, lecz ciągle piękna. Oświetlały ją ciepłym blaskiem wielkie żyrandole. Na posadzce pokrytej kamiennymi płytami leżały perskie dywany. Z przodu znajdowała się klatka schodowa biegnąca na piętro; w górze skrzył się gigantyczny kryształowy kandelabr.

Poczuł, jak jego dłoni dotyka zimna ręka.

– Sień jest wielka – szepnęła Millie. Wiedział, że córka słyszy echo swojego głosu odbijającego się od ścian.

– To stary dwór – odpowiedział. – W dawnych czasach budowano duże domy.

– Tak – wtrącił Harry. – Mam mnóstwo przestrzeni. Szczerze mówiąc, zamknąłem całe wschodnie skrzydło. Nie ma sensu go ogrzewać i oświetlać, skoro nigdy z niego nie korzystam, prawda?

Zaśmiał się cicho.

– Właśnie dlatego tak się cieszę, że tu jesteście. Trochę ożywiecie to miejsce. – Znowu zerknął na Millie. – Czasami myślę, że przydałoby się tu kilkoro dzieci biegających po korytarzach. – Na jego wyrazistej twarzy malował się przez

chwilę smutek. Później wziął się w garść. – Tak czy inaczej, reszta gości już przyjechała. Są w salonie.

Tom słyszał dźwięki rozmowy dobiegające z otwartych drzwi. A ściśle biorąc, głos Josha, który opowiadał pikantną i niewątpliwie podkoloryzowaną historyjkę.

Harry wprowadził ich do następnej pięknej sali. Gustowne dzieła sztuki i niedbale rozstawione staroświeckie meble w modnym stylu shabby chic. Tom zauważył kilka jasnych śladów na ścianach, gdzie kiedyś musiały wisieć obrazy. Może rodzina nie jest tak bogata, jak sugeruje Harry?

Spojrzał na pięć osób stojących trochę niezgrabnie z drinkami w rękach. Nie widział ich od dwudziestu lat. W tym czasie nie spotkali się twarzą w twarz. Harry był żywym dowodem, że fotografie na Facebooku i Twitterze różnią się od rzeczywistości. Normalnie trzeba dodać kilka kilogramów, drugi podbródek i sporo zmarszczek.

A jednak starzy przyjaciele niekiedy wydają się szokująco znajomi. Josh stał w środku sali z kieliszkiem szampana w dłoni. Nie miał już grzywy lśniących ciemnych włosów, dzięki którym zyskał na uniwersytecie przydomek Adonisa, ale wyglądał uderzająco przystojnie nawet z ogoloną głową. Był ubrany w dopasowaną czarną koszulę rozpiętą pod szyją i obcisłe dżinsy.

Jego partner, Lee, na oko dziesięć lat młodszy, robił zupełnie inne wrażenie. Nie miał w sobie nic ekstrawaganckiego ani krzykliwego. Brązowe, faliste, lekko rozczochrane włosy, szczeciniasty zarost, workowate sztruksowe spodnie i bezkształtny sweter narzucony na koszulę. Trzymał kufel piwa zamiast szampana albo wina. Tom nigdy wcześniej go nie spotkał, ale natychmiast poczuł do niego sympatię.

Michael i Amanda jak zwykle stali obok siebie, sztywno ściskając kieliszki z winem. Na uniwersytecie byli nierozłączni. Koledzy nazywali ich bliźniętami syjamskimi, co budziło lekki niepokój, bo rzeczywiście wyglądali jak brat i siostra. Oboje byli niscy, mieli gęste ciemne włosy i uderzająco błękitne oczy. Wydawali się nieco tężsi niż dawniej, choć mogło to być złudzenie: mieli na sobie identyczne grube wiatrówki. Prawie się nie zmienili. To też było niepokojące.

W końcu Tom popatrzył na Alex. Chciałby, żeby brzydko się zestarzała, ale Alex nigdy nie mogła być brzydka. Pamiętał, jak paradowała po kampusie w podartych kabaretkach, martensach i workowatych swetrach, które zsuwały się z ramienia, kusząco odsłaniając czerwone ramiączko stanika. Miała wtedy sztywne kasztanowe dredy i Tom marzył kiedyś, że musną mu twarz w czasie pocałunku.

Nigdy do tego nie doszło. Teraz dredy zniknęły. Alex nie nosiła już długich włosów, tylko krótką fryzurę pasującą do jej drobnych rysów. Była ubrana w obcisłe dzinsy, ciężkie buty i luźny sweter w paski. Mocno zabiło mu serce.

– Witajcie! – powiedział Harry. – Spójrzcie tylko, kto nas odwiedził!

Josh szybko się odwrócił.

– Tommy, kochany! – Uśmiechnął się szeroko, ukazując rząd błyszczących, kosztownych implantów.

„Josh – człowiek, który będzie wyglądał wspaniale nawet w dniu końca świata”.

– Zawsze wiedziałem, że wyrośniesz na wspaniałego faceta. Chodź.

Tom nie miał wyboru. Josh podszedł i objął go chudymi ramionami. Pachniał drogim płynem po goleniu. Lee przez chwilę stał z boku, po czym podszedł i wyciągnął rękę.

– Cieszę się, że cię widzę.

Tom uściskał dłoń Lee.

– Ja też się cieszę. W ogóle się nie zmieniłeś, Josh.

– Kłamiesz, ale biorę to poważnie!

Michael i Amanda podeszli razem.

– Cudownie, że się spotykamy, Tom.

Cmoknęli się lekko na powitanie. Tom zauważył na szyi Amandy duży srebrny krucyfiks.

– Cześć, Tom! – odezwał się nowy głos.

Ciepły akcent ze środkowej Anglii ciągle na niego działał. Alex przytuliła się do niego i delikatnie pocałowała go w policzek. Poczuł, że oblewa się rumieńcem.

– Eee... dobrze wyglądasz z tą fryzurą – powiedział.

Uśmiechnęła się.

– Właśnie to mówią mężczyźni, gdy bardziej podobają im się długie włosy.

– Nie, naprawdę wyglądasz świetnie.

Spoglądali na siebie, gdy Tom poczuł dotknięcie.

– Och, to moja córka Millie – powiedział.

Millie, dotąd ukryta za jego plecami, wyszła do przodu. Uśmiech Alex nieznacznie przybladł.

– Cześć, Millie!

Tom czekał, trzymając Millie za rękę i patrząc na resztę grupy. Pierwszy odezwał się Michael.

– Co to za okulary?

– Bardzo mi się podobają – zauważył beztrąsko Josh. – Są ekstrawaganckie, modne.

– Modne? – spytała napiętym głosem Amanda. – Tylko o to chodzi?  
Tom spojrzął jej w oczy.  
– Nie. Millie jest niewidoma.  
Poczuł, że atmosfera w pokoju się zmienia. Powiało chłodem.  
– I przywiozłeś ją tutaj? – rzuciła Amanda.  
Michael położył jej dłoń na ramieniu.  
– Mandy...  
Strąciła jego rękę i odwróciła się w stronę Harry’ego.  
– Wiedziałaś?  
– Nie, ale... Millie jest mile widzianym gościem. Tak samo jak wy wszyscy.  
– Jest niewidoma. Wiesz, co to znaczy. Wiesz, co mówią.  
– Histeryczne bzdury – odparł Josh. – Myślałem, że ty i Michael macie dość rozsądku, by nie zwracać uwagi na te nonsensy.  
Michael się zaczerwienił.  
– Mimo to powinienes nas uprzedzić, Tom.  
– To po prostu dziewczynka – odparł Tom. – Zasługuje na to, żeby być bezpieczna.  
– Bezpieczna? – Amanda się rozejrzała i dotknęła krucyfiks. – Nikt z nas nie jest teraz bezpieczny.

Rozpakowali się. Millie milczała. Sypialnia była duża i przewiewna, ale w rogach wysokiego sufitu wisiały zakurzone pajęczyny. Tu również na ścianach znajdowały się puste miejsca po obrazach. Ogromne łóżce wydawało się jednak wygodne. Tom chętnie by się na nim położył, lecz nie był pewien, czy długo zostaną w Bragshaw Manor. Czuł – a raczej był pewny – że na dole toczy się ożywiona dyskusja o nim i Millie.

Wcześniej miał nadzieję, że podejrzliwość i nietolerancja to cechy ignoranckiej części społeczeństwa. Ale powinien pamiętać, że liberalizm to tylko cienka powłoka, pierwsza rzecz, która opada, gdy świat się wali, kiedy zapada ciemność.

Historia stale się powtarza. Ludzie nie uczą się na błędach, szybko o nich zapominają. Wymordowanie Żydów w hitlerowskich Niemczech, mur między Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi, nienawiść do uchodźców w Wielkiej Brytanii. Niewiele potrzeba, by społeczeństwo się rozpadło i zaczęło pożerać samo siebie. Pierwsi idą pod nóż bezbronni.

Kiedy ludzie mają do czynienia z rzeczami, których nie rozumieją, potrzebują kozła ofiarnego. Politycy się kłócili, naukowcy drapali się w wielkie, jajowate

głowy. Słońce nie zgasło, Ziemia ciągle się obracała, temperatury nie spadły, ale było coraz gorzej. Na świecie zapadła ciemność. Panowała już prawie od roku.

Na początku pojawiły się wyłączenia energii elektrycznej. „Jak w latach siedemdziesiątych” – narzekali ludzie pamiętający tamten okres. Władze publikowały ogłoszenia wzywające do oszczędzania energii, używania świec i noszenia odblaskowych kamizelek w drodze do szkoły albo pracy. Sprzedaż paneli słonecznych spadła do zera i wszędzie zaczęły wyrastać turbiny wiatrowe. Pojawili się maniacy religijni wieszczący koniec świata. „Wszyscy jesteśmy skazani na zagładę”.

Mimo to ludzie mogliby sobie z tym poradzić. Radzili sobie.

Ale po zapadnięciu ciemności pojawiło się coś jeszcze.

– Zostaniemy, prawda? – spytała Millie.

– Tak, wszystko będzie dobrze.

– Ta pani nie była miła.

– Nie przejmuj się nią. – Usiadł obok Millie na końcu łóżka. – Wiesz, o czym rozmawialiśmy? O strachu, prawda?

Skinęła głową.

– Ludzie robią ze strachu głupie rzeczy, których nigdy by nie zrobili, gdyby się nie bali.

– To prawda.

– Jak Jonas w szkole, który mnie przezywał. Albo pani Masters, która zabroniła mi przychodzić do klasy.

Poczuł ściskanie w gardle.

„Dla bezpieczeństwa pozostałych dzieci. Oczywiście to tylko środek ostrożności”.

Właśnie tak się zaczęło. Wykluczenie. Izolacja. Podejrzenia. Szepty rodziców przy bramie, zmyślane opowieści w gazetach. Histeria rozprzestrzeniająca się na Twitterze.

„Działają na te istoty jak magnes. Potrafią się z nimi porozumiewać. Nie jestem uprzedzona, ale... nie możemy im ufać. Powinni być odizolowani, obserwowani”.

Później zaczęły się wyzwiska na ulicy. Ataki. Tłumy z płonącymi pochodniami. Tom żałował, że nie jest to tylko metafora.

– Mówiłeś, że będziemy tu bezpieczni, prawda? – rzekła Millie.

– Tak, jesteśmy bezpieczni. Wszystko będzie...

– Dobrze?

Pukanie do drzwi. Tom wstał i otworzył.

Na progu stał Harry z tacą, na której znajdowały się smukły kieliszek szampana, szklanka soku pomarańczowego, biszkopty, ciasteczka z kremem

i czekoladą. Tom poczuł, że burczy mu w brzuchu.

– Przybywam z darami – powiedział Harry.

– Dzięki – odparł Tom.

Harry postawił tacę na komodzie przy drzwiach.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

– To nie twoja wina.

– Ale to ja was zaprosiłem. Jesteście moimi gośćmi. Nie zdawałem sobie sprawy, że Amanda okaże się taka, no cóż, wiesz...

– Bigoteryjna? Ordynarna?

Harry wzruszył ramionami i przesunął dłonią po włosach.

– Nie wiem, co powiedzieć... Pamiętasz, jaka była na uniwerku, prawda?

Tom pamiętał. Michael, podobnie jak Harry, pochodził z zamożnej rodziny ziemiańskiej. Tradycyjnej, konserwatywnej. Mimo to był dość przyzwoitym facetem, swobodnym i dobroniosnym... dopóki nie poznał Amandy. Uwielbiała jazdę konną, wychowała się w surowej chrześcijańskiej rodzinie. Michael wpadł jej w oko i stali się nierozłączni. Zaczął chodzić do jej kościoła, wygadywał różne religijne nonsensy, spędzał coraz mniej czasu z Joshem, z którym zawsze się przyjaźnił. Tom nigdy nie lubił Amandy i miał nadzieję, że Michael wyrośnie z tego zauroczenia. Niestety, tak się nie stało.

– Mam nadzieję, że nie zmieniacie zdania w sprawie dalszego pobytu – dodał Harry. – Naprawdę miło cię znowu widzieć, a poza tym... myślę, że Millie będzie dobrze się tu czuła.

– A reszta?

– W przeszłości zawsze mieliśmy różne poglądy. Niesławna piątka, pamiętasz?

Poklepał po ramieniu Toma, który się uśmiechnął.

– Owszem – rzekł.

Jednak nie widzieli się od bardzo dawna. Na tym polegał problem. Harry znowu popatrzył na Millie.

– Zawsze nosisz okulary?

– Muszę je nosić – powiedziała Millie.

– Inaczej byłoby to zbyt niebezpieczne – dodał Tom.

Harry kiwnął głową.

– Oczywiście, rozumiem.

– Obiecałem, że przed kolacją oprowadzę was po posiadłości – ciągnął Harry.

– Macie ochotę się przyłączyć?

– Cóż, jesteśmy trochę zmęczeni...

– Ja bardzo chętnie – rzekła nagle Millie.

Tom zerknął na córkę.

- Okej. Jesteś pewna?
  - Tak.
  - W porządku. Idziemy z wami.
  - Świetnie. Spotkamy się o piątej w Wielkiej Sieni.
- „Pieprzona Wielka Sień” – pomyślał Tom, zamykając drzwi. Niech będzie.

Kiedy Tom i Millie zeszli na parter, cała piątka czekała w Wielkiej Sieni: Harry, Josh, Lee, Alex i Michael.

- Nie ma Amandy? – spytał Tom.

Michael odchrząknął.

- Trochę boli ją głowa.

- Rozumiem. Szkoda.

Przez chwilę panowało niezręczne milczenie, a później Michael powiedział:

- Naprawdę się cieszę, że cię znowu widzę, Tom. Cieszę się, że poznałem twoją córkę.

Zabrzmiało to niezbyt przekonująco, ale przynajmniej próbował być miły. Tom się uśmiechnął.

- Dzięki.

- Pokażesz nam swoje gniazdo rodowe, dziedzicu? – spytał Josh.

Uśmiech Harry’ego zbladł na ułamek sekundy. Popatrzył na Josha. Tom nie mógł odgadnąć, co myśli. Później znowu się rozpromienił.

- Oczywiście. Tędy.

Ruszyli za nim jak turyści podążający za przewodnikiem. Wchodzili do kolejnych wielkich sal. Tom szeptem opisywał je Millie, usiłując ukryć gorycz, pocieszając się na widok nowych jasnych śladów na ścianach. To, że mieszka tu jedna osoba, wydawało się jednak szaleństwem.

- Jak sobie radzisz? – spytała Alex, jakby czytała Tomowi w myślach. – Masz służbę?

- Cóż, dziewczynę i jej matkę. Przychodzą z wioski, sprzątają i gotują.

Dziewczyna i jej matka. Zbyt nieważne istoty, by wymieniać ich imiona.

- Nie więzisz na strychu żony, która postradała zmysły? – spytał Josh, gdy wspinali się wielkimi schodami.

- Nie – odparł spokojnie Harry. – Czasem pojawiają się szczury, to wszystko.
- Uśmiechnął się. – Chodźcie, musicie zobaczyć obserwatorium w zachodniej wieży.

Obserwatorium. Oczywiście.

Harry poprowadził ich korytarzem, obok rzędu sypialni, a następnie kręconymi schodami w górę. Na szczycie znaleźli się w szklanej kopule. Tom

wyobrażał sobie, że niegdyś rozciągał się z niej widok na wiele kilometrów. Może nawet do wybrzeża. Teraz już nie. Za szybami widać było ciemność, a w dole lasy czarne jak smoła. Po lewej stronie, w bliskiej odległości, powoli obracała się turbina wiatrowa. Poniżej znajdowały się dwa inne duże budynki.

– Co to takiego? – spytał Josh.

– W jednym budynku znajdują się generatory, główny i zapasowy, a drugi to po prostu stara stodoła.

– Ile masz ziemi? – spytał Michael.

– Około pięciu hektarów.

– Nigdy jej nie uprawiałeś?

– Chyba nie nadaję się na farmera.

– Kiedyś wspominałeś, że twoi rodzice byli ziemianami – zauważył Josh. – Nie lubisz brudzić sobie rąk?

Tom zerknął na Josha. Zawsze lubił zachowywać się prowokacyjnie, ale dziś celowo drażnił Harry'ego. Zastanawiał się, czemu Josh to robi.

– W pobliżu jest mnóstwo farm – odpowiedział miłym głosem Harry. – Potrzebują pieniędzy. W tych mrocznych czasach warto wspomagać innych, prawda?

– Ach, naturalnie – odparł Josh. – Właśnie dlatego zaprosiłem Lee, zlitowałem się nad biedaczną.

– Jestem ci dozgonnie wdzięczny. – Lee zachował kamienną twarz.

– Cała posiadłość jest otoczona elektrycznymi ogrodzeniami? – spytała Alex, spoglądając przez szybę.

– Tak – odparł Harry. – Nic się tu nie przedostanie. W żadnym wypadku. – Popatrzył na nich znacząco.

– Coś próbowało? – zainteresowała się Alex.

– Od czasu do czasu muszę usuwać padlinę z jednego z ogrodzeń. To kolejna zabawna cecha wsi. Jesteśmy przygotowani do radzenia sobie z takimi rzeczami. Wiemy, co robić z robactwem.

– Macie broń?

– Kilka strzelb. Nie są zbyt użyteczne. Kule nie działają na te istoty.

– A grabieżcy? – spytał Michael. – Podobno z Londynu przyjeżdżają gangi bandytów i mordują właścicieli ziemskich, przejmują ich domy.

Uśmiech Harry'ego miał w sobie coś stalowego.

– Jak powiedziałem, nic ani nikt się tu nie przedostanie.

– Ciągłe mieszkanie w Londynie? – Alex odwróciła się w stronę Josha i Lee. – Słyszałam, że sytuacja znacznie się pogorszyła, prawda?

– Och, Josha trudno wyciągnąć z Londynu – odparł Lee.



– Po moim trupie – dodał Josh. Zerknął na Toma i się zaczerwienił. – Och, Boże, przepraszam. Nie miałem na myśli...

– Wszystko w porządku.

Alex położyła mu dłoń na przedramieniu.

– Przykro nam z powodu śmierci twojej żony.

– Dziękuję.

Harry uśmiechnął się współczująco. Wokół jego błękitnych oczu pojawiły się drobne zmarszczki. Z pozoru wyglądał jak dobry wujek.

– Cóż, robi się zimno. Zejdźmy na dół i ogrzejmy się.

Zeszli schodami na pierwsze piętro. Tom kroczył ostatni, ostrożnie prowadząc Millie za rękę.

– Co jest po tamtej stronie? – spytał Lee, wskazując masywne drzwi na końcu korytarza.

– Wschodnie skrzydło – odparł Harry. – Przekształciłem je w magazyn. Jest zamknięte, by oszczędzać światło i ogrzewanie. Nie ma sensu marnować energii.

„Dokładnie to samo powiedział wcześniej. A jednak nie przeszkadza mu to oświetlać reszty posiadłości jak wesołego miasteczka” – pomyślał Tom, którego uderzyło coś jeszcze. Drzwi. Różniły się od pozostałych. Wydawały się nowe. Tom zmarszczył brwi. Skoro wschodnie skrzydło jest wykorzystywane tylko jako magazyn, po co instalować nowe drzwi?

Dotarli do schodów. Millie była bardzo cicha. Tom przepuścił wszystkich przodem i spytał:

– Nic ci nie jest?

Pokręciła głową.

– Kłamię.

– Kto?

– Wszyscy.

Ludzki umysł ma fantastyczną zdolność zapominania o rzeczach, o których nie chce pamiętać, odrzucania kłopotliwych myśli i skupiania się na teraźniejszości.

W ciągu ostatniego roku Tom bardzo często korzystał z tej umiejętności. Śmierć żony. Ucieczka z domu. To, co się później wydarzyło. Walka o przetrwanie.

Po takich przeżyciach czasem w mózgu pojawia się robak. Wzera się w umysł. Nie chce odejść, choć bardzo się staramy go odpędzić. Jest jak natrętna melodia, od której nie można się uwolnić.

„Drzwi. Puste miejsca na ścianach. Kłamię”.

Coś było nie tak, ale nie potrafił się domyślić, o co chodzi.

Millie drzemała w wielkim łożu. Wcześniej myślał, że jeśli pojawi się okazja, by się zdrzemnąć, też szybko zaśnie. Ale leżał już prawie godzinę i nie mógł zmrużyć oka. Nie pozwalał na to robak w mózgu.

Usiadł i postawił nogi na podłodze. Zaszło mu w gardle od kurzu w pokoju. Postanowił wypić szklanekę wody („i rozejrzeć się ukradkiem” – szepnął cichy głos).

Zerknął na Millie i przyrzekł sobie w duchu, że zaraz wróci, po czym poczłapał do drzwi i wyslizgnął się na korytarz.

Szedł do przodu. Pozostali goście udali się do swoich pokoi, by przygotować się do kolacji. Zastanawiał się, czy Amandę przestanie boleć głowa. Miał nadzieję, że nie i że zmieni się w migrenę.

Zatrzymał się na szczycie schodów i popatrzył na drzwi wschodniego skrzydła. Podszedł do nich i ujął klamkę. Były zamknięte. Po co zamykać jedno ze skrzydeł dworu, skoro mieści się tam tylko magazyn? Nikt nie zamyka rupieciarni, by oszczędzać elektryczność i ogrzewanie.

Odwrócił się i zszedł schodami. Może to tylko paranoja? Może wydarzenia ostatnich miesięcy spowodowały, że stał się zbyt podejrzliwy i nie wierzy w szczerść ludzkich intencji? Problem z ciemnością polega na tym, że kiedy pozwala jej się wnikać do wnętrza umysłu, czai się w jego zakamarkach, wypełniając je cieniami.

Dotarł do sieni – przepaszam, Wielkiej Sieni – i skręcił w lewo, w stronę kuchni. Spodziewał się zastać w niej Harry’ego w fartuchu przygotowującego potrawy. Ale duże pomieszczenie było puste. Na płycie kuchennej stały rondle wypełnione poszatkowanymi warzywami. Obok leżały bagietki, gotowe do pokrojenia. Gdzieś tam znajdowało się trochę odpadków po pracach kuchennych, ale większość kuchni była czysta i schludna. „Wszystko zostało starannie przygotowane – pomyślał Tom. – Całe to spotkanie”. Dlaczego wzmagало to jego niepokój?

Otworzył szafkę, znalazł szklanekę i podszedł do zlewu napełnić ją wodą. Na parapecie okna stały książki kucharskie. *Kuchnia wegańska i wegetariańska*. Trudno się dziwić. Ale zauważył również *Zdrowe posiłki dla rodziny* i *Potrawy dla dzieci*. Zmarszczył brwi. Harry nie miał żony ani dzieci. Książki mogły należeć do jego rodziców – albo kucharza. Wyciągnął rękę i otworzył jedną z nich. Na stronie tytułowej znajdowała się dedykacja: „Dla Lucy, z wyrazami miłości, Dave”.

Dave i Lucy. Nie pamiętał, jak mieli na imię rodzice Harry’ego, ale był niemal pewien, że nie Dave i Lucy. Ostrożnie zamknął książkę, odstawił ją na parapet. Z tyłu zaskrzypiały drzwi. Wzdrygnął się i odwrócił.

W drzwiach stali Alex i Lee. Alex miała zmartwioną minę, a Lee wydawał jeszcze bardziej rozczochrany niż zwykle.

– Chryste, przestraszyliście mnie!

– Przepraszam – powiedział Lee. – Co tu robisz?

– Przyszedłem po szklankę wody. A wy?

Wymienili spojrzenia. Tom nagle zrozumiał, że coś w tym wszystkim nie pasuje. Gdzie jest...

– A Josh?

– Na tym polega problem – odpowiedziała Alex. – Nie możemy go znaleźć.

Ich stopy chrzęściły na żwirze. Mieli na sobie grube kurtki i ściskali duże latarki. Na skraju oświetlonej przestrzeni snuły się cienie. Mimo zapewnień Harry'ego o elektrycznych ogrodzeniach Tom czuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

– Poszliśmy do pokoju wziąć prysznic – rzekł Lee. – Josh powiedział, że wyjdzie na dwór zapalić papierosa. Położyłem się i zdrzemnąłem. Obudziło mnie pukanie do drzwi. Myślałem, że wraca Josh, ale okazało się, że to Alex.

– Chciałam pożyczyć ładowarkę do telefonu – wyjaśniła Alex.

– Jak długo go nie ma?

– Przeszło godzinę.

– Może po prostu postanowił się przejść, odetchnąć świeżym powietrzem?

Lee spojrział na Toma.

– Josh woli wdychać marlboro light.

Prawda.

– Poza tym już nikt nie chodzi na spacer po nocy. Nie w dzisiejszych czasach.

Również prawda.

Skęcili za róg budynku i znaleźli się na dziedzińcu. W jednym z rogów znajdował się rząd zrujnowanych szop, które – jak Tom przypuszczał – pełniły kiedyś funkcję stajni. Było to pierwsze miejsce na terenie posiadłości, które wydawało się zniszczone. W tej chwili konie nie były użytecznymi zwierzętami. Niczego nie produkowały, ich mięso nie nadawało się do jedzenia, choć nie zrażało to niektórych ludzi. Były kosztownym luksusem, na który większości nie było już stać. Wiele biegało na dziko. Z przodu, na wzgórzu, obracały się skrzydła ogromnej turbiny wiatrowej. Nieco niżej stała nowoczesna blaszana szopa. Tom przypuszczał, że znajdują się w niej generatory. Dalej widać było starą stodołę z bramą zabita deskami.

– Jesteście pewni, że tu przyszedł?

– Przeszukaliśmy cały dom – odparł Lee.

– Z wyjątkiem tajemniczego wschodniego skrzydła – zauważyła Alex. – Było zamknięte.

Popatrzyli na budynek. Tom zauważył coś, czego wcześniej nie spostrzegł: wszystkie okiennice na górnym piętrze wschodniego skrzydła były zamknięte. Znowu poczuł pierwotny lęk.

– Pytaliście Harry’ego?

Lee się zawahał.

– Josh tak naprawdę nie ufa Harry’emu – odparł po chwili.

– Dlaczego?

– Na uniwersytecie odkrył, że Harry nie pochodzi z klas wyższych, tylko udaje arystokratę. Jego rodzice byli bogaci, ale historie o ziemiach i dziedzicach były podkoloryzowane.

Tom znowu przypomniał sobie książki kucharskie. „Dave i Lucy”.

– Jak mieli na imię rodzice Harry’ego? – spytał.

Alex zmarszczyła brwi.

– Chyba Julian i Annette. Dlaczego pytasz?

– Kiedy byłem w kuchni, znalazłem książkę kucharską z dedykacją: „Dla Lucy, z wyrazami miłości, Dave”. Rodzinną książkę kucharską. Zauważyliście białe plamy na ścianach?

– Tak – odparł Lee. – Jakby zdjęto z nich obrazy.

– A może fotografie? W domu nie ma fotografii Harry’ego ani nikogo innego. Nie widziałem żadnych zdjęć.

– Sugerujesz, że ten dwór nie należy do Harry’ego? – spytała Alex.

– A skoro tak, to gdzie są właściciele? – dodał Tom.

– I gdzie jest Josh? – wtrącił Lee.

Popatrzyli na budynek, a później w drugą stronę, w kierunku starej, wielkiej stodoły.

– Nie zaglądaliśmy tylko do dwóch miejsc – rzekł Tom. – Wschodnie skrzydło jest zamknięte. Chodźmy do stodoły.

Poszli wśród wysokiej trawy w stronę zniszczonej budowli, oświetlając latarkami wąską ścieżkę. Turbina obracająca się w górze zagłuszała wszystkie dźwięki. Nagle Tom poczuł zapach, a właściwie smród. Intensywny, mdlący, metaliczny. Kiedy zbliżyli się do bramy stodoły, przybrał na sile.

– Jezu! – Alex zasłoniła usta wiatrówką. – Za żadne skarby tam nie wejść!

Tom popatrzył na Lee, który pozieleniał, lecz stanowczo skinął głową. Tom otworzył wierzeje.

W środku panował mrok, normalny mrok. Usiłował oddychać przez usta, ale smród dławił mu gardło; miał ochotę zwymiotować. Lee zasłonił dolną część twarzy rękawem swetra. Świecili wokół latarkami. Rdzewiejące maszyny,

przegniłe belki, spleśniała słoma, a z przodu źródło fetoru. Dwa martwe, rozkładające się konie pokryte masą wijących się białych czerwi żywiących się zgniłym mięsem.

– O kurwa!

Lee się odwrócił i szybko zwymiotował. Tom zdołał się powstrzymać, ale miał przeczucie, że tylko na pewien czas. Ostrożnie obszedł martwe zwierzęta, starając się nie nastąpić na rozkładające się ciała ani wypływające z nich płyny. Na końcu stodoły znajdowały się dwa boksy. Zbliżył się do nich, czując narastający lęk. Lee się wyprostował i poszedł za Tomem. Cmokał z niesmakiem.

Tom zajrzał do pierwszego boks. Dwa gnijące zwierzęta pokryte czarnym i brązowym futrem. Domyślił się, że to psy należące wcześniej do właścicieli dworu. Cofnął się. Ogarnęło go przerażenie; miał wrażenie, że jego ręce i nogi są odlane z ołowiu. Konie, psy... Pozostał jeszcze jeden boks. Obrócił się powoli i poświecił do środka latarką. Cofnął się i zachwiał. Tym razem żołądek nie wytrzymał. Zwymiotował biszkopty i taniego szampana. Rzygowiny padły na gnijącą słomę.

Usłyszał za sobą ruch i odwrócił się, łapiąc oddech.

– Nie wchodź tam.

Lee popatrzył na niego oczami w czerwonych obwódkach.

– Nie...

Tom pokręcił głową.

– Chyba znalazłem Dave’a i Lucy. – Przełknął gorzką żółć, żałując, że nie może wymazać z pamięci tego, co zobaczył. – I ich dzieci.

W domu płonęły światła. Kiedy weszli do Wielkiej Sieni, Tom usłyszał muzykę klasyczną dochodzącą z jadalni. Cała trójka popatrzyła na siebie.

– Uważam, że powinniśmy natychmiast wyjechać – powiedział Tom.

– Nie mogę – odparł Lee. – Muszę znaleźć Josha.

– Poza tym Harry musi otworzyć elektryczną bramę – dodała Alex.

– Czyżbym słyszał swoje imię?

Odwrócili się. Harry wszedł do Wielkiej Sieni, ubrany w strój wieczorowy, z jasnymi włosami opadającymi na ramiona. Uśmiechnął się.

– Nie przebraliście się na kolację? Dlaczego?

Lee popatrzył na niego.

– Gdzie jest Josh?

– Josh? Nie mam pojęcia. Myślałem, że z wami.

– Nie – powiedziała Alex. – Szukaliśmy go.

– Poszliśmy do stodoły – wtrącił Tom.

– Ach... – Harry przestał się uśmiechać. Skinął głową. – Okej. Posłuchajcie, zaraz wszystko wyjaśnię...

– W stodole są rozkładające się zwłoki, Harry! – rzucił Tom podniesionym, gniewnym głosem. – Można się domyślać, że to ciała rodziny, która wcześniej mieszkała w tym domu. Jak to wytłumaczysz? Postanowiłeś zostać właścicielem dworu, więc ich wszystkich zamordowałeś?!

Harry wybałuszył oczy.

– Jezu, nie! Chryste! – Przesunął dłonią po włosach. – Okej, mogłem opisywać swoją przeszłość nieco zbyt barwnie. I rzeczywiście, niedawno zmieniłem miejsce zamieszkania. Ale kiedy tu przyjechałem, posiadłość była pusta. Znalazłem zwłoki w stodole. Zastrzelili konie, dzieci i siebie. Byli martwi. Co miałem zrobić?

– Nie przyszło ci do głowy ich pochować? – spytał chłodno Lee.

– Masz rację. Tak, powinienem ich pochować, lecz nie potrafiłem ich dotknąć. To było straszne... – Westchnął. – Posłuchajcie. Popełniłem błąd, ale niech nam to nie rujnuje wieczoru.

Tom zaśmiał się sucho.

– Rzeczywiście, dlaczego kilka rozkładających się trupów miałoby rujnować nam wieczór?

Harry spojrzał na niego ostro.

– Czasy się zmieniły, Tom. Nie mów, że to pierwsze zwłoki, które widziałeś. Nie mów, że nie musiałeś podejmować trudnych decyzji, by dbać o siebie i bliskich. To samo odnosi się do was wszystkich.

Tom chciał odpowiedzieć, ale nie mógł. Lee i Alex nie patrzyli mu w oczy. Harry skinął głową.

– Dostrzegłem okazję i skorzystałem z niej, nim zrobili to inni. Każdy chce przeżyć. Usiądźmy do kolacji i porozmawiajmy o tym jak dorośli ludzie, dobrze? Mam propozycję, którą chciałbym z wami przedyskutować. Michael, Amanda, Millie czekają w jadalni...

– Millie?! – Tom ruszył w jego stronę z zaciśniętymi pięściami. – Jeśli skrzywdziłeś Millie...

Harry uniósł ręce.

– Daj spokój, na litość boską! Znalazłem ją błakającą się po korytarzach na piętrze. Szukała cię. Była wytrącona z równowagi, więc zaproponowałem, by zeszła na dół i czekała na ciebie razem z nami. Myślałem, że jej szukasz.

Toma paliły policzki. Czuł gniew i wstyd. Nie powinien zostawiać Millie samej. Nie tutaj. Nie w tym domu.

Harry odwrócił się w stronę Lee.

– Nie wiem, gdzie jest Josh, ale wydawał się bardzo pijany. Alex, pamiętasz, jak na uniwerku poszedł gdzieś po przyjęciu i następnego popołudnia znaleźliśmy go śpiącego w środku ronda?

Alex z ociąganiem kiwnęła głową.

– Tak, pamiętam.

– Proszę, posłuchajcie, co chcę powiedzieć, a potem, jeśli dalej będziecie chcieli wyjechać, otworzę bramę i możecie ruszać – rzekł Harry.

Tom uśmiechnął się blado.

– Cóż za wspaniałomyślna propozycja! Żadnych warunków wstępnych.

– Mamy jakiś wybór? – spytał Lee.

Harry wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

– Chyba nie.

Stół był nakryty świeżym białym obrusem. Lśniły kryształowe kieliszki. W górze błyszczał kryształowy żyrandol, chociaż Tom z przyjemnością zauważył, że obok znajduje się duża odbarwiona plama. Strop był popękany i lekko wybrzuszony. Dwór nie był już w takim dobrym stanie jak kiedyś.

Amanda i Michael siedzieli na końcu stołu: Michael w garniturze, a Amanda owinięta czymś w rodzaju wzorzystej zasłony. Obok nich zajmowała miejsce Millie w błyszczącej sukience, którą wkładała na przyjęcia. Kupili ją, bo małe dziewczynki, nawet niewidome, uwielbiają cekiny. Tom poczuł przyływ wzruszenia.

„Nie mów, że nie musiałeś podejmować trudnych decyzji, by dbać o siebie i bliskich”.

– Millie!

– Tato!

Odsunęła krzesło i podbiegła do niego.

– Obudziłam się i nie było cię w pokoju.

– Wiem, przepraszam. Ale już wróciłem. Nic się nie stało.

– Miło, że przyszliście – rzekła chłodno Amanda.

– Pójdziemy do siebie – powiedział Tom.

– Och, nie bądź taki nietowarzyski – odezwał się Harry. – Chodź, nalej sobie drinka.

Goście odsunęli krzesło i usiedli na nich sztywno. Tom zajął miejsce obok Millie.

– Co się dzieje, tato?

– Myślę, że niedługo się dowiemy, kochanie.

Lee nalał sobie duży kieliszek wina i podał butelkę Tomowi, który zawahał się i też sobie nalał. Alex wyciągnęła kieliszek. Napełnił go lekko drżącą ręką. Na biały obrus spadło kilka czerwonych kropeł.

Harry dobrodusznie spoglądał na stół. Uniósł kieliszek.

– Przede wszystkim chciałbym wznieść toast.

Alex przewróciła oczami.

– Na litość boską!

– Za Niesławną Piątkę, która wreszcie znowu się spotkała! Za nasze przyszłe przygody!

Amanda uniosła kieliszek, po niej Michael. Tom, Alex i Lee patrzyli na Harry'ego, ale nie unieśli kieliszków.

Jeśli Harry był rozczarowany brakiem entuzjazmu, w ogóle tego nie okazał. W dalszym ciągu mówił jak przedstawiciel handlowy na pokazie.

– Okej, muszę coś wyznać. Zaprosiłem was dzisiaj, mając ukryty cel... Zaprosiłem was do tego pięknego dworu, do pięknych wnętrz, gdzie macie swobodę i jesteście wolni od kłopotów. – Rozejrzał się wokół stołu. Na jego twarzy malował się wyćwiczony wyraz szczeroci. – Ten gmach to dla nas okazja. Możemy stworzyć azyl. Nie tylko dla siebie, lecz również dla innych, którzy chcieliby się do nas przyłączyć.

– Co sugerujesz? Coś w rodzaju sekty, z tobą jako nieomylnym przywódcą? – spytał Lee.

Harry'emu rozbłysły oczy.

– Niezupełnie. Azyl ma swoją cenę.

„Właśnie o to chodzi” – pomyślał Tom.

– Chcesz, żeby ludzie płacili za pobyt?

– Naturalnie. Rozejrzyjcie się. Mamy ziemię, ogromny dom. Jesteśmy bezpieczni, samowystarczalni. Możemy rozbudować posiadłość. Myślę o drugiej turbinie wiatrowej, basenach wewnątrz budynku, spa. Ludzie mogliby się u nas chronić przed horrorami miast. Bezpieczne miejsce, azyl. Właśnie tak zamierzam to nazwać: „Azyl”.

– Jesteś szalony – mruknął Tom. – Dlaczego sądzisz, że ktoś przyjedzie?

– Wy przyjechaliście.

– Kto zbuduje te cuda? – spytał Lee. – Kto będzie prowadził twój azyl? Ty?

– Właśnie do tego jesteście mi potrzebni. Lee i Josh mają doświadczenie w marketingu. Mogą wykorzystać media społecznościowe. Alex, z jej doświadczeniem architektonicznym, pomoże w przebudowie dworu. Michael i Amanda, cóż, zaproponowali zainwestowanie znacznej kwoty.

Wszyscy spojrzeli na Michaela i Amandę.

– Wiedzieliście o tym wcześniej? – spytał Tom.



Michael spuścił wzrok. Amanda patrzyła Tomowi prosto w oczy.

– Tak, kontaktowaliśmy się z Harrym przed przyjazdem i uważamy to za znakomity pomysł. Warto go zrealizować.

– Rzeczywiście, ktoś wreszcie powinien skomercjalizować koniec świata – zauważył sucho Lee.

– Czy pieniądze i dobra nie stają się bezużyteczne w chwili końca świata? – spytał Tom.

– Tylko dla przegranych – odparła Amanda. – Zawsze są ludzie, którzy przeżyją apokalipsę i potrafią z niej skorzystać. Ci, którzy mają pieniądze, ziemię. Zdobędziemy władzę.

– A to, co jest na zewnątrz? W mroku? Nad tym też chcecie mieć władzę?

– Jesteśmy tu bezpieczni, jak powiedział Harry.

Tom prychnął.

– Jasne. Jak rodzina w stodole. Czy Harry o niej wspomniał? To poprzedni mieszkańcy tego dworu. Czuli się bezpiecznie, a później zabili siebie i dzieci.

Tom czekał, by na twarzach Michaela i Amandy pojawił się wyraz przerażenia, dezorientacji i szoku. Nie pojawiły się. Wpatrywali się w serwetki. Nagle wszystko zrozumiał.

– Wiedzieliście o tym – rzekł beznamiętnie. – Wiedzieliście i mieliście to w dupie.

– Byli martwi – powiedziała Amanda.

– Jezu!

– Nie osądzaj mnie, Tom. Ty też tu przyjechałeś. Ze swoją córką. Nawet o nas nie myślałeś.

– Amanda ma rację – dodał Michael. – Nie udawajmy, że chcieliśmy po prostu spotkać się po latach. Jestem pewien, że większość z nas wolałaby się nie oglądać. Wszyscy przyjechaliśmy tutaj, żeby przed czymś uciec, prawda?

Tom sięgnął po wino. Na stole pojawiła się kolejna czerwona plama. Zmarszczył brwi. Kolor był nieco jaśniejszy.

Lee odsunął krzesło.

– Zamierzam znaleźć Josha. Potem wyjedziemy.

Następna plama. Później kolejna. To nie wino.

– O kurwa! – zakląła Alex, gdy jedna z kropelek spadła na stół obok niej. – Czy to... krew?

Wszyscy spojrzeli do góry. Na suficie znajdowała się ciemna plama. Pojawiło się na niej więcej kropeł, które spadły na stół w dole.

Lee zbladł.

– O Boże...

– Co jest na górze, Harry? – spytał spokojnie Tom.

Harry wypił łyk wina.

– Wschodnie skrzydło. Kiedyś były tam pokoje dzieci. Naprawdę nie radziłbym wam tam wchodzić.

Tom chwycił go za ramię i postawił na nogi.

– Pokaż nam. Natychmiast!

Wspięli się po schodach. Harry prowadził, z tyłu szli Lee, Alex, Michael i Amanda. Tom podążał na końcu, mocno trzymając Millie za rękę.

– Stój z tyłu, bądź ostrożna. Pamiętasz, co ci powiedziałem?

Kiwnęła głową.

– Tak, tato.

– O co w tym wszystkim chodzi, Harry? – prychnęła Amanda. – Mówiłeś, że wschodnie skrzydło to magazyn.

– Owszem. Po prostu nie wspominałem, co się w nim znajduje. – Harry westchnął. – Powiedziałem, że ogrodzenia bronią wstępu na teren posiadłości. To prawda. Ale w czasie przerw w dostawach prądu generator włącza się dopiero po minucie. Chyba tak to się stało.

– Kiedy co się stało? – spytał Michael.

Dotarli do pierwszego piętra. Drzwi wschodniego skrzydła były uchylone. W środku panowała groźna ciemność. Dobiegały z niej hałasy. Ciche, wilgotne mlaskanie.

– Kiedy co się stało? – powtórzył Michael.

Harry pokręcił głową.

– Ta cholerna bestia dostała się do środka. Nie mam pojęcia, jak się jej pozbyć.

Jakby miał kłopoty ze szczurami albo myszami.

– Jest tam jedna z tych istot? – spytał Tom.

– Tak przypuszczam. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki się nie wprowadziłem, a potem było już za późno. Oczywiście, nie mogę jej wypuścić, więc próbowałem ją uwięzić. Nie wiem, co dalej robić. Chodzi o jedzenie. Woli świeże, rozumiecie.

– Jezu! – wykrzyknął Tom. – Karmisz ją?

– Zacząłem od bezpiecznych psów. Później czasem na drogach pojawiali się włóczędzy. – Harry włożył ręce do kieszeni i popatrzył na korytarz. – Naprawdę nie spodziewałem się, że Josh będzie następny. Szkoda. Musiał znaleźć zapasowy klucz.

– Chryste, nie! – Lee ruszył do przodu. Tom położył mu dłoń na ramieniu. – Nie rób tego. Widziałeś krew. Już za późno.

– Nie zostawię go tam. Z tym potworem.

– Lee...

Lee wyrwał rękę i podszedł do drzwi. Otworzył je. Ukazał się ciemny korytarz. Odgłosy ohydneho mlaskania stały się głośniejsze. Lee zapalił latarkę i wszedł do środka.

– Zamknij drzwi – powiedziała Amanda.

– Gdy jest w środku?

– Jeśli chce popełnić samobójstwo, to jego sprawa.

– LEE! – zawołał Tom.

Było za późno. Kiedy Lee przestąpił próg, cienie zafalowały. Do przodu wystrzeliły czarne macki i owinięły się wokół jego ciała. Lee usiłował się obrócić, upuścił latarkę, zmagął się z mackami, chciał uciec. Nie miał żadnych szans. Macki owinięły się wokół jego szyi i zaciskały coraz mocniej. Rozległ się trzask, który przypominał Tomowi chwilę, gdy przejechał gołębia na szosie. Głowa Lee wyleciała w powietrze jak korek od szampana.

– Zamknijcie drzwi! – wrzasnęła Amanda.

Tym razem Tom spełnił polecenie. Pobiegł do przodu i zatrzasnął drzwi. Na ziemię upadło coś srebrzystego. Klucz. Chwycił go i wsunął do zamka. Za drzwiami, na korytarzu, rozlegało się mlaskanie. Bestia pożerała Lee. Nie mogła się powstrzymać, była tylko zwierzęciem. Próbowwała przeżyć, jak wszyscy. Mimo to Tom poczuł mdłości. Odwrócił się w stronę znajomych. Wydawali się wstrząśnięci, byli w szoku, z wyjątkiem Harry'ego, który stał z rękami w kieszeniach. Miał skruszoną minę, lecz zachowywał spokój. Tom z trudem powstrzymał się od uderzenia go pięścią w twarz, by zmieniła się w krwawą miazgę.

– Co ty właściwie zrobiłeś, do cholery?!

– Przykro mi. To nie powinno się zdarzyć.

– Jasne. Co miało się twoim zdaniem zdarzyć?

– To po prostu niewielka komplikacja...

– Niewielka komplikacja?! – prychnął Michael. – To... to wszystko rujnuje. Jak możemy stworzyć azyl, gdy w domu jest ta bestia?!

– Posłuchajcie mnie – rzekł Harry. – Mówiłem, że zaprosiłem was z konkretnego powodu.

– Konkretnego powodu?! – spytał Tom. – Żebyśmy też zostali pożarci?

– Niezupełnie. – Harry spojrzał chłodno na Toma. – Nie zastanawialiście się, dlaczego was zaprosiłem? W końcu nigdy nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Nigdy nie utrzymywaliśmy bliższych kontaktów.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparł Tom.

Mimo to czuł, że powinno go obchodzić. Harry zrobił krok w jego stronę.

– Wiedziałem, że Millie jest niewidoma, Tom. Zebrałem o was dokładne informacje.

Tom poczuł ściskanie w żołądku.

– Dużo czytałem o tym, że niewidomi rozumieją mrok i istoty, które w niej żyją. Zwłaszcza ludzie, którzy urodzili się ślepi. Są najmocniej związani z ciemnością.

– Mówiłem ci, że to bzdury. Histeria. Przesady i panikarstwo.

– Doprawdy? – Harry uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Millie chodziła do szkoły podstawowej w Elmwood. Szkoła chciała się jej pozbyć dla własnego bezpieczeństwa. Nie wyraziłeś na to zgody. Szkołę zaatakowało kilka istot, gdy dzieci przebywały na boisku. Przeżyła tylko Millie. Nic się jej nie stało.

– Miała szczęście.

– Nie wierzę w szczęście. Uważam, że Millie może nas uratować.

– Zwariowałeś.

– Jeśli porozumie się z tą istotą i skłoni ją do wyjścia, będziemy bezpieczni.

Tom zerknął na Amandę i Michaela.

– Nie wierzycie w te bajeczki, prawda?

Michael bezradnie pokręcił głową.

– Zostawiliśmy wszystko. Harry obiecał, że zaczniemy od nowa. Spokój, bezpieczeństwo. Jaki mamy wybór?

– Nie pozwolę wam wykorzystywać Millie jako królika doświadczalnego. Wyjeżdżamy.

Poczuł na szyi zimne dotknięcie metalu.

– Nie, nie wyjeżdżacie.

Tom obrócił głowę. Obok niego stała Alex, trzymała w ręku niewielki pistolet. Zamarło w nim serce.

– Co obiecał ci?

Wzruszyła ramionami.

– Jak powiedział Harry, wszyscy robiliśmy różne rzeczy, żeby przeżyć. Myślisz, że tylko ty miałeś kłopoty? Wiesz, jak trudno jest żyć samotnej kobiecie? Mężczyźni szybko tracą ludzkie oblicze. Zależy mi na bezpieczeństwie.

Tom nagle coś zrozumiał.

– Wcześniej powiedziałaś, że drzwi do wschodniego skrzydła są ciągle zamknięte. Przecież to niemożliwe, skoro Josh jest w środku. Wiedziałaś, że tam wszedł.

– Josh nie powinien węszyć. Sam jest sobie winny.

– Cóż za współczujące podejście...

– Praktyczne. Wygląda na to, że jesteśmy w trudnej sytuacji, a jeśli ty i Millie pomożecie nam z niej wybrnąć, wszyscy na tym skorzystają.

– Proszę, Alex! – rzekł błagalnie Tom. – Millie to wszystko, co mam!

– Wszyscy musimy być gotowi do poświęceń.

– Nikt nie zamierza poświęcać Millie – powiedział Harry. – Chcemy po prostu, żeby nam pomogła.

– Jesteście jak banda przerażonych chłopów chcących spalić czarownicę, żeby uratować resztę wioski – odparł Tom. – Nie pozwolę wam skrzywdzić córki.

– Świetnie. – Alex odwiodła kurek pistoletu. Tom zeszywniał.

Nagle rozległ się cichy głos:

– Wszystko w porządku, tato. – Millie puściła jego rękę i zrobiła krok do przodu. – Zrobię to.

Popatrzył na nią ze łzami w oczach.

– Wykluczone.

– Wiem, co zrobić.

– To niebezpieczne.

– Dam sobie radę.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Dobra dziewczyna – rzekł Harry.

Tom popatrzył na niego.

– Pamiętaj, sam o to proszę.

– Zawsze dostaję to, o co proszę.

– Och, za chwilę dostaniesz. – Tom się uśmiechnął. – Millie, zdejmij okulary.

*Trwało to kilka sekund. Tak samo jak w szkole. A także w innych chwilach, gdy było to konieczne.*

*Ludzie myślą, że rozumieją mrok, ale wcale go nie rozumieją. Nikt nie wie, jak ciemność zamieszkała w Millie. Od pierwszego dnia po katastrofie. Jeszcze przed pojawieniem się istot. Wypełniała ją. Przemawiała do niej. Chroniła i dawała siłę.*

*Ale potrzebowała pożywienia.*

Oczy Millie się powiększały, zmieniły w ogromne czarne kule. Mrok gęstniał, wirował, aż wreszcie oczy eksplodowały. Wystrzeliła z nich ciemność, popłynęła do przodu, otoczyła Harry'ego, Michaela i Amandę. Działo się to tak szybko, że nawet nie zdążyli krzyknąć.

Ścisnęła ich, pieściła jak palce kochanka, badała miękkie ciała, wnikała przez wilgotne szczeliny do ich najgłębszych części, a później, jakby niezadowolona z tego, co znalazła, rozerwała gospodarzy na strzępy jak zgniłe owoce. Rozpadli się na kawałki; szczątki ich ciał upadły na podłogę.

Alex próbowała uciec, lecz wijące się macki wystrzeliły do przodu. Owinęły się wokół jej stóp i pociągnęły ją do tyłu. Kolejne chwyciły ją za ramiona; płynęła rozkrzyżowana w powietrzu. Pistolet wypadł jej z dłoni, w oczach pojawiła się trwoga.

– Tom, proszę! Pomóż mi!

Popatrzył na nią ze smutkiem.

– Chciałbym ci pomóc, ale nie mogę.

– Błagam, Tom! Wiem, że ciągle ci na mnie zależy!

– Tak, ale... wszyscy musimy być gotowi do poświęceń.

Rozległa się seria wilgotnych chrząstów, gdy macki odrywały jej ręce i nogi. Pozbawiony kończyn tors upadł na podłogę. Przez chwilę poruszała głową na boki, przeraźliwie rycząc, dławiąc się krwią. Później macki objęły jej głowę, oderwały ją od ciała i niedbale przerzuciły nad poręczą schodów.

– Wystarczy, Millie – powiedział Tom.

Ciemność powoli się cofnęła, wsączając się do jej umysłu. Millie mrugnęła kilka razy, jakby wpadła jej do oka rzęsa. Później znowu założyła okulary.

Tom patrzył na to, co pozostało z przyjaciół. „Spotkania po latach” – pomyślał. Zawsze pojawiają się kłopoty.

– Dobrze się spisałam?

Tom podciągnął kołdrę i otulił córkę.

– Świetnie, kochanie.

– Ci ludzie byli źli.

– Tak. Postąpiliśmy słusznie.

– Jak z mamą.

Westchnął.

– Mama nie rozumiała twojego talentu. Nie mogliśmy pozwolić, żeby cię zabrała.

– A moi koledzy ze szkoły?

– Nie powinni ci dokuczać, przezywać.

– A inni ludzie?

– Rozmawialiśmy o tym. Czasami, jeśli ludzie nie chcą pomóc, trzeba wyrzucić im krzywdę.

Millie ziewnęła.

– Jestem zmęczona.

– Mamy za sobą długi dzień. Powinnaś się przespać. Gotowa?

Położyła głowę na poduszce, zdjęła okulary, a Tom zręcznie umieścił na jej oczach opaskę do snu i mocno ją przymocował.

– Zostaniemy tu? – spytała sennie.

Tom się zastanawiał, myślał o domu, posiadłości. Harry miał rację. Dwór był piękny, bezpieczny. Ludzie musieliby płacić za przyjazd. A jeśli czasem ktoś zniknie... no cóż, nic nie jest doskonałe. Nawet Mary Poppins.

– Tak. – Pocałował ją w czoło. – Chyba tak.

# Powielarnia

## WSTĘP

**M**ożemy skopiować prawie wszystko – głosiła odrapana reklama przed drukarnią.

„Wszystko? – pomyślałam, przejeżdżając obok. – Ciekawe”.

Zanim podpisałam pierwszą umowę wydawniczą, zarabiałam na życie, wyprowadzając psy na spacer. Wspominałam już o tym. Często o tym piszę, bo moim zdaniem warto pamiętać, że nie trzeba pracować w mediach albo mieć dyplomu renomowanej uczelni, by zostać pisarzem. Nie uzyskałam nawet rozszerzonej matury.

W wolnych chwilach, by uzupełnić skromne dochody, pisałam opowiadania dla tygodnika kobiecego. Nie mogły mieć więcej niż dwa tysiące słów i musiały mieć niespodziewane zakończenie. Jeśli zostały przyjęte do druku, czasopismo płaciło około trzystu funtów – w owym czasie była to dla mnie ogromna kwota. Trzeba pamiętać, że trzysta funtów było ekwiwalentem trzydziestu godzin wyprowadzania psów na spacer, czyli całego tygodnia pracy.

Kiedy przyjęto do druku moje pierwsze opowiadanie, byłam w siódmym niebie – nie tylko dlatego, że mogłam pokryć debet na koncie bankowym. Po raz pierwszy wydrukowano napisane przeze mnie opowiadanie. Ktoś zapłacił mi prawdziwe pieniądze za coś, co stworzyłam. Kiedy czyjeś teksty są ciągle odrzucane, takie niewielkie sukcesy mają duże znaczenie. W końcu udowodniłam, że coś potrafię!

Oczywiście czasopismo nie przyjmowało każdego opowiadania. Niektóre moje pomysły były zbyt dziwaczne dla jego czytelników.

*Powielarnia* to jeden z odrzuconych tekstów.

Inspiracją była stara, zniszczona drukarnia i jej odważny slogan reklamowy. To opowieść o zbitym wazonie, nieudanym małżeństwie i problemie: czy kopia może być równie dobra jak oryginał?

Zdecydujcie sami.



Zaczęło się przez przypadek, jak wiele rzeczy.

Jeden niezręczny ruch ściereczką do odkurzenia i mój ulubiony wazon spadł na podłogę. Rozbił się na drobne kawałki.

Niezbyt ładny wazon, niezbyt cenny, ale prezent od nieżyjącej drogiej przyjaciółki.

– I tak był brzydki – powiedział Alan, kiedy starannie zgarniałam szczotką odłamki na śmietniczkę. – Nie wiem, dlaczego dawno się go nie pozbyłaś.

Popatrzyłam na niego, gdy przeczłapał obok mnie w dziurawych kapciach i poplamionej koszuli, znowu z rozpiętym rozporkiem.

– Ani ja – mruknęłam.

– Słucham? – spytał.

Pokręciłam głową.

– Nic.

Nie wyrzuciłam wazonu. Skleiłam go, źle, niefachowo, a później postawiłam na szafce pod telewizor. Gdzie Alan mógł na niego patrzeć co wieczór.

– Ojej, co się stało z twoim wazonem?

Melinda jest wyjątkowo spostrzegawcza. To moja sąsiadka. Idealna sąsiadka, idealny dom, idealny mąż, idealne włosy, idealna figura. Często wpraszała się na kawę. Zwykle, by wytykać mi liczne braki.

– Rozbiłam go – odpowiedziałam.

– No cóż, nie możesz kupić nowego?

– Zrobiła go przyjaciółka. Nie da się go zastąpić.

Melinda zmarszczyła brwi.

– Powinnaś coś z tym zrobić, kochanie. Wygląda koszmarnie.

Dobra stara Melinda. Tępa jak nóż do masła. Zerknęłam na sklejonny wazon. Miała rację. Po naprawie nie wyglądał ładnie. Alan zawsze powtarzał, że jestem zbyt sentymentalna. Trzymam rzeczy, których powinnam się pozbyć.

– Może go wyrzucić?

– O nie, nie ma potrzeby.

Melinda otworzyła torebkę. Zawsze miała przy sobie torebkę. Zwykle dużą. Zawsze drogą. Wyjęła wizytówkę i wręczyła mi.

– Zadzwoń do nich.

Popatrzyłam z ciekawością na wizytówkę.

– Powielarnia? Zakład zajmujący się konserwacją dzieł sztuki?

– Raczej... tworzą reprodukcje.

– Sama nie wiem. Kopia? To nie byłby ten sam wazon.

Położyła na moim ramieniu dłoń z paznokciami pomalowanymi na jaskrawoczerwony kolor.

– Zaufaj mi, Fran. Wiele razy korzystałam z ich usług. Są fantastyczni.

Zastanawiałam się.

– Wazon byłby taki sam jak oryginał?

– Lepszy niż oryginał.

Stałam przed powielarnią. Rozbitą wazon, owinięty gazetami, znajdował się w torbie.

Cholerna Melinda. Nie chciałam tu przychodzić. Powielarnia znajdowała się w przeciwnej części miasta, co oznaczało jazdę dwoma autobusami i długi spacer. Ale Melinda potrafiła być niewiarygodnie przekonująca. Gdybym nie skorzystała z jej rady, nigdy nie przestałaby o tym mówić.

Z westchnieniem otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Za ladą stała ładna blondynka mająca nie więcej niż dwadzieścia lat.

– Dzień dobry! Czym mogę służyć?

– Dzień dobry. Chciałabym... eee... wykonać kopię tego wazonu.

Wyjęłam wazon z torby i postawiłam na ladzie. Dziewczyna zerknęła na niego i powiedziała rzeczowo:

– Przyprowadzę szefa.

Wyszła na zaplecze i po chwili pojawił się mężczyzna. Niski, schludny, z lśniąco łysą głową i przenikliwymi błękitnymi oczami.

Wziął wazon i obrócił go w czystych, gładkich dłoniach.

– Tak, myślę, że naprawdę moglibyśmy wykonać lepszą wersję. – Popatrzył na mnie. – Jest cenny?

– Ma wartość sentymentalną.

– To najważniejsze. – Uśmiechnął się. – Gdyby go pani zostawiła, byłby gotowy na jutro.

– Tak szybko?

– Jesteśmy dumni z szybkiego tempa pracy.

– Rozumiem.

– Ale jest jeszcze jedna sprawa.

„Zawsze jest jakiś kruczek”.

– Tak?

– Obawiam się, że nie będziemy mogli zwrócić oryginału. Czy to jakiś kłopot?

Zastanawiałam się przez chwilę. Wazon i tak był zniszczony.

– Nie, raczej nie.

– Spóźniłaś się – rzekł gderliwie Alan, gdy wróciłam do domu tuż po piątej trzydziści.

– Cóż, uciekł mi autobus, a potem stałam w korku... – Urwałam i pociągnęłam nosem. – Co to za zapach?

– Kot nasrał w kuchni.

Zdjęłam płaszcz przeciwdeszczowy i powiesiłam na wieszaku.

– Dlaczego nie posprzątałaś?

– To twój kot. Wiele razy ci mówiłem, że już dawno powinnaś go uspić.

Powstrzymałam ripostę, która cisnęła mi się na wargi, i pomaszerowałam do kuchni. Zobaczyłam obok zlewu dużą kałużę rzadkiej kupy. Biegunka. Marvin leżał w koszu. Miał nieszczęśliwą minę.

– Och, Marv... – Ostrożnie przeszłam przez kuchnię i przykucnęłam obok niego. – To nie twoja wina.

Pogłaskałam go po głowie. Zamruczał, przynajmniej próbował. Jego mruczenie przypominało dźwięk starej, zniszczonej grzechotki. Miał szesnaście lat. Był stary, a do tego chory. Chorował na nerki, prawie oślepl. Sierść, niegdyś lśniąca i miękka, była teraz brzydka i zmierzwiona.

Alan miał rację. Może lepiej go uspić, dla jego własnego dobra? Jednak nie byłam w stanie znieść tej myśli. Marvin był stary i schorowany, ale czy nie można tego powiedzieć o nas wszystkich?

Wstałam.

– Posprzątam to – powiedziałam na tyle głośno, by Alan mnie usłyszał.

– Gdybyś była tak łaskawa...

Gdybym była tak łaskawa. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio pomagał mi w domu, choć był już na emeryturze i miał mnóstwo czasu. Wolał siedzieć przed telewizorem albo wymykać się do pubu.

Kiedyś było inaczej. Robiliśmy wszystko razem. Byliśmy dla siebie całym światem. Nie mieliśmy wyboru. Nigdy nie mogłam mieć dzieci. Może na tym polegał problem? Gdzieś po drodze zdaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy tylko my, na zawsze. Bez licznej rodziny, którą można odwiedzać, wnucząt ożywiających długie lata emerytury. Miłość i śmiech zniknęły. Nasze siły życiowe się wyczerpały. Nigdy nie są nieograniczone.

Wytałam kałużę chusteczkami, schowałam je do plastikowego worka i wrzuciłam do kosza na śmieci.

– Co jest na kolację?! – zawołał Alan.

Zerknęłam z wściekłością na drzwi salonu.

– Tuńczyk.

Następnego ranka wróciłam do powielarni. Za ladą stała ta sama ładna dziewczyna.

– Witam! – powiedziała wesoło. Kiedy jesteśmy młodzi, świat wydaje się wesoły; dopiero później ciemnieje wskutek rozczarowań i żalu.

– Przyszłam odebrać wazon – rzekłam.

– Zaraz go przyniosę.

Zniknęła na zapleczu i po kilku sekundach pojawiła się z kartonowym pudełkiem. Rozwinęłam bibułkę i wyjęłam wazon.

Melinda miała rację. Był wspaniały. Wyglądał jak nowy. Kolory, każdy szczegół, każde pociągnięcie pędzlem takie samo jak oryginał. Jeszcze lepsze. Wcześniej wydawał się tym, czym był: dziełem utalentowanego amatora. Teraz... no cóż, wyglądał pięknie.

– Jest... zdumiewający.

– Bardzo się cieszymy, że pani tak uważa.

Obróciłam wazon w dłoniach. Wydawał się trochę inny. Cięższy. Masywniejszy.

– Dziękuję.

– Gdyby chciała pani jeszcze coś skopiować, proszę to do nas przynieść.

– Z pewnością to zrobię. – Wyjęłam portmonetkę. – Ile mam zapłacić?

Wazon nie wyglądał już dobrze na szafce pod telewizor. Postawiłam go z powrotem na kominku, ale żywe kolory sprawiały, że reszta dekoracji salonu wydawała się wyblakła i ponura.

Próbowałam stawiać wazon na parapecie, na półce z książkami, na kredensie. Przez cały następny tydzień zmieniałam miejsca, ale żadne z nich nie pasowało do nowej, ulepszonej wersji.

– Daj temu spokój – mruknął Alan.

– Chcę znaleźć dobre miejsce – odpowiedziałam.

Odchrząknął i włożył płaszcz.

– Idę do pubu Pod Smokiem.

– Świetnie.

– Kot znowu nabrudził w kuchni.

– Och, zaraz się tym zajmę.

Po wyjściu Alana stałam przez chwilę w bezruchu, patrząc na wazon. Nie miałam ochoty iść do kuchni. Nie chciałam patrzeć na dowody degrengolady Marvina. Było z nim coraz gorzej. W głębi duszy przeczuwałam, że będzie jeszcze gorzej.

Z ciężkim sercem sięgnęłam po słuchawkę telefonu. Rozległ się dzwonek do drzwi. Uratował Marvinowi życie. Wyszłam do holu.

Zobaczyłam przez matową szybę znajomą mgielkę jasnych włosów. Melinda. Otworzyłam drzwi i wpuściłam ją do domu.

– Fran, po prostu pomyślałam, że wpadnę... – Minęła mnie i weszła do salonu. Zauważyła wazon i rozbliły jej oczy. – Widzę, że skorzystałaś z mojej rady!

– Tak.

Podeszła i popatrzyła na wazon.

– Och, dobra robota, prawda?

– Tak, wygląda wspaniale.

Pociągnęła nosem.

– Co to za zapach?

Zerknęłam w stronę kuchni.

– Marvin. Ma biegunkę. Alan uważa, że powinnam go uśpić.

– O nie, kochanie...

Poczułam, że do oczu napływają mi łzy.

– Wiem, że jest stary, ale nie mogę znieść myśli, że mogłabym go na zawsze stracić.

– Rozumiem. Miałam ten sam problem z Lady Chatterley.

Lady Chatterley była pięknym białym persem Melindy. Nie wyglądała na starego kota, lecz okaz zdrowia. Polowała na myszy, wdrapywała się na płoty.

Melinda zauważyła moje zdziwione spojrzenie.

– Mam na myśli oryginalną Lady Chatterley.

– Oryginalną? Nie rozumiem.

Uśmiechnęłam się.

– Zdradzę ci swoją małą tajemnicę, kochanie...

Jasnowłosa asystentka się rozpromieniła.

– Wraca do nas pani tak szybko?

Zarumieniłam się. Było to głupie. Zwariowane. Nie wiem, dlaczego się na to zgodziłam. Przypisywałam to zdenerwowaniu stanem Marvina. Poza tym Melinda potrafi być bardzo, ale to bardzo przekonująca.

– Moja... eee... przyjaciółka Melinda powiedziała, że mogą mi państwo pomóc w sprawie kota.

Myślałam, że blondynka uniesie brwi, roześmieje się albo wezwie mężczyzn w białych kitlach, lecz cały czas się uśmiechała.

– Przyprowadzę kierownika.

Pojawił się ten sam niski, schludny mężczyzna. Wyjął Marvina z przenośnej klatki. Nie lubi, gdy dotykają go obcy, ale tym razem na szczęście nie

protestował.

– Mój Boże... – rzekł kierownik, oglądając go krytycznym okiem. – Ma już najlepsze lata za sobą, prawda?

– Tak sędzę – odpowiedziałam ze smutkiem.

– Proszę się nie martwić. Na pewno możemy pomóc.

– Mogą państwo?

– Proszę go u nas zostawić i wrócić za dwa dni.

Zawahałam się.

– Wyzdrowieje?

– Naturalnie.

– To znaczy będzie tym samym starym Marvinem?

Zmarszczył brwi.

– Jeśli rzeczywiście pani chce, żeby był jak nowy.

Popatrzyłam na Marvina, leżącego bezwładnie na rękach kierownika. Jego oczy pokrywała biaława zaćma.

– Tak – odpowiedziałam. – Chyba tak.

Marvin Wzór Numer Dwa – tak go nazywałam – był idealny. Wzór kociego zdrowia. Lśniąca sierść, błyszczące ślepia, a nawet dawne basowe mruczenie.

Oczywiście pojawiło się kilka negatywnych skutków ubocznych.

Częściej wymykał się z domu. Zapomniałam, że kiedyś to robił. Przyzwyczaiałam się, że wieczorami drzemie na moich kolanach. Teraz nocą zniknął na okolicznych polach i polował.

Zapomniałam również o jego morderczych skłonnościach. Musiałam wynosić z domu bezgłowe ptaki i myszy, czasem jeszcze żywe, które chowały się, zakrwawione i ranne, za lodówką albo kuchenką.

Mimo to się cieszyłam, że znowu jest zdrowy i w dobrej formie. A przynajmniej to sobie wmawiałam, wrzucając do kosza kolejną bezgłową mysz.

Alan prawie nie zauważył zmiany. Powiedziałam mu, że zawiozłam Marvina do weterynarza, który zapisał mu nowe lekarstwo.

– Więc będę musiał go znosić przez kilka kolejnych lat! – prychnął.

Beknął i wrócił do lektury gazety. Myślę, że właśnie wtedy podjęłam decyzję.

Przyczyną nigdy nie jest jedno wydarzenie, prawda? To suma drobnych. Niewielkie pęknięcia, zadrapania i odpryski, których nie da się naprawić ani skleić. Wszystko się psuje. Nigdy nie będzie takie jak oryginał.

Musiałam przekonywać Alana, żeby ze mną poszedł. W końcu użyłam podstęp. Powiedziałam mu, że to niespodzianka z okazji rocznicy naszego

ślubu. Oczywiście gderał. Ale w końcu niechętnie się zgodził.

Resztą zajęła się blondynka.

– Proszę za mną, sir – powiedziała i zaprowadziła go na zaplecze.

Rozbłysły mu oczy.

– Z przyjemnością.

Zapomniałam wspomnieć, że Alan ma słabość do kobiet. Popatrzyłam na niskiego łysego kierownika.

– O tak. – Uśmiechnął się. – Na pewno coś ulepszymy.

Alan wygląda w tej chwili znacznie lepiej. Schudł, jest w dobrej formie. Zaczął się elegancko ubierać. Któregoś dnia nawet przyniósł mi kwiaty.

Oczywiście inni też to zauważyli. Zwłaszcza kobiety. Zawsze myślałam, że wyglądam dobrze jak na swój wiek, ale w porównaniu z Alanem Numer Dwa wydaję się trochę zmęczona, podstarzała. Jakbym miała najlepsze chwile za sobą.

Może właśnie dlatego zaczęłam dziś rano pisać list do Alana.

„Wyjeżdżam na kilka dni. Nie martw się. Kiedy wrócę, będę jak nowa. – Przerwałam na chwilę pisanie. – A nawet lepsza”.

# Pył

## WSTĘP

Uwielbiam hotele o niesamowitej aurze.

Duszne sale, archaiczne, zgrzytliwe windy. Rzędy tajemniczych, zamkniętych drzwi. Nieskończony labirynt korytarzy bez okien. Winę ponosi *Lśnienie*.

Na początku 2022 roku po raz pierwszy od trzech lat wyjechałam z mężem i córką za granicę. Poleciliśmy na wyspę Gran Canaria. Hotel, w którym się zatrzymaliśmy, był piękny, ale niezwykły, zbudowany w stylu sławnego siedemnastowiecznego kościoła z Wysp Kanaryjskich. Lobby miało ogromną kopułę z wysokimi kolumnami i żyrandolami. Było w nim coś gotyckiego. Białe wieże i ogromne łukowate okna. Połączenie Wieży Grozy w Disneylandzie i Hotelu California z piosenki grupy The Eagles.

„Super” – pomyślałam.

– Ma pani szczęście, że nie odwiedzili nas państwo w zeszłym tygodniu – powiedziała recepcjonistka, gdy załatwialiśmy formalności. – Była ogromna burza piaskowa. Kalima.

– Co to takiego? – spytałam.

– Chmura pyłu. Wiatr przynosi piasek z Sahary. Niebo staje się pomarańczowe.

„Ciekawe” – pomyślałam.

Gdzieś w połowie naszego pobytu, gdy wylegiwaliśmy się na leżakach – dzień był bezwietrzny, niebo idealnie niebieskie – moja córka spytała:

– Kiedy wyjeżdżamy, mamo?

Ma osiem lat. Wiek, gdy czas staje się coraz ważniejszy. Jak długo można się bawić? Kiedy trzeba będzie robić kolejne nudne rzeczy?

Uśmiechnęłam się i powiedziałam:

– Możemy się wyprowadzić w każdej chwili, ale nie wolno nam wyjechać.

Przewróciła oczami. Ośmiolatka naśladująca piętnastolatkę.

– Jesteś naprawdę dziwna, mamo.



W samolocie lecącym do kraju ciągle myślałam o hotelu, czasie i pyle.  
Pojawił się pomysł na opowiadanie.

A zatem witajcie w Villa de las Almas Perdidas! Zostańcie, jak długo chcecie.  
To piękne miejsce.

Pył. Nadlatywał z Sahary i pokrywał wszystko, co znajdowało się w hotelu. Drobny, żółtobrazowy, wdzierał się przez żaluzje i źle dopasowane okna, osiadał wszędzie. Olivia czuła drobne ziarenka pod palcami nóg na terakotowej podłodze, czuła je w pościeli, choć pokojówka zmieniła ją zaledwie dziś rano.

Kalima, tak to nazywano. Ogromna chmura pyłu. Pojawiała się, gdy na pustyni panowało wysokie ciśnienie. Burza piaskowa zmniejszająca widoczność prawie do zera. Niebo przybierało pomarańczową barwę, a wulkaniczny krajobraz wyglądał jak z innej planety.

Nawet teraz, gdy burza minęła, niebo miało lekki brzoskwiniowy odcień, zwłaszcza o zachodzie słońca. Olivia miała wrażenie, że nie przebywa w innym kraju, lecz w innym świecie. W tej chwili właśnie tego potrzebowała. Ucieczki od rzeczywistości, by zapomnieć o swoim życiu.

Ale ten cholerny pył...

Zakasłała i otrzepała włosy, patrząc na siebie w lustrze. Dawniej mężczyźni zawsze mówili na ich temat komplementy – były długie, lśniące, kasztanowe. Teraz stały się suche i łamliwe, przetykane pasemkami siwizny. Pomyślała, że po pięćdziesiątym roku życia ciało powoli usycha, obumiera. Piersi stają się obwisłe, brzuch się powiększa, wzrok pogarsza.

Starzenie się sprawia, że stajemy się mniej widoczni, jakby okryła nas chmura pyłu. Kiedyś mężczyźni zerkali na Olivię z aprobatą, a teraz w ogóle jej nie zauważali – woleli patrzeć na młodsze, świeższe, atrakcyjniejsze kobiety. Spłowiła w burzy czasu, roztopiła się w tle. Nie była już odważna ani pełna energii. Stała się ledwo widocznym cieniem.

Pył miał jedną zaletę. Pokrywał lustro cienką warstwą, co zmiękczało odbicie rysów Olivii, które w ostatnich latach stały się ostre i surowe. W zakurzonej lustrze mogła uchodzić za czterdziestolatkę. A po kilku ginach za przedwcześnie postarzałą trzydziestopięciolatkę. Uśmiechnęła się z zaciśniętymi wargami. Może to tylko złudzenie, ale czy zostało jej coś oprócz złudzeń?

Odwróciła się, przeszła przez pokój i stanęła na balkonie. Wzięła gin z tonikiem i wypła duży łyk. Trunek był ciepły; krawędź kieliszka pokrywał pył. Olivii to nie przeszkadzało. Wypła wszystko.

Villa de las Almas Perdidas była najstarszym hotelem na wyspie. Zbudowano go przed pięćdziesięciu laty, naśladując architekturę słynnych siedemnastowiecznych kościołów. Był ciągle piękny, lecz – podobnie jak Olivia – miał za sobą okres świetności.

Wielki główny hol, kilka skrzydeł i trzy baseny; wokół rozciągał się ogromny ogród ozdobiony urnami i rzeźbami stylizowanymi na rzymskie. Damy w powłóczystych szatach, fontanny z posągami półnagich cherubinów z dzbankami, z których spływała woda. Dziwaczne, może trochę tandetne, ale patyna czasu w połączeniu z brązowym pyłem nadawały im aurę starożytności.

Właśnie dlatego wybrała ten hotel. Z powodu jego dziwnej atmosfery, wieku. W przewodnikach turystycznych przyznawano mu zaledwie dwie albo trzy gwiazdki; pisano, że jest podniszczony, że odwiedzają go tylko starzy ludzie, którym nie przeszkadza brak życia towarzyskiego, rozrywek i wygód.

Olivii to nie przeszkadzało. Było to dla niej idealne schronienie. Znajdowała się daleko od ludzi. Nie pamiętała, że jest zapomniana i samotna. Przebywanie wśród nieznanomych ma wiele zalet. Kiedy nie wiadomo, kim jesteś, nikt nie może cię zranić ani porzucić.

Jak Gabriel. Historia równie stara jak Villa de las Almas Perdidas. Albo kościół, na którym wzorowano hotel. Kochała Gabriela całym sercem, namiętnie; marzyła, że będą mieć dzieci i razem się zestarzeją. Gabriel uważał ją za przelotną miłostkę. Był starszy i miał dzieci z poprzedniego związku. Nie chciał nowych. Okazało się również, że nie zamierza brać ślubu. Ani dochowywać wierności. Olivia nie była kobietą jego życia, a tylko tymczasową zabawką, nim pojawi się ładniejsza i oczywiście młodsza.

O kurwa... Przymknęła sobie, że nie będzie myśleć o Gabrielu, zawsze swobodnym, z długimi włosami i kilkunastym zarostem. Prawdopodobnie od początku był dla niej za dobry, zbyt charyzmatyczny, zbyt przystojny. Och, w młodości również była pełna uroku. Miała zgrabną figurę, długie ciemne loki, które wyglądały atrakcyjnie w odpowiednim oświetleniu.

Brakowało jej czegoś, co przekształca urodę w seksowność. Próbowwała, lecz z wiekiem przychodzi znużenie. Nie była piękna w sposób naturalny; w niektóre dni wymagało to cholernego wysiłku. W końcu się poddała. Przestała o sobie dbać, straciła Gabriela.

„Zapłacił za to”.

Wzdrygnęła się. Usłyszała szept niesiony wiatrem. Rozejrzała się. Stała obok głównego basenu, choć nie pamiętała, by opuszczała pokój i wychodziła do ogrodu. Okolice basenu były puste, z wyjątkiem pary starych ludzi leżących na leżakach. Ich pomarszczone brązowe ciała przypominały zasuszone kasztany. Trudno było się zorientować, czy żyją, czy są martwi, ale ich widok coś jej przypominał. Rodziców siedzących na leżakach na plaży. W Anglii, nad oceanem. Jeździli co najwyżej do Skegness. Byli oszczędni, zgromadzili mnóstwo pieniędzy. Po odziedziczeniu ich majątku natychmiast wykupiła wakacje za granicą.

Pokręciła głową. Dlaczego myśli o rodzicach, przeszłości? Ostatnio często się to zdarzało. Po Gabrielu i dzieciach. Właśnie dlatego tu przyjechała. Aby zapomnieć. Odwróciła się i odeszła od pary starców. Ruszyła ścieżką w stronę innego, bardziej ustronnego basenu. Wolała to miejsce. Przychodziło tu mniej ludzi, by pływać albo się opalać, bo basen nie był ogrzewany i znajdował się w cieniu rosnących wokół drzew.

Cień nie przeszkadzał Olivii. Ostre słońce szkodziło jej bladej skórze. Nie opalała się na ładny brązowy kolor – jej ciało stawało się czerwone. Poza tym, oczywiście, słońce postarza. Czy wszystkie miłe rzeczy nie postarzają? Słońce, alkohol, tłuste potrawy, życie. Schowaj się w ciemnej szafie, a pozostaniesz na zawsze piękna i wolna od zmarszczek.

Usiadła na jednym z leżaków. Zaskrzypiał. Tkanina była lekko zbutwiała na krawędziach. Położyła na leżaku obok książkę, podniszczoną powieść Shirley Jackson, i postawiła drinka na stoliku. Nagle znieruchomiała. Coś się zmieniło. Nie była sama.

Po drugiej stronie basenu stało nad wodą dwoje dzieci. Mniej więcej pięcio- albo sześćoletnich. Dziewczynka miała jasne warkoczyki, a chłopiec ciemne, zmierzwione kędziory. „Wyglądają dziwnie” – pomyślała. Wydawało się, że dziewczynka jest ubrana w białą koszulę nocną, a chłopiec w bezrękawnik i spodnie od piżamy. Przed chwilą wstali z łóżka – po czwartej po południu? Ale co może wiedzieć o sekretnych zwyczajach dzieci? Jednak chłopiec i dziewczynka wydawali się znajomi. Może widziała ich wcześniej w hotelu?

Patrzyła, jak chłopiec wsuwa stopę do wody. Skrzywił się ostentacyjnie, jakby chciał powiedzieć: „Brr!”, i cofnął się o krok. Dziewczynka zrobiła to samo. Plusk, chichot, plusk, chichot. Olivia poczuła przypływ irytacji. Wiedziała, że dzieci się bawią, ale to miejsce należało do niej, chciała się odprężyć w swojej małej oazie. Na tyłach hotelu znajdował się doskonały brodzik dla dzieci. Dlaczego przyszły tutaj, by zawracać jej głowę?

Wydawało się, że dziewczynka poczuła na sobie wzrok Olivii, bo nagle uniosła oczy. Były jasnoniebieskie, kontrastowały z bledością twarzy. Otworzyła je szeroko i trąciła łokciem brata, który podążył za jej wzrokiem.

Olivia usiłowała uprzejmie się uśmiechnąć.

– Cześć! – powiedziała.

Dzieci dalej patrzyły na nią okrągłymi oczami.

– Powinniście uważać nad basenem.

Ciągle żadnej reakcji. Byli głusi czy tylko niegrzeczni?

– Gdzie są wasi rodzice?

Olivia wstała z leżaka. Chłopiec krzyknął. Wydał z siebie ohydny, wysoki dźwięk podobny do głosu zranionego zwierzęcia. Dziewczynka popatrzyła ze

złością na Olivie i objęła brata ręką.

– Zostaw nas w spokoju! – wrzasnęła. – Nie jesteś naszą mamusią!

– To prawda. Ja po prostu...

– Nie rób nam krzywdy. Dlaczego sobie nie pójdziesz?

Dziewczynka chwyciła brata za rękę i dzieci uciekły. Zniknęły wśród zieleni.

Olivia patrzyła za nimi wstrząśnięta. Co to było, do licha? Powiedziała tylko, że powinny uważać nad basenem. Nie była niemiła. Chciała je ostrzec przed niebezpieczeństwem. Tak naprawdę to ona powinna być zdenerwowana. Zakłóciły jej popołudnie. Nie powinny chodzić same. Ktoś powinien ich pilnować. Zajmować się nimi.

Znowu usiadła, nieco wytrącona z równowagi. Nie mogła się odprężyć. Opuścił ją spokój.

– Głupi smarkacze... – mruknęła.

Wypiła gin z tonikiem. Później wzięła książkę ze stroną zaznaczoną zagiętym rożkiem – zwyczaj, który zawsze doprowadzał Gabriela do szału. Nie znosił bałaganu. Uwielbiał idealny porządek. Jego dzieci musiały zawsze być ładnie ubrane i zachowywać się grzecznie. Rozpuścił je. Wydawał na ich ubrania więcej niż na Olivie.

Westchnęła, spoglądając na zagięty rożek. Był wielokrotnie składany. Musiała się interesować tą stroną. Zmarszczyła brwi i przewertowała resztę książki. Na ziemię spadł obłok brązowych drobinek. Między kartkami zebrał się pył.

Nie zauważyła dzieci po raz drugi. Nie widziała nikogo na terenie hotelu, chociaż za otaczającym go kamiennym murem dostrzegała głowy turystów chodzących promenadą. Czasem zastanawiała się, czy nie wybrać się na spacer brzegiem morza, lecz zawsze coś ją powstrzymywało.

Pozostała na terenie hotelu Villa de las Almas Perdidas. Po jakimś czasie usiadła na wielkim tarasie, na którym stały krzesła i stoliki z kutego żelaza. Zajęła miejsce w zwykłym miejscu, w cieniu drzewa pomarańczowego. Później odłożyła książkę i czekała. Chociaż była jedyną klientką, kelner pojawił się przy stoliku dopiero po kilku minutach.

Uniosła wzrok. Stał grzecznie w pobliżu. Miał przeszło sześćdziesiąt lat i był ubrany w kostium hotelu Almas Perdidas – granatowe spodnie i błękitną kamizelkę ze złotymi galonami. Jednak uniform wydawał się znoszony, kamizelka była pognieciona, w okolicy mankietów i kołnierzyka koszuli znajdowały się rdzawe plamy. Nawet skóra mężczyzny miała w sobie coś rdzawego, jakby w niezliczonych zmarszczkach utkwiał brud. Kiedy się

uśmiechnął, ukazały się zęby żółte jak pustynny pył. Pomyślała, że biedacy nie mają wyboru.

– Proszę duży gin z tonikiem – powiedziała.

Kiwnął głową.

– Już się robi, *señora*.

– *Gracias*.

Nie odchodził. Uśmiechnęła się uprzejmie.

– Podoba się pani u nas, *señora*? – spytał.

Czy jej się podoba? W gruncie rzeczy trudno powiedzieć.

– Tak, jest bardzo spokojnie – odparła.

Zaśmiał się. Dziwny, suchy dźwięk.

– Rzeczywiście, wszyscy nasi goście na początku tak myślą.

Wszyscy goście? Cóż, nie ma ich wielu. „Na początku?” Co to właściwie znaczy?

– Po jakimś czasie niektórzy czują, jakby przebywali tu zawsze, rozumie pani, co mam na myśli – ciągnął.

Olivia zaczynała mieć wrażenie, że przebywa w hotelu od zawsze. Kiedy dostanie tego przekłętą drinka? Gardło miała kompletnie wysuszone.

– Cóż, miło jest odpoczywać – powiedziała.

– Tak. – Znowu się zaśmiał. – Odpoczywać.

Odszedł, znowu śmiejąc się pod nosem, jakby powiedziała najzabawniejszy dowcip na świecie. Chryste, ci cholerni cudzoziemcy... Pomasażowała skronie i pomyślała, że powinna się odprężyć. Jest na wakacjach, nie ma żadnych kłopotów. Więc dlaczego czuje się taka wytrącona z równowagi? Może z powodu dzieci, a może samotność wywołuje lekką klaustrofobię? A może to po prostu upał i pył? Nawet teraz czuła pieczenie oczu i gardła. Naprawdę potrzebuje tego cholernego drinka.

Zamrugła. Na stole stał duży gin z tonikiem.

Nie zauważyła powrotu kelnera. Rozejrzała się. Taras ciągle był pusty. Bardziej niż pusty. Miał w sobie coś melancholijnego. Żadnych dźwięków oprócz cichego szumu wiatru. Cisza i... pustka.

„Nie” – pomyślała. To niewłaściwe słowo. To ona wybrała samotność, nie on. Gabriel już nie dyktuje warunków. Udowodniła mu to. Jemu, jego dziewczynie i bachorom.

Wzięła drinka i wypła duży łyk. Piła gin jak wodę i działał na nią tak samo jak woda. Zastanawiała się, czy obsługa hotelu nie rozwadnia drinków. A może wzrosła jej tolerancja na alkohol? Prawdopodobnie ostatnio pije trochę za dużo, lecz każdy ma swoje drobne grzeszki, prawda? Dobrze, że przynajmniej tonik jest dietetyczny.

Znowu przechyliła szklaneczkę. Na dnie zagrzechotał lód. Była pusta. Popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Nie mogła jej opróżnić. Wypiła tylko jeden łyk – rzeczywiście spory, ale przecież nie wszystko. Postawiła szklaneczkę na stole. Drżała jej ręka. Ogarnął ją lekki niepokój. Kiedyś czuła lęk, że traci zmysły. Gabriel często traktował ją jak wariatkę. Mówił, że jest nieźrównoważona, histeryczna, szalona.

Sąd orzekł, że była poczytalna.

Przypomniała sobie, że dziś jeszcze nic nie jadła. Prawdopodobnie trochę kręci jej się w głowie. Bufet otwierano o siódmej. Powinna się przebrać. Wstała, szorując krzesłem po kamieniach, i sięgnęła po książkę. Prawie cała była pokryta żółtawym pyłem. Starła go dłonią. Ukazała się okładka starej powieści Stephena Kinga. Zmarszczyła brwi. Szybko odepchnęła myśl, która przyszła jej do głowy. Wzięła książkę, wsunęła pod pachę i opuściła taras, szurając sandałami po brudnych kamieniach.

Zbliżał się zachód słońca. Słońce ciemniało, zmieniało barwę z bursztynowej na magentę. Obłoki pyłu wywoływały wrażenie, że słońce nieustannie zachodzi. Wieczny zmierzch.

Poszła ścieżką, obok ogrodu, w którym rosły wysokie draceny smocze, daktyłowce kanaryjskie i pinie. Stare drzewa, prawdopodobnie posadzone, gdy budowano hotel. Szum ich koron przypominał cichą rozmowę. Był także inny dźwięk. Innego rodzaju. Powolne, rytmiczne skrzypienie. Jak huśtawka na linie. Bachory Gabriela miały taką huśtawkę w ogrodzie. Jej skrzypienie doprowadzało Olivię do szału.

Nie zauważyła wcześniej huśtawki. Może ją przeoczyła? Wyglądało na to, że nie zwraca uwagi na wiele rzeczy. To zresztą nie jej sprawa. Jednak nieustanne skrzypienie działało jej na nerwy. Czy to te same dzieci, które widziała nad basenem? Może powinna iść i znowu im powiedzieć, że źle się zachowują?

Odwróciła się. Między drzewami biegła kręta ścieżka. Poszła nią. Ścieżka docierała do niewielkiego placyku z ławkami i fontanną, teraz wyschniętą. Była ozdobna, okrągła; w środku znajdowały się dwie rzeźby przedstawiające cherubiny z dzbanem, z którego niegdyś lała się woda. Chłopiec miał bujne loki opadające na plecy, a dziewczynka długie warkocze. Olivia wstrzymała oddech. To one. Dzieci znad basenu. Wyrzeźbione w kamieniu.

Przecież to niemożliwe. Ponosi ją wyobraźnia. Wypiła za dużo ginu. Nalewają duże porcje. Ale czy przed chwilą nie miała wrażenia, że ledwo czuła smak alkoholu? Może dostała porażenia słonecznego? Przecież słońce kryje się za chmurą pyłu. Co się z nią dzieje?! Ciągłe słyszała to przekłete skrzypienie. Stało się nawet głośniejsze. Co to takiego?!

Przeszła obok fontanny. Skrzypienie dobiegało z prawej. Skręciła w kolejną krętą ścieżkę. Nie pamiętała, że ogrody hotelu są takie ogromne, drzewa takie wysokie. W końcu dotarła do polany. Trawa porośnięta stokrotkami, a na wprost wielka sosna z konarami przypominającymi muskularne ramiona.

Do jednego z nich przywiązano dwie mocne liny. Kołysały się. Wisiały na nich powieszono za szyję dzieci znad basenu, chłopiec i dziewczynka.

– Nie!

Do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu. „Kołysz się, niebiański rydwanie”. Ta piosenka zawsze kojarzyła się Olivii z córką Gabriela – Charity. Syn nazywał się Max. Jak mogła o tym zapomnieć? Gabriel bez przerwy o nich gadał. Zawsze je rozpieszczał, kupował im prezenty. Były jego oczkiem w głowie. Należały do niego, nie do niej.

Zrobiła kolejny krok do przodu. Skrzypnięcie, skrzypnięcie...

Liny wrzynały im się w szyje. Nie udusiła ich liną, tylko torbami włożonymi na głowy, gdy spały. Gabriel był głupi i nie poprosił o zwrot klucza. Postąpił jeszcze głupiej, wychodząc z mieszkania, zostawiając bachory i lalunię. Rozprawiała się z lalunią nożem kuchennym.

Kiedy patrzyła, Max uniósł głowę. Wrzasnął tak jak wtedy, gdy się obudził, kiedy Olivia nad nim klęczała. Jego krzyki obudziły siostrę, która próbowała się bronić.

– Nie rób nam krzywdy! Daj nam spokój!

Charity okazała się odważna, lecz Olivia była większa i silniejsza. W końcu pokonała dzieci. Ułożyła je w piżamach na łóżku, by Gabriel znalazł je po powrocie.

Ale nie przyjechała tutaj wspominać, tylko zapomnieć.

Gabriel ją opuścił, a ona wyjechała na wakacje. Nic więcej. Nic więcej się nie zdarzyło. Czy to możliwe? Gdyby zrobiła coś tak strasznego, aresztowałyby ją policja i siedziałyby w więzieniu, a nie spędzała urlop na wyspie Gran Canaria spowitej chmurami pyłu. Nigdy nie pozwoliliby jej opuścić kraju. Czy mogłaby uciec? Czy mogłaby dalej żyć, gdyby była takim potworem?

Odwróciła się i szybko podążyła ścieżką. Pył. Wszędzie pełno pyłu... Prawie się dusiła. Kiedy dotarła do basenu, ciężko dyszała. Popatrzyła na hotel – lśniące białe wieże na tle pomarańczowego nieba. Villa de las Almas Perdidas. Taka ładna nazwa... Właśnie dlatego wybrała ten hotel. Więc dlaczego nagle dostała gęsiej skórki?

Przeszła przez patio i dotarła do bocznego wejścia do hotelu. Było tu chłodniej i ciemniej. Poczwała, że lżej oddycha. Stres, to wszystko. Stres wywołany odejściem Gabriela. Musi się czegoś napić. Mocny gin z tonikiem, zanieśie go do pokoju przed kolacją. A może nie powinna tego robić? I tak źle,



i tak niedobrze. Zachichotała histerycznie; miała suche, spierzchnięte usta. Oblizwała je i splunęła. Pył.

Słyszała dźwięki fortepianu dochodzące z odległego baru. Odwróciła się w tę stronę. Była pewna, że bar, w którym gra pianista, znajdował się wcześniej po lewej. Teraz po lewej był mur ze starymi fotografiami hotelu i jego pracowników. Dostrzegła po prawej dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do baru. Przeszła przez nie.

Sala była duża i panował w niej półmrok, choć drzwi na patio były otwarte. Na suficie wisały żyrandole. Stoliki z krzesłami obitymi aksamitem i wysokie skórzane stołki wzdłuż baru. Widziała fortepian, lecz nie mogła dostrzec pianisty.

Gości było niewiele. Przy dalekim stoliku siedziało starsze małżeństwo, które widziała nad basenem. W ciemnym rogu popijała wino młodsza kobieta.

Podeszła do baru.

– Dzień dobry.

Barman się odwrócił.

– Dobry wieczór, *señora*.

Kelner z tarasu. Pewnie pracuje na innej zmianie.

– Czym mogę pani służyć? – Uśmiechnął się, a przynajmniej obnażył żółte zęby o barwie masła. Jego ciemne oczy błyszczały.

– Proszę...

– Gin z tonikiem.

Przesunął szklankę po barze. Olivia spojrzała na nią. Świeżo przygotowany gin z tonikiem, z lodem i cytryną. Nie widziała, by go szykował, a drink nie stał na ladzie jeszcze sekundę wcześniej, była tego pewna.

– Coś się stało, *señora*?

– Nie wiem.

Potarła dłonią głowę, później gardło. Wydawało się obolałe.

– Och, dziś nie jestem sobą.

– Jest pani najzupełniej sobą, *señora*.

– Słucham?

Uśmiechnął się szerzej. Miał w sobie coś lubieżnego. Pochylił się nad barem. Olivia poczuła zapach stęchlizny podobny do smrodu zgniłych jaj.

– Jeszcze pani sobie nie przypomina, *señora*?

– Czego sobie nie przypominam? – odpowiedziała. Usiłowała mówić zirytowanym tonem, lecz zabrzmiało to słabo, lękliwie.

– Kim pani jest. Co pani zrobiła.

Olivia przełknęła ślinę i sięgnęła po szklankę, ale drink zniknął. Szklankę wypełniał żółtawy pył. Uniosła wzrok. Mocno biło jej serce.

– Kim jestem? Co zrobiłam?

– Niech pani sama zobaczy.

Olivia gwałtownie się obróciła. Stali za nią pozostali goście. Stłumiła krzyk. Starsze małżeństwo, które widziała siedzące na leżakach. Kobieta i mężczyzna nie byli już opaleni i pomarszczeni. Teraz ich ciała wypełniały gazy gnilne, skóra była zielonkawa i pokryta oślizgłymi wodorostami. Kiedy Olivia patrzyła, stary mężczyzna otworzył usta. Wypadła z nich ryba i pacnęła o podłogę.

– Pamięta pani swoich rodziców, prawda? – rzekł kelner. – Chciała pani zdobyć ich pieniądze, więc zaaranżowała pani wypadek samochodowy. Utopili się.

– Nie.

– A Jill?

Młoda kobieta się uśmiechnęła i uniosła kieliszek. Z ran na jej przedramionach sączyła się krew; powstały, gdy się broniła. Jej żółta koszula nocna była podziurawiona i zakrwawiona.

– Nowa dziewczyna Gabriela. Zadała jej pani dwadzieścia dziewięć ciosów nożem. Była w ciąży.

– Nie wiedziałam. – Olivia chwyciła się za głowę i cofnęła.

– Spotkała już pani dzieci, prawda?

– Nie. Jestem na urlopie. Jestem...

– ...gościem hotelu Villa de las Almas Perdidas. – Uśmiech kelnera zmienił się w grymas, w jego oczach płonęła groźba. – Zapomniała pani hiszpańskiego?

Nie. Zapomniała wszystkiego innego.

Villa de las Almas Perdidas.

Po hiszpańsku *villa* oznacza wioskę lub miasteczko. A *almas perdidas* oznacza...

Poczuła w żołądku chłodną pustkę.

– Zagubione dusze.

Kelner skinął głową.

– Jest pani naszym najstarszym gościem, *señora*. Od pięćdziesięciu lat. Dopóki nie przypomni sobie pani swoich grzechów, nigdy pani nie wyjedzie. – Podał jej zamaszystym gestem szklanekę. – Jeszcze jeden drink?

Olivia popatrzyła na niego.

– Pieprz się!

Odwróciła się i wybiegła z baru. Przeszła przez hol i wspięła się schodami do swojego pokoju. Wyjęła klucz z kieszeni szortów, przekręciła go w zamku i otworzyła drzwi.

Natychmiast poczuła ostry, metaliczny zapach. Krew. Pokój był zalany krwią. Zbryzgała ściany i wsiąkła w świeżą białą pościel, która stała się

ciemnoczerwona. Do wysokiego lustra na ścianie biegły krwawe ślady. Olivia podążyła za nimi i spojrzała na siebie w zakurzone zwierciadło.

Miała zakrwawione, poderżnięte gardło. Obie ręce były przecięte od nadgarstków do łokci. Na kafle kapały miarowo krople krwi.

Przyjechała tu, żeby zapomnieć.

„Dopóki nie przypomni sobie pani swoich grzechów, nigdy pani nie wyjedzie”.

Olivia nie chciała, nie zamierzała pamiętać. Wytrzymała pięćdziesiąt lat. Gdyby musiała, wytrzymałaby sto. Gabriel zawsze powtarzał, że jest uparta. Nie miał o niczym pojęcia.

Podeszła do zakrwawionego łóżka i położyła się.

Okiennice grzechotały, uderzane wiatrem. Pył. Kalima.

Chmury pyłu nadlatywały, gdy na pustyni panowało wysokie ciśnienie. Zaczynała się burza piaskowa, widoczność malała prawie do zera, niebo stawało się pomarańczowe. Wulkaniczny krajobraz przypominał obcy świat, inną planetę. Olivii właśnie na tym zależało. Chciała uciec przed rzeczywistością. Zapomnieć o swoim życiu.

Zamknęła oczy.

Niektóre dusze powinny pozostać zagubione.

„Ale ten cholerny pył...”

# Wyspa motyli

## WSTĘP

**W**wieku dwudziestu kilku lat pojechałam z dwiema najlepszymi przyjaciółkami na wakacje do Turcji.

Nie miałam pieniędzy i w gruncie rzeczy nie było mnie na to stać – musiałam pożyczyć z banku pięćset funtów, by sfinansować wyprawę. Byłam młoda i nieodpowiedzialna, chciałam spędzić dwa tygodnie na słońcu!

Na początku lat dziewięćdziesiątych kurort, do którego trafiliśmy – Ölüdeniz – nie był jeszcze skomercjalizowany. Znajdowała się tam fantastyczna plaża, spotkaliśmy tłumy młodych ludzi i podróżników, z którymi szybko się zaprzyjaźniłyśmy.

Robiliśmy mnóstwo fajnych rzeczy, a pod koniec pobytu nasza grupa postanowiła wynająć łódź i popłynąć do Doliny Motyli. Był to piękny rezerwat przyrody położony naprzeciwko Ölüdeniz, prawie dziewiczy. Żadnych budynków, barów ani restauracji. Dopiero niedawno udostępniono go turystom.

Zamierzaliśmy spędzić tam noc; następnego dnia miała przyplłynąć po nas łódź. W owych czasach Dolina Motyli była kompletnym pustkowiem. Żadnego hotelu, tylko prosta szopa, w której sprzedawano zimne napoje i papierosy. Obecnie co godzinę dopływają tam łodzie z turystami, ale wówczas panował całkowity spokój. Zostaliśmy sami.

Wzięliśmy śpiwory, jedzenie i mnóstwo alkoholu. O zachodzie słońca rozpaliliśmy ogromne ognisko, piliśmy i paliliśmy. Dwóch członków grupy było połykaczami ognia i zorganizowało zwariowany występ. Była to wspaniała, szalona noc. Nad ranem wpełzliśmy do śpiworów na plaży. Pamiętam, że kiedy zasypiałam, pomyślałam: „Co by się stało, gdyby łódź nigdy po nas nie przyplłynęła? Gdybyśmy utknęli na niewielkiej bezludnej wyspie?”.

Nadszedł następny dzień... i w końcu łódź przyplłynęła. Oczywiście. W owym czasie, opaleni, skacowani i niewyspani, chętnie wróciliśmy na stały ląd, by wziąć prysznic i się przebrać. Spędzenie jednej nocy jako rozbitek jest zabawne, ale to, co nowe, szybko się zużywa.

Wiele lat później sortowałam pudła ze starymi fotografiami i znalazłam kilka zdjęć z tej wycieczki. Znowu zaczęłam myśleć o Dolinie Motyli.

W tym czasie poproszono mnie o napisanie opowiadania do nowej antologii brytyjskiej. Wszystko się połączyło i rezultatem jest *Wyspa Motyli*.

To jedno z moich ulubionych opowiadań i pewnego dnia być może je rozbuduję i napiszę krótką powieść.

A teraz odprężcie się. Mam nadzieję, że wycieczka się wam spodoba.

**P**rawie każdy katastrofalny plan powstaje w barze nad kilkoma piwami. Koniec świata nie nadejdzie z hukiem ani skomleniem<sup>2</sup>. Zacznie się od słów: „Hej, słuchajcie, mam świetny pomysł. A może by tak...”, wymamrotanych nad butelką piwa marki Estrella.

Patrzę na Billa. Lubię go, tak samo jak każdego. Moją sympatię niewątpliwie pogłębia to, że zawsze ma pod ręką trawkę i nie dba o gotówkę. Właśnie dlatego nie daję mu fangi w nos.

– Idę się odlać – mówię.

– Nie, zaczekaj. – Bill pochyla się do przodu. – Posłuchaj mnie, stary.

Nie chcę słuchać Billa. Jak wspomniałem, lubię go, ale to pieprzony kretyń. Przede wszystkim jest Australijczykiem. Nie ma to nic wspólnego z jego inteligencją, ale utrudnia znoszenie jego głupoty. Przypisuję ją jego młodemu wiekowi, choć trudno określić wiek Billa. Twarz ma ogorzałą od lat spędzonych na słońcu i od spania na plażach; równie dobrze może mieć dwadzieścia jeden albo pięćdziesiąt pięć lat.

Trzeba przyznać, że jesteśmy dziwaczną zbieraniną. Na pierwszy rzut oka można by nas wziąć za turystów wędrujących z plecakami dokoła świata. Gdyby normalny świat ciągle istniał. Jeśli dobrze się przyjrzeć, można zauważyć podarte ubrania, których poszczególne części do siebie nie pasują. Zniszczone plecaki. Pistolety i noże noszone teraz otwarcie.

Przeżyliśmy. Tak naprawdę jesteśmy ludźmi, którzy ocaleli. Przypadkową zbieraniną włóczęgów; cudem znaleźliśmy się we właściwym czasie we właściwym miejscu. A może, ściśle biorąc, nie przebywaliśmy w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu? Nudzimy się, pijemy tequilę i jemy makaron smażony po tajsku. Zastanawiamy się, co dziś będzie niewłaściwym miejscem i gdzie jeszcze możemy iść.

– To prawdziwa okazja – mówi Bill.

– Już to słyszałem.

– Czytałeś kiedyś *Niebiańską plażę* Alexa Garlanda, stary?

– Tak, dawno temu. Pamiętam, że nie zakończyła się zbyt dobrze.

– Owszem, ale to coś innego. Rozejrzyj się. Popatrz na to, co nas otacza. Co mamy do stracenia? A jeśli ten gość mówi prawdę?

– Ogromny, kolosalny znak zapytania, kurwa.

– A jeśli?

Patrzy na mnie z uniesionymi brwiami. Ciągle nie daję mu w pysk. Moja powściągliwość jest godna podziwu.

– Słyszałem, że jakiś niesamowicie bogaty inwestor kupił przed laty wyspę i zmienił ją w rezerwat przyrody – mówię.

– Kochał motyle, stary.

– Słucham?

– Rezerwat motyli. Stąd nazwa Wyspa Motyli.

Patrzę na niego zaszokowany. Bill rozumie słowo „stąd”. Może go wcześniej nie doceniałem?

– W porządku, rezerwat motyli. Ale podobno właściciel bardzo się starał, żeby ludzie tacy jak my nigdy się tam nie dostali.

– Facet nie żyje. Kogo teraz obchodzą motyle?

– To prawda. Ale mnie bardzo obchodzą uzbrojeni strażnicy.

– Stary, kto marnowałby czas, pilnując motyli na bezludnej wyspie?

Ma rację. Punkt dla niego.

– Jak się tam dostaniemy?

– Znam gościa, który to załatwi.

Kolejne sławne słowa. „Znam gościa”. Zawsze jest jakiś gość. Jestem pewien, że doszło do końca świata, bo ktoś znał gościa, który to załatwił. A on wpadł na świetny pomysł nad butelką piwa marki Estrella.

Odsuwam krzesło.

– Przemyślę to.

Jestem w połowie drogi do toalet (oszczędzę wam opisu tego żalostnego przybytku z dziurą w podłodze) i przestaję myśleć o całej sprawie, gdy z mroku wychodzą dwie postacie.

Ja także znam gościa, który może coś załatwić. Niestety, nie jest to człowiek, z którym pije się piwo. Rozbije ci butelkę na głowie, a później wydlubie oczy szkłem. Nie, pomyłka. Płaci ludziom takim jak ci dwaj bandyci, żeby wydlubali komuś oczy.

– Kogo ja widzę? – Pierwszy bandzior uśmiecha się do mnie szeroko.

– Zdobędę forszę, przysięgam – mówię.

– Myślałem, że ją masz.

– Niedługo, obiecuję.

– Morze jest pełne topielców, którzy obiecywali.

– Mówię poważnie.

– Dobrze.

Kiwa głową w stronę drugiego bandziora, który chwyta mnie za głowę i uderza nią w mur. Czuję smak tynku i pęka mi ząb. W szczęce eksploduje ból. Drugi bandzior szarpie mnie za głowę i znowu wali nią w ścianę. Tym razem czuję, że ząb wypada, mąci mi się przed oczami. Drugi bandzior mnie puszcza i osuwam się na brudną podłogę.

– Żadnych numerów, sukinsynu.

Kopie mnie w zębra. Krzyczę i zwijam się w kłębek.

– Proszę... – mówię błagalnie. – Proszę, nie bijcie mnie!

– Żałosna kreatura, kurwa – mruczy drugi bandzior.

Wsuwam dłoń do buta i wyciągam pistolet. Odwracam się i strzelam drugiemu bandziorowi w kolano. Wyje i pada obok mnie na posadzkę. Strzelam mu w twarz. Pierwszy bandzior wyciąga pistolet, ale jestem szybszy. Strzelam mu dwa razy w brzuch i patrzę z satysfakcją, jak krew bryzga na ścianę za jego plecami. Pada ciężko na pierwszego bandziora.

Wstaję, muszę się odlać. Idę do toalety, sikam i ochlapuję sobie twarz wodą. Później przechodzę nad martwymi bandziorami i wracam do baru.

Nikt się nawet nie poruszył, nikt nie uniósł z ciekawością głowy. Tak to dzisiaj jest. Bill zwija skręta. Zerka na mnie z lekkim zainteresowaniem.

– Co się stało z twoim pyskiem?

Wypluwam resztki zęba do popielniczki pełnej niedopałków.

– Więc kiedy popłyniemy na Wyspę Motyli?

Słońce wznosi się nad horyzontem. Nasza trzynastka siedzi na dwóch odrapanych łodziach; poza tym są na nich dwaj podpici lokalsi, których wszyscy, z pewną dozą przesady, nazywają kapitanami. *El Capitán*. Pechowa trzynastka. Nie wierzę w przeznaczenie ani złe znaki, ale nie mam wątpliwości, że pijani kretyni mogą wpakować łódź na skały.

W mniejszej łodzi po mojej prawej stronie siedzi grupa pięciu mężczyzn w wieku dwudziestu kilku lat. Jest czwarta rano, a już wydają się pijani. A może są ciągle pijani po poprzedniej nocy? Zastanawiam się, gdzie Bill znalazł tych ludzi. Jeśli tylko na to nas stać, powinniśmy skapitulować przed karaluchami i przyznać, że są inteligentniejsze od nas.

Na naszej łodzi jest Bill, a także inny Australijczyk, Olly, facet z dzikim wzrokiem, wielkimi tatuażami, bandaną i nożem myśliwskim u pasa. Stale spodziewam się, że za chwilę powie jak weteran wojny w Wietnamie: „Nic nie wiesz, stary. Nigdy tam nie byłeś”. Obok niego siedzi para w średnim wieku w identycznych szortach koloru khaki, czarnych kamizelkach i masywnych butach turystycznych. Harold i Hilda. Tak przypuszczam. Tak naprawdę nie znam ich imion. Wyglądają, jakby się nazywali Harold i Hilda. Naprzeciwko nich siedzi starszy facet z krótko ostrzyżoną głową i długą siwą brodą; spokojnie czyta stary egzemplarz *Bastionu* Stephena Kinga w miękkiej oprawie. Teraz to raczej podręcznik przetrwania, a nie literatura. Na pokład wchodzi muskularna czarnoskóra kobieta z dreadami na głowie, a obok niej...



Odwracam się w stronę Billa.

– Co to za siksa, kurwa?

– Kto?

Wskazuję dziewczynkę towarzyszącą kobiecie.

– Co tu robi ta smarkula?

– Cóż, mamusia nie mogła jej zostawić.

– To nie wycieczka do jakiegoś zasranego Legolandu.

– Czego?

– Do kurwy nędzy.

Kobieta z dredami obrzuca mnie chłodnym wzrokiem.

– Coś ci się nie podoba?

– Po prostu uważam, że to nie wyprawa dla dziecka – mówię.

– Nie jestem dzieckiem – odzywa się dziewczynka. – Mam dwanaście lat.

– Mam T-shirty starsze od ciebie – odpowiadam.

Kobieta ogląda mnie od stóp do głów.

– Widzę.

– Twoja córka... – zwracam się do niej.

– To nie moja córka. Jej rodzice nie żyją. Zawsze podróżujemy razem.

– Potrzebujemy jej, stary – szepce Bill, kiwając głową w stronę kobiety.

– Dlaczego?

– To lekarka. Jeśli ktoś zachoruje...

– Przecież wszystkich sprawdziłeś?

– Nie o to chodzi, stary. Mówię o normalnych chorobach.

Ma rację. Patrzę na kobietę i dziewczynkę, po czym wydaję paczkę papierosów.

– Nazywam się Alison – mówi kobieta, uśmiechając się nieszczercze.

– Ładne, ale staroświeckie.

Zakłada nogę na nogę.

– Cóż, sympatyczny z ciebie typek.

Ignoruję ją i zapalam papierosa. Rozlega się warkot, gdy *El Capitán* uruchamia silnik.

Odpywamy. Tłum w drugiej łodzi wiwatuje. Wydmuchuję dym i zastanawiam się, czy nie wolałbym, żeby ktoś wydlubał mi oczy kawałkiem szkła. Ale jest już za późno.

W dzisiejszych czasach zawsze jest za późno.

Po czterdziestu minutach pojawia się wyspa. Poszarpany ciemny kształt w oddali. Jest górzysta, porośnięta dżunglą i otoczona białymi piaszczystymi

plażami. W dawnych czasach, gdy nie miałem jeszcze dwudziestu lat, było to popularne miejsce wycieczek. Można było wynająć łódź na głównej wyspie i zatrzymać się na dzień albo dwa. Turyści spali na plaży. Starano się, by pozostała dziewicza, ale niestety uległa komercjalizacji, co chyba było nieuniknione. Na plaży zbudowano bar, a później drewniane chaty dla ludzi, którzy nie lubią spać w śpiworach na piasku.

Później kupił ją zwariowany miliarder i zakazał wstępu. Było to w epoce, gdy na świecie działy się straszne rzeczy, więc moje wspomnienia z tego okresu są mętne. Grupy terrorystyczne dokonujące ataków bronią chemiczną i konwencjonalną, nowe ogniska wirusa Ebola: było tego trochę za dużo.

Dawne dobre czasy.

Patrzę na wyspę. Staje się coraz większa, wyraźniejsza. Morze, nieco burzliwe w tym rejonie, zaczyna się uspokajać, staje się bardziej przejrzyste. Widzę kilka czarnych obiektów unoszących się tuż pod powierzchnią wody. To nie korale, nie zwierzęta morskie. Jeden na krótko wynurza się po prawej stronie. Kula z kolcami. Nagle wszystko rozumiem. O kurwa...

– Wyłączyć silnik! – wołam.

*El Capitán* się odwraca.

– *Khuṇ phūd xari?*

– Miny. Wyłącz ten pieprzony silnik i rzuć kotwicę.

Spogląda na mnie szeroko otwartymi oczami, ale szybko spełnia polecenie.

– Miny? Tak powiedziałeś? – pyta Alison.

– Popatrz na wodę – odpowiadam, wskazując otaczające nas kolczaste kule.

– O kurwa, stary! – mruczy Bill. – Są wszędzie.

Zerkam na drugą łódź. Płynie z przodu, w pewnej odległości. Jedna z dziewczyn wsuwa dłoń do wody kilka centymetrów od miny. Otwieram usta, by ją ostrzec. Zamierzam krzyknąć.

Za późno.

Bum! Mina eksploduje. Niszczy łódź i zabija pasażerów. Przed chwilą żyli, a sekundę później zniknęli w pomarańczowym błysku, któremu towarzyszył ogłuszający huk. W niebo wzbiły się fragmenty ciała, kończyny i odłamki, po czym spadły na nas.

– Kryjcie się! – krzyczę. Padam na dno łodzi i chwytam się burty, gdy uderza w nią fala. Łódź gwałtownie się kołysze. Przez burtę przelewa się woda. Czuję, jak coś uderza mnie w głowę, i widzę, że to czyjś but ze stopą w środku. Wyrzucam go do wody.

Ktoś krzyczy. Łódź unosi się i opada, szarpie kotwicę. Leżę na wilgotnym dnie. Kołysanie stopniowo się uspokaja. Fale przestają uderzać z pluskiem w burtę. Ciągle unosimy się na wodzie. Powoli siadam. Wokół unoszą się

szczątki drugiej łodzi i pasażerów. Morze jest ciemne od krwi, pokryte plamami benzyny: fragmenty ciał, drewno, metal, plecaki.

Patrzę na Billa, skulonego obok mnie.

„Kto marnowałby czas, pilnując opuszczonej wyspy?”

Wydaje się zawstydzony.

– Nie wiedziałem, stary. Nie wiedziałem, że będą tu te pieprzone miny.

Mam ochotę dać mu w mordę, ale nie mogę tracić czasu i energii.

– Wszyscy cali? – pyta brodacz.

– Nic nam nie jest – odpowiada Alison i pomaga dziewczynce wstać.

– Wybuchły! Po prostu wybuchły! – Hilda histerycznie krzyczy do męża. – Dlaczego ktoś to zrobił?! Dlaczego?!

Nie jestem pewien, o co jej chodzi. Czy pyta, po co ktoś zostawił miny, czy dlaczego zabił pasażerów łodzi? Tak czy inaczej, to problem czysto akademicki.

Kapitan głądzi po tajsku.

– Nie – przerywam. – Nie dotykaj tego pieprzonego motoru.

– Jak się dostaniemy na wyspę? – pyta Alison.

– Nie możemy się dostać – odpowiada Hilda. – Musimy wracać.

– Nie – oponuję.

– Nie?

– Rozejrzyj się. Z tyłu jest tyle samo min jak z przodu. Mieliśmy po prostu szczęście.

– Cóż, musimy spróbować – mówi Harold. – Co jeszcze możemy zrobić?

– Popłynąć wpław, stary – mówi Olly.

– Wpław?! – odzywa się Harold. – Zwariowałeś?!

Przychodzi mi do głowy, że może być inteligentniejszy, niż sugerują tatuaże i bandana.

– Damy sobie radę – odzywam się. – Między minami jest mnóstwo miejsca dla ludzi, choć za mało dla łodzi.

– A nasze rzeczy? – pyta Hilda. – Ubrania, jedzenie, woda, telefony?

– Wątpię, czy na wyspie jest elektryczność, więc o świcie twój telefon i tak zdechnie.

A poza tym do kogo moglibyśmy dzwonić? Gdyby któryś z członków grupy miał przyjaciół albo rodzinę, nie byłoby go tutaj.

– Powinien tam być strumień – szczebiocze brodacz. – Świeża woda. Może zostało jakieś jedzenie w barze na plaży?

– Jeśli nie, możemy łowić ryby i polować. – Olly szczyrzy zęby. Znowu dochodzę do wniosku, że to maniak survivalu.

– Jesteście kompletnymi wariatami. – Harold kręci głową.

– Sami decydujcie – mówi spokojnie brodacz z baru, zdejmując klapki i wsadza pistolet za gumkę szortów. Idę za jego przykładem. Bill i Olly zdejmują buty sportowe. Alison patrzy na dziewczynkę.

– Myślisz, że zdołasz przepłynąć?

– Bez problemu.

Harold i Hilda wymieniają spojrzenia.

– Nie umiem pływać – mówi Hilda.

O kurwa...

– Wracamy – odzywa się Harold. – Kapitan może nas zabrać na ląd. – Odwraca się w stronę *El Capitána* i wyjmując portfel.

„Nie, nie rób tego” – myślę.

– Mamy forszę, widzisz? Mnóstwo forsy.

Harold uśmiecha się z nadzieją, machając banknotami. *El Capitán* odwzajemnia uśmiech, bierze pieniądze i chowa do kieszeni.

– *Khup kun krap.*

Później sięga pod koło sterowe i wyjmując pistolet półautomatyczny.

– Spieprzajcie z mojej łodzi.

– Co takiego? Przecież...

– Spieprzajcie z mojej łodzi, kurwa! Natychmiast.

Nie pytamy, dlaczego jego angielszczyzna tak nagle się poprawiła. Po kolei wchodzimy do wody.

– Przecież dałem panu pieniądze! – protestuje Harold.

*El Capitán* uderza go pistoletem w pierś. Harold wpada z chlupotem do morza.

– Proszę, proszę, nie umiem pływać! – krzyczy Hilda. – Utopię się! Nie mogę wejść do wody!

*El Capitán* kiwa głową.

– W porządku. Nie będziesz musiała pływać.

Trafia ją kilkoma kulami. Kobieta skręca się konwulsyjnie i pada na pokład, krwawiąc obficie.

– Lindo! – wrzeszczy Harold. Imię bardzo podobne do Hildy. Całkiem nieźle się domyśliłem.

Rozlega się warkot silnika. Łódź zatacza półokrąg, wywołując niewielką falę.

– Lindo!

– Nie żyje! – mówię. – Płyń.

Ruszam za pozostałymi, nie czekając, czy posłucha mojej rady. Posuwamy się do przodu spokojną żabką, ostrożnie omijamy miny. Pierwszy dociera do brzegu brodacz i wychodzi na plażę, ociekając wodą. Alison i dziewczynka idą za nim. Dotykam nogami dna i nagle słyszę huk.

Odwracam się. Na horyzoncie widać niewielki szaro-pomarańczowy grzyb.

– Cholera! – Bill wypluwa wodę. – Miałeś rację z tymi minami.

Nie wspominam, że do eksplozji doszło daleko od brzegu. *El Capitán* ominął miny. Łódź zniszczyło coś innego.

Suszemy ubrania na kłodach leżących na skraju plaży. Otrząsam wodę z pistoletu i z powrotem wsuwam go za taśmę szortów. Brodacz wyjął z kieszeni odrapaną komórkę i naciska guziki, marszcząc czoło. Od lat nie używam telefonu. Jak powiedziałem, nie mam do kogo dzwonić. Siedzimy na szerokiej, białej, piaszczystej plaży. Dalej, po prawej stronie, widzę bar, teraz zabity deskami. Chaty są w głębi dżungli.

– Proponuję, żebyśmy najpierw obejrzeni bar – mówi Alison. – Sprawdźmy, czy są tam jakieś zapasy nadające się do wykorzystania, woda w butelkach, jedzenie i tak dalej.

– Tak naprawdę najpierw powinniśmy się przedstawić – odzywa się brodacz. – Nazywam się Ray.

– Alison – odpowiada Alison. – A to Ellie.

– Bill – mówi Bill.

– Olly – dodaje Olly, ostrząc nóż na kłodzie.

Harold siedzi na drugim końcu, zatopiony w myślach. Nie zdjął mokrego ubrania i cały drży, choć świeci gorące poranne słońce. Szok. Trauma. Innymi słowy, pieprzone kłopoty, które nie są nam teraz potrzebne.

Zauważam, że wszyscy skupili uwagę na mnie.

– Bar, powiedzieliście? – Wstaję i ruszam plażą.

– Kutas – słyszę mruknięcie Alison.

Bill podbiega do mnie.

– Ale wyprawa, stary!

– Tak, widziałem łódź z pasażerami wysadzoną w powietrze, a teraz utknąłem na pieprzonej wyspie, zagrożony śmiercią z głodu i odwodnienia. Fantastyczna wyprawa!

– Czasem zachowujesz się naprawdę jak fiut, stary.

– Wiem.

Zerkam do tyłu. Alison idzie z Rayem i Ellie. Nie widzę Olly'ego.

– Gdzie jest Olly?

– Och, chyba poszedł obejrzyć chaty. I udawać Rambo.

Docieramy do baru. Na zewnątrz gnije kilka krzesel. Spłowiały, zniszczony szyld oferuje wybór piw i koktajli, chipsy, makaron i czekoladę.

– Ta wyspa chyba długo nie pozostała dziewicza – mówi Alison.

– Tak. – Uśmiecham się blado. – Jak ci się teraz podoba?

Odwraca się i otwiera kopniakiem drzwi.

– Na razie wstrzymuję się z oceną.

Patrzę na nią. Ray zerka na mnie i śmieje się cicho.

– Lubię ją.

W szopie panuje półmrok, słońce świeci przez dziury w dachu i szczeliny w ścianach. Czekam, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Czuję dziwny odór zgnilizny. Może zepsute mięso?

Po jednej stronie niewielkiego pomieszczenia piętrzy się stos stolików i krzeseł. Z przodu widać ladę. Stoją za nią przeszkłone chłodziarki, wyłączone, ale ciągle pełne piwa, wody i napojów. Nie umrzemy natychmiast wskutek odwodnienia. Możemy się także upić.

– Warto sprawdzić, czy na zapleczu jest jakieś jedzenie – mówi Ray.

Znika z Alison w magazynie. Ellie podchodzi do lodówek i wyjmuję butelkę wody. Sprawdza datę ważności, wzrusza ramionami, odkręca korek i wypija łyk.

– Starczy dla wszystkich, prawda? – mówię.

Uśmiecha się do mnie, znowu unosi butelkę i wypija kilka głębszych łyków. Prawie opróżnia butelkę. Ociera usta.

– Na pewno.

Zaczynam ją lubić. Odwracam się i rozglądam po barze. Ciągle niepokoi mnie dziwny fetor. Patrzę na stos stolików i foteli, podchodzę do niego. Moją uwagę zwraca coś widocznego na ścianie. Coś w rodzaju kolażu, mozaika błękitu i zieleni. Mural, a może skrawki papieru przyklejone do ściany? Podchodzę bliżej i widzę, że to coś innego. Motyle. Ogromne, błękitne i zielone. Dziesiątki. Są martwe. Przymocowane gwoździami, którymi przebito skrzydła i duże włochate odwłoki.

– Co to za gówno, stary? – Bill stoi koło mojego ramienia i patrzy na ścianę pokrytą ukrzyżowanymi owadami.

– Motyle.

– Myślałem, że to rezerwat przyrody.

– Wygląda na to, że ktoś postanowił zachować te motyle dla potomności w inny sposób.

Za naszymi plecami rozlegają się głucho kroki. Alison i Ray wychodzą z magazynu i stawiają na ladzie dwa duże pudła.

– Paczki chipsów, makaronu, sosy, czekolada – oznajmia Alison. – Do tego zapalki i zestaw do rozpalania ognia. Wystarczy na jakiś czas.

Znowu pociągam nosem.

– Czujecie to?

Ellie podchodzi i staje obok mnie.

– Pamiętam podobny smród. Nasz kot wlaźł pod werandę i zdechł. Znaleźliśmy go dopiero po dwóch tygodniach.

Znowu na nią patrzę. Jest twarda jak na dwunastolatkę. Ma rację. To fetor rozkładu. Na pewno nie chodzi o motyle.

Podchodzę do stosów plastikowych fotelików, po czym zaczynam je odkładać na bok.

– Co robisz? – pyta Alison.

– Spodziewam się wielu klientów.

– Bywają dni, kiedy nie jesteś kutasem?

– Rzadko.

Odkładam krzesła i odsuwam stoliki. Widać za nimi drzwi. Chyba dawniej znajdowała się tam toaleta. Odór staje się coraz silniejszy. Otwieram drzwi.

– O kurwa! – Bill odwraca się i rzyga.

– Cholera... – szepce Ellie.

Alison podbiega do niej i prowadzi ją na bok.

Ciało – albo to, co z niego zostało – przybito gwoździami do drzwi. Podobnie jak motyle. Tkwi tu od dawna. Większość tkanek miękkich zgniła, do kości przylegają nieliczne ścięgna. Na żółtej czaszce widać kępki ciemnych włosów. Trup ma na sobie koszulę i szorty, również przegniłe i poszarpane. Przypuszczam, że to mężczyzna.

– Co się z nim stało, jak sądzisz? – pyta Ray.

– Cóż, sam nie przybił się do drzwi.

– Więc na wyspie jest ktoś jeszcze?

– Mężczyzna albo kobieta. Morderca.

Ray marszczy brwi.

– Powinniśmy sprawdzić, co się dzieje z resztą.

Harold nie siedzi już na kłodzie. Patrzę w stronę morza, mając lekką nadzieję, że zobaczę jego martwe ciało unoszące się na falach. Ale nie. Cholera...

– Musimy obejrzeć chaty.

Dżungla jest gęsta, zarośla pełne ostrych gałęzi i kolców. Stąpam po nich gołymi stopami, doskonale zdając sobie sprawę, że możemy spotkać niebezpieczne węże i pająki. Od czasu do czasu nad naszymi głowami trzepocą błękitne i zielone skrzydła. Motyle. Przypominam sobie owady przybite do ściany. Dziwne... Co to za gówno...

Chaty znajdują się na niewielkiej polanie. W sumie sześć. Otaczają miejsce, w którym kiedyś palono ogień i prawdopodobnie organizowano grille.

Jednak ostatnio nie pieczono tutaj kiełbasek ani burgerów.

– Coraz lepiej i lepiej – mówi Alison.

– To czaszki?! – pyta Ellie.

Tak, czaszki. Pięć albo sześć, a do tego poczerńiałe kości. Podchodzimy bliżej. Patrzę na miejsce po ognisku. Biorę kij i poruszam spalone kości.

– Wygląda na to, że nasz morderca miał mnóstwo roboty – zauważa Ray.

Kręcę głową.

– Samotny zabójca nie mógłby zabić tylu ludzi.

– Zależy od tego, jak duży ma pistolet.

Alison kuca i patrzy na czaszki.

– Wydaje się, że zostały spalone w różnych momentach.

– Zabija wszystkich, których dopadnie, a potem po kolei pali.

W dalszym ciągu coś mi nie pasuje. Zastanawiam się, o co chodzi, gdy nagle rozlega się okrzyk Billa:

– Olly! Co się stało, stary?!

Wszyscy się odwracamy. Olly schodzi po stopniach z jednej z chat. Prawe ramię ma obandażowane podartą koszulką. Ciągłe obficie krwawi.

– Ktoś do mnie strzelił – mówi. – Spudłował. Nic wielkiego.

„Nic wielkiego”. Ray i ja wyciągamy broń, po czym kierujemy ją w stronę otaczającej dżungli. Nikt nie słyszał strzału. Może tłumik?

– Myślisz, że ciągle gdzieś jest? – pyta Ray.

Olly kręci głową.

– Nie sędzę. Wykończyłby mnie, prawda?

Rambo ma rację.

– Powinniśmy się stąd wydostać – mówię. – Mordercy strzelający do wszystkiego, co się rusza, spalone zwłoki... Nie czuję się tu dobrze.

– To nie koniec – mówi Olly.

Patrzę na niego. Uśmiecha się.

– Powinieneś zobaczyć, co jest z tyłu.

Krzyż mocno wbito w ziemię na niewielkim placu między chatami. Przywiązane do niego zwłoki przebywały w tym miejscu od dłuższego czasu, podobnie jak szczątki człowieka z baru. Tkanki miękkie zniknęły. Pozostały tylko kości, lśniące w blasku słońca.

– Ten facet musiał naprawdę kogoś wkurzyć – mówi Bill.

– To nie facet, tylko kobieta – odzywa się Alice. – Młoda kobieta, widać po szkielecie.

– Myślicie, że została zabita, a później przywiązana do krzyża? – pyta Ray.



W jego głosie brzmi cień nadziei. Rozumiem, o co mu chodzi. Mogła zostać przywiązana, lecz nie zabita. Może ktoś ją ukrzyżował, by zmarła? Może poddano ją torturom?

– Po co ktoś miałby to robić? – pyta Ellie. – Dlaczego zostawił ją na śmierć? W jakim celu?

W jakim celu? Nagle wszystko rozumiem. Jest to oczywiste.

– Złożono ją w ofierze – mówię.

– Co takiego?

– Nie zabito ich razem, tylko osobno. Tę kobietę wybrano i przywiązano do krzyża.

– Oszalałeś, stary! – mówi Bill.

– Nie – odpowiada powoli Alison. – Moim zdaniem ma rację.

– Ofiara? Komu albo czemu złożona?

Trzepot wśród drzew staje się głośniejszy. Patrę w górę. Widzę coraz więcej latających motyli. Czuję gęsią skórę na szyi. Ogarnia mnie niepokój. Niewielkie plamy błękitu widoczne między drzewami zaczynają znikać. Dżungla ciemnieje.

– Naprawdę myślę, że powinniśmy się stąd wynosić.

– Ja też – dodaje Alison.

Ellie kiwa głową.

– Czuję się tu niesamowicie.

Ruszamy. Olly zostaje, stoi obok szkieletu młodej kobiety.

– Dajcie spokój, to tylko motyle!

Oglądam się. Dwa owady zniżyły lot i usiadły na szkielecie. Dwa następne wylądowały na Ollym.

– Lubią mnie.

Wszystko rozgrywa się błyskawicznie. Rozlega się odgłos przypominający szum wiatru. Z drzew zlatują kolejne błękitne i zielone motyle, po czym siadają na Ollym, zwłaszcza po prawej stronie ciała, na zranionym ramieniu. Widzę, jak wyraz jego twarzy się zmienia. Marszczy brwi.

– Dosyć, kurwa! Odepieprzcie się! – Potrząsa ręką. Trzepot staje się głośniejszy.

– Naprawdę go lubią – mruczy Bill.

– O kurwa, to boli! – woła Olly.

Siada na nim coraz więcej motyli. Jest prawie pokryty niebieskimi i zielonymi skrzydłami.

– Neeee! Aaaa! Zabierzcie je! One gryzą! Pożerają mnie! Ratunku!

– Co one właściwie robią, do cholery? – pyta Ray.

Myślę o ukrzyżowanym ciele. Krwi na ramieniu Olly'ego. Oszalałym trzepocie skrzydeł. To bardzo proste.

– Jedzą – odpowiadam. – Lepiej się stąd wynośmy, kurwa.

Biegniemy, przedzierając się przez dżunglę, na oślep, byle do przodu. Ścigają nas bolesne krzyki Olly'ego; wydają się podążać za nami, nawet gdy przestajemy je słyszeć. Chyba powinniśmy go zastrzelić. Ale brakuje nam pocisków.

W końcu dżungla się przerzedza. Z pleców ścieka nam pot, mamy stopy otarte do żywego mięsa. Wypadamy na otwartą przestrzeń. Trawa, błękitne niebo. Mnóstwo błękitnego nieba. Ziemia nagle się kończy i widać stromy wąwóz.

Zatrzymujemy się, pochylamy, łapiemy oddech.

– Chyba nie możemy iść dalej – mówi Alison.

– Tak.

– Co to właściwie było, do cholery?

– Mięsożerne motyle. Normalka.

– Ale skąd się wzięły?

– Cholera wie. Trujące chemikalia. Skażenie środowiska. Nieudany eksperyment. Kiedy zwariowany miliarder kupuje wyspę i zabrania na nią wstępu, zwykle nie ma zamiaru produkować na niej pluszaków.

– Mówisz, jakbyś coś o tym wiedział.

– Nie. Po prostu w dzieciństwie oglądałem dużo filmów z Jamesem Bondem.

– Zachomikowałeś w tyłku spadochron, żeby nas stąd wyciągnąć? – pyta Ray. Patrzymy na dżunglę, a później znowu na klif.

– Z jednej strony przepaść, z drugiej makabra – zauważa filozoficznie Bill.

Alison podchodzi do krawędzi i spogląda w dół.

– Może się uda. Klif nie jest bardzo stromy. Myślę, że moglibyśmy... – Urywa. – Co to za gówno?

– Co się stało?

– Coś jest na dole.

Podchodzimy do niej i stajemy na krawędzi klifu. Widok przepaści sprawia, że kręci mi się w głowie. Nagle zauważam coś błyszczącego na dnie wąwozu. Czarnego, metalicznego, z pogiętymi, poskręcanyimi wirnikami. Resztki zniszczonego helikoptera.

– Ten gość miał rację! – syczy Bill.

– Jaki gość? – pyta Ray.

– Ten, który powiedział, że dzięki wyspie staniemy się bogaci.

– Rozbity helikopter może nas uczynić bogatymi? W jaki sposób? – pyta Ellie.

Bill szczyrzy zęby.

– Krążą plotki, że na jakiejś bezludnej wyspie rozbił się helikopter wiozący nową szczepionkę chroniącą przed wirusem. Ten facet był pewny, że to Wyspa Motyli.

– Szczepionkę? – pyta Alison. – Mogącą ocalić miliony ludzi?

– Tak. – Bill kiwa głową. – Wyobraźcie sobie, ile można by za nią wziąć. Znam człowieka...

– Co takiego?! – Alison patrzy na niego. – Nie można sprzedawać czegoś takiego. Należałoby przekazać szczepionkę niezależnej organizacji zajmującej się ochroną zdrowia.

– Ktoś cię pytał, Matko Tereso?

– Mówimy o przyszłości ludzkości.

– Ja mówię o swojej przyszłości.

– Możecie się zamknąć?! – Ellie patrzy na nich ze złością. – Po pierwsze, nie wiemy nawet, czy możemy dotrzeć do helikoptera. Po drugie, nie wiadomo, czy szczepionka przetrwała katastrofę. A po trzecie, utknęliśmy na tej wyspie, pamiętacie?

„Nawet dziecko powie czasem coś mądrego”.

– Utknęliśmy wśród mięsożernych motyli – mówię. – A poza tym grasuje tu przynajmniej jeden oszalały morderca składający ludzi w ofierze. Mamy pilniejsze zajęcia.

– Och, nie wiem...

Odwracamy się. Ray cofnął się o krok. Uśmiecha się i celuje do nas z pistoletu.

Kręcę głową.

– Naprawdę?

– Cóż mogę powiedzieć? Dobrzy ludzie nie przeżywają końca świata.

– Nie gadaj. Ty też słyszałeś o helikopterze. Chcesz sprzedać szczepionkę za kupę forsy i nie masz zamiaru się podzielić?

Ray wzrusza ramionami.

– Zgadza się, słyszałem o helikopterze. Ale moi klienci nie chcą sprzedawać szczepionki. Wolą ją zachować dla siebie.

– Dlaczego?

– Wyobraź sobie, że jesteś odporna na wirusa, który zabija miliony ludzi. Będziemy najpotężniejsi na świecie. Niepokonani. Jak bogowie.

Alison obrzuca Raya chłodnym spojrzeniem.

– Więc jak to się stało, że wysłali cię samego? Może jesteś jednym z bogów, których można się pozbyć?

Ray uśmiecha się do Alison.

– Bądź grzeczna. Może okażesz się jedną z wybranych?

– Wolałabym umrzeć.

– Świetnie.

Kieruje pistolet w jej stronę.

– Zaczekaj. – Unoszę ręce. – Ellie miała rację. Jeśli nie wydostaniemy się z wyspy, szczepionka nikomu się nie przyda. Musimy działać razem albo wszyscy zginiemy.

Ray patrzy na mnie ciemnymi oczami. Sięga do kieszeni i wyjmuję odrapany telefon.

– Czekają na mnie. Wyślę esemesa. Przyplyną i zabiorą mnie stąd.

– I wylecą w powietrze na minach.

– Uprzedziłem im, że muszą zakotwiczyć trochę dalej. Po prostu do nich popłynę. Na pewno mi się uda.

– Wszystko dokładnie zaplanowałeś.

– Cholerna racja.

Uśmiecha się krzywo, ukazując żółte zęby. Widzę, jak naciska kciukiem przycisk nadawania. Za naszymi plecami rozlega się zwierzęcy ryk. Rozpaczliwy. Spośród gęstych drzew wybiega Olly, machając ramionami, ciągle do połowy pokryty przez motyle. Większość ciała zniknęła, widać gołe ścięgna. Stracił jedno oko. Ma dziurę w brzuchu. Nie powinien stać, jednak biegnie.

Ray strzela. Raz, dwa. Olly się chwieje, ale się nie zatrzymuje. Chwytam Alison i Ellie, odciągając je na bok. Olly wpada na Raya, który przyciska się do niego jak zrozpaczony kochanek, ale nic nie może zrobić. Impet Olly'ego sprawia, że obaj spadają do wąwozu. Słysząc krzyk Raya, widać latające motyle, po czym zapada cisza.

– Chryste! – Alison patrzy za nimi. – Chryste, o kurwa!

Ellie otacza ją ramionami w talii i mocno się przytulają.

Bill patrzy na mnie.

– Stary... – mówi i otwiera ramiona.

– Nawet o tym nie myśl, kurwa.

– Co teraz zrobimy? – pyta Alison, spoglądając na mnie.

Zastanawiam się. Nie trwa to długo.

– No cóż, albo zaryzykujemy wejście do dżungli, albo spróbujemy zejść wąwozem. Tak czy inaczej, prawdopodobnie zginiemy.

- Super.
- Poza tym, jeśli Ray powiedział prawdę, przyplynie następny statek. A jeśli Ray go nie powita...
- Myślisz, że zejda na ląd?
- Może.
- I spróbują nas zabić.
- Prawdopodobnie.
- Och, świetnie.
- I ciągle mamy problem krwiożerczych motyli i morderczego psychopaty grasującego na wyspie.
- A mąż Lindy zaginął – dodaje Alison.
- Zapomniałem o Haroldzie, choć naprawdę nie powinienem.
- Więc jesteśmy załatwieni? – pyta Bill.
- Umilkliśmy. Mam ochotę na zimne piwo marki Estrella.
- Uśmiecham się.
- Przyszedł mi do głowy świetny pomysł...

# Podziękowania

**W** tym miejscu autorzy zwykle dziękują ludziom, którzy pomogli im napisać i opublikować książkę. Tym razem chciałabym podziękować osobom, które pomogły mi nie opublikować książki i okazały wyrozumiałość.

Czasami czujemy, że napisaliśmy coś dobrego. Kiedy indziej nie jesteśmy pewni – wątpliwości to nieodłączny element pisarstwa – lecz odrobina dystansu i pracy redakcyjnej zwykle pozwala usunąć niedociągnięcia. Niekiedy jednak zdarzają się chwile, gdy rozumiemy, że coś poszło nie tak. Nie czujemy książki i nie wiemy, jak ją poprawić.

W takiej sytuacji próbujemy ją napisać na nowo, stworzyć coś nadającego się do publikacji (mamy przynajmniej taką nadzieję). Inne rozwiązanie to kapitulacja. Możemy powiedzieć: „Nie chcę wydawać książki, która mi się nie podoba. Nie przyniesie mi zadowolenia i, co najważniejsze, rozczaruje czytelników”.

Właśnie taki los spotkał powieść napisaną przeze mnie w 2020 roku, o której wspomniałam we wstępie. Tworzyłam ją w trudnym okresie, skończyłam, ale efekt okazał się beznadziejny. Była to po prostu niewłaściwa książka napisana w niewłaściwym momencie.

Chciałabym podziękować swojej cudownej agentce, Maddy, i błyskotliwym redaktorom, Maxowi i Anne, za serdeczność i zrozumienie, gdy oświadczyłam, że chciałabym wyrzucić do kosza poprzednią książkę i napisać coś zupełnie innego. Dziękuję, że mnie wysłuchaliście, wsparliście i nie zmusiliście do opublikowania czegoś, z czego byłabym niezadowolona.

Zmiana planów nie jest łatwa dla wydawnictwa. Publikację książki planuje się z dużym wyprzedzeniem; uczestniczy w tym wiele osób. Chciałabym podziękować zespołom wydawnictw Michael Joseph i Ballantine Books za cierpliwość, ciężką pracę i pójście mi na rękę.

Dzięki nim mogłam napisać nie jedną, tylko dwie książki, z których jestem zadowolona. Ten zbiór opowiadań i następną powieść. Chciałabym podziękować wydawcom za to, że włożyli mnóstwo pracy w ten zbiór opowiadań. Nie tylko pod względem redakcyjnym; mam również na myśli fantastyczny projekt okładki i szaty graficznej.

Wydawanie książek to oczywiście działalność biznesowa, ale dobry zespół wspiera pisarza. Nie tylko gdy wszystko idzie dobrze, lecz również kiedy pojawiają się problemy. Potknięcia zdarzają się każdemu autorowi, ludzie miewają kiepskie okresy. Jeśli ktoś ich wspiera, zupełnie zmienia to sytuację.

Z tego powodu muszę również podziękować swojemu największemu sojusznikowi – dosłownie i w przenośni – mojemu mężowi Neilowi. A także wszystkim przyjaciółom pisarzom i niepisarzom. Za to, że mnie rozśmieszali i słuchali moich gderań.

W końcu dziękuję Wam, cudowni Czytelnicy, za cierpliwe oczekiwanie na kolejną książkę. W ostatecznym rozrachunku Wasze wsparcie jest najważniejsze.

Każda książka uczy czegoś nowego o pisaniu. Ale czasami rezygnacja z napisania książki może być równie ciekawa.

Postaram się, żeby nie weszło mi to w krew!

# Przypisy końcowe

1. Aforyzm przypisywany irlandzkiemu filozofowi Edmundowi Burke'owi (1729–1797), cyt. za: Ewa Dereń, Tomasz Nowak, Edward Polański, Słownik języka polskiego z frazeologizmami i przysłowiami, Wydawnictwo Arti, Warszawa 2008, s. 357 (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
2. Nawiązanie do ostatnich linijek wiersza T.S. Eliota Wydrążeni ludzie: „I tak się właśnie kończy świat /Nie hukiem, ale skomleniem”, przeł. Czesław Miłosz, w: Poeci języka angielskiego, t. III, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974, s. 283 (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)